

Wielkie gry Bernarda Żbika

**Adam Nasielski**

**GROBOWIEC OZYRYSA**

## Spis treści

- 1 Wstęp
- 2 Spostrzeżenie
- 3 Prognoza
- 4 Cień cienia
- 5 Ozryś
- 6 Fakty i logika
- 7 Logika i fakty
- 8 Odciski palców
- 9 Szablon
- 10 Propozycja mordercy
- 11 Na rozdrożu
- 12 Na martwym punkcie
- 13 Promień w mroku
- 14 Na boczniczy otchłani
- 15 Dynamit
- 16 Przeznaczenie
- 17 Tylko logika

Tekst opracowano na podstawie wydania z 1936 r.

# I

## WSTĘP

*Cień we mgle...* – tak nazwał inspektor Bernard Żbik ową, zagadkową i tajemniczą sprawę, bodaj najbardziej zawikłaną i nieuchwytną w jego praktyce w Centrali Służby Śledczej w Warszawie – a to ze względu na niezwykle i niecodzienne otoczenie, w jakim rozegrała się walka z cieniem.

Każda zbrodnia zdarza się przecież w środowisku niezwykle, patologicznym, na podłożu zwyrodnienia, chorych nerwów lub tragedii konfliktu, który rujnuje najzdrowszy system nerwowy za jednym zamachem i wkłada śmiertcioną broń w rękę, i zabójcze zamiary w umysł człowieka, który nie mógł, czy nie umiał się oprzeć – i zabił. Tu jednak było coś więcej. Nawet gdyby nie zaszła tragedia, teren i osoby dramatu zwróciłyby na siebie uwagę każdego spostrzegawczego i inteligentnego człowieka, jaki by je poznał choćby powierzchownie. Fakt, który zmusił władze śledcze do ingerencji przez osobę Bernarda Żbika był tylko okazją, motywem do wniknięcia przez genialnego kryminologa i psychologa w zakamarki zawikłanych dusz tajemniczych ludzi. Słowa: tajemniczy, niezwykle, zagadkowy i niecodzienny, jakich użyłem powyżej nie są wcale nadużyte. Ludzie, w których okręgu zainteresowań rozegrała się *sprawa grobowca Ozyrysa* istotnie byli takimi i oni sami wcale tego nie negowali, przeciwnie, akcentowali ten objaw na każdym kroku i dlatego przede wszystkim śledztwo, jakie podjął inspektor Żbik było utrudnione i na pewnych odcinkach wręcz niedostępne — bo napotykało na nieprzebyte mur zdecydowanego milczenia. Z powodu tych to odcinków wielki detektyw nazwał akcję trafnie: działaniem we mgle, szukaniem cienia w niewyraźnych oparach zgrozy i koniecznością zdobywania gąbczastych terenów psychopatologii lancetem sprytu, odwagi i czarną lufą przerażenia.

Gdyby nie ten ostatni czynnik duchowy – strach – którym sławny inspektor posłużył się jako atutem w niektórych ze swych posunięć – kto wie, czy sprawa *Ozyrysa* doszłaby do rozpatrzenia. „To jest cholernie niesamowite, panie naczelniku” – powiedział wywiadowca Wielgus. I miał rację. Nie przesadził ani na jotę.

Grobowiec *Ozyrysa*! To egzotyczne określenie odegrało w sprawie rolę symboliczną.

Nic więc dziwnego, że prasa nazwała dramat w Banku Południowym – sprawą grobowca *Ozyrysa*...

A dramat rozwinął się niespodziewanie szybko i była chwila – inspektor Żbik przyznał to otwarcie – gdy mądry i nieustraszony detektyw chciał się wycofać.. z przerażenia. Ludzka rzecz i nie można by go było za to potępić. Nie należy wcale do przyjemności mieć niezbitą świadomość, że za chwilę dosięgnie cię tajemnicza kula, zatruta klinga cienkiego jak liść kindżału, że oś twojego samochodu zostanie przepiłowana, herbata lub kawa przyprawiona śmiertelną dawką cyjanku potasu. Takie historie czyta się wprawdzie z emocją i z napięciem, z miłym dreszczykiem specyficznej przyjemności. Wierzcie mi jednak – przekonanie, że za chwilę śmierć może wyciągnąć do nas swą kościstą dłoń, że za nami chodzi człowiek, dla którego pojęcie ryzyka przestało już istnieć – nie należy do przyjemności ani do emocji, nawet dla

anachorety. Takie uczucie i przeświadczenie wprost dobija człowieka psychicznie, odbiera mu radość życia i sprężystość mięśni, które wiotczeją, paraliżuje duszę, dusi i dławi oddech i serce niczym sznur szubienicy.

Z jednego jeszcze powodu sprawa grobowca Ozyrysa bezwzględnie odstaje od innych wielkich gier Bernarda Żbika. Rozegrała się ona mianowicie w środowisku wielkiego przemysłu międzynarodowego, w ugrupowaniu władców milionów złotych, ludzi, którzy rządzą się innymi kryteriami i etyką różną biegunowo od moralności zwykłych śmiertelników, szarych posiadaczy książeczek oszczędnościowych, wychuchanych ćwiartek loteryjnych i amatorów pół czarnej w zadymionym zaduchu nędznej iluzji. Dosłownie: w środowisku ludzi niezwykłych i niesamowitych, gdyż innego określenia nie widzę dla scharakteryzowania osobnika, dla którego jedynym celem w życiu jest gromadzenie potwornie wielkich sum pieniężnych, dyrygowanie jednostkami-bezkęgowcami i ugrupowaniami niby sforą niewolników w kołnierzykach, pławienie się w miażdżących słabszego intrygach i duszenie otoczenia ciężarem swego zdegenerowanego ogromu.

A jednak – okazało się, że i tacy ludzie mają pod pancierzem niedostępności zwykłą, słabiutką, śmiertelną duszę, humanitarne porywy, normalne idiosynkrazje i jakże ludzkie punkty najmniejszego, a nawet żadnego, oporu.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte nadały *tajemnicy grobowca Ozyrysa* owo tło niezwykłości, przerażenia i rzeczywistej zgrozy.

## II

### SPOSTRZEŻENIE

Granatowy samochód z zieloną strzałką kierunkową zatrzymał się z piskiem opon na mokrym, śliskim asfalcie na Krakowskim Przedmieściu. Nie opodal zgromadziła się jak zwykle w takich okolicznościach grupa ludzi, którzy zawsze i wszędzie dysponują sporą dawką zbytecznego czasu, niekoniecznie wynikać muszącą z bezrobocia lub braku zajęcia.

Policjant zajrzał tylko przelotnie, poznał, zasalutował i dał znak pozwolenia wyjazdu.

— Oto co znaczy być człowiekiem znanym i popularnym.

— Przesada, Adasiu. Poznał najzwyczajniej samochód Centrali.

Elegancki młody człowiek przyjął ich w hallu, obejrzał zaproszenie i uśmiechnął się przymilająco i zupełnie zbytecznie. Zwrócił się bez wahania do wyższego mężczyzny w doskonale skrojonym fraku:

— Tędy, panie inspektorze.

Niższy nieco, lecz również wzrostu ponad średniego, przystojny młodzieniec mrugnął zabawnie okiem:

— Na zaproszeniu nie ma nic więcej oprócz imienia i nazwiska, a jednak zatytułował cię inspektorem. Czy teraz jeszcze masz zamiar zaprzeczać, że jesteś popularny.

Bernard Żbik nie odpowiedział od razu. Swoim zwyczajem rozejrzał się bacznie, podszedł do ogromnego lustra, poprawił krawat.

— Jeżeli sprawia ci to istotnie przyjemność, nie będę przeczył. Byłbym nieco zdziwiony, gdyby mnie nazwał arcybiskupem lub Mahatmą Gandhim.

Aspirant Adam Billewski nie podjął jałowego sporu, gdyż umiał wyczuwać nastrój i zresztą nie było o co; trzeba spoważnieć od czasu do czasu. Bez zakłopotania obserwował otoczenie wokoło: licznie zgromadzone grupki osób. Wszyscy we frakach, wielu z orderami i małżonkami, sama elita – bal-raut w Resursie Obywatelskiej pod protektoratem Pani Ministrowej Spraw Zagranicznych to nie byle co. Ponieważ jednak po raz pierwszy w życiu stał twarzą w twarz z tyloma ambasadorami, przemysłowcami i personami, ba, z całym korpusem dyplomatycznym w Warszawie – nic dziwnego, że patrzył z zaciekawieniem i z satysfakcją. To samo czynił w tej chwili inspektor Bernard Żbik, ale z innych powodów i bez satysfakcji na razie.

— Ciekaw jestem czy ona da się nam widzieć — rzekł zagadkowo i niejasno.

— Kto?

— Kobieta, która przysłała mi zaproszenia na ten bal. Nie wątpię bowiem, że to uczyniła kobieta.

Sięgnął po zaproszenie i po raz może dziewiąty przyjrzał mu się dokładnie. Pierwsze cztery litery wyglądały jak początek słowa: Helena, ale nazwiska nie mógł w żaden sposób odcyfrować – zupełnie nieczytelne. Wczoraj w południe nadeszło do Bernarda Żbika to zaproszenie na dwie osoby i był przekonany, że to od którejś z licznych znajomych adoraterek.

— Spójrz — wręczył karton aspirantowi. — Tak wygląda jak Helena. Znam trzy Heleny,

ale na razie nie widzę tu ani jednej z nich.

— Czy to takie ważne, kto ci przysłał zaproszenie, popularny człowieku. Grunt, że tu jesteśmy i to zupełnie niesłużbowo. Mnóstwo pięknych kobiet, doskonała orkiestra, dobre towarzystwo, ciekawe otoczenie. Bawmy się! Czyż zawsze musimy być nastawieni na odkrywanie tajemnic, kto, co, kiedy, dlaczego i którędy? Chcę raz zapomnieć o tym, że jestem oficerem policji śledczej.

— To bardzo trudne — stwierdził Żbik. Ale właściwie Adam miał rację. Byli tu w charakterze prywatnym i mogli się cieszyć, nie jak ten biedny podkomisarz Grabowski, który stał tam za kolumną i właśnie uklonił się dyskretnie Żbikowi. Kierownictwo pierwszego komisariatu Policji Państwowej w Warszawie jest stanowczo stanowiskiem bardziej eleganckim niż wygodnym.

Prawdę mówiąc i podkomisarz Grabowski był tu zbyt cenny. Każdy z obecnych ważniejszych dyplomatów – bo o nich tu przede wszystkim chodzi – dysponował własną służbą bezpieczeństwa. Na przykład siedzącego tam, obok kominka, ambasadora sowieckiego strzeże gwardia złożona z jedenastu uzbrojonych agentów. Tak że służbowy oficer komendy głównej i kierownik pierwszego komisariatu są tu właśnie tylko dla fasonu, który stanowi notabene siedemdziesiąt procent sztuki dyplomatycznej, pozostałe trzydzieści procent to: kłamstwo z fasonem i obłuda.

— Powinniśmy bawić się doskonale, Bernardzie. Bądź co bądź niecodzienne otoczenie. Zatręśienie dyplomatów. Jak się z takimi właściwie gada?

— Najlepiej z bronią w rękę — zażartował sławny detektyw złośliwie. Odkłonił się uprzejmie oficerowi inspekcijnemu z drugiego oddziału sztabu i zwrócił przy tym uwagę na jego źle zawiązany krawat. Czyżby niedopatrzenie... Może coś więcej... Z takimi ludźmi nigdy nie można być pewnym.

Odmówił lokajowi wypicia jakiegoś ładnego i prawdopodobnie smacznego napoju i skierował kroki do palarni. Lubił fotele klubowe i czuł lekkie rozleniwienie. Jakże chętnie byłby wyjechał na dodatkowy urlop. W drodze do dyskretnie oświetlonego i obszernego pokoju zlustrował otoczenie swym wszystkowiedzącym spojrzeniem, nie dostrzegł jednak na razie nic charakterystycznego. Może dlatego, że tu wszystko było charakterystyczne.

— Spójrz, Bernardzie, na tego blondyna obok filaru. Mądra twarz. Ciekaw jestem jaki to poseł, bo...

— Żartujesz chyba. To agent sowiecki z gwardii ochronnej ambasadora. Ma w kieszeni na pewno dwa płaskie colty i gotów jest otworzyć ogień zaporowy za najmniejszym podejrzeniem. Tak samo jak jego towarzyska, popijająca cocktail z wdziękiem jakby to była czara trucizny *boletus cervinus*.

Aspirant podniósł brwi w zdumieniu.

— I sądzisz, że on odważyłby się strzelać tu, w tej sali, w takim tłumie, do tych bezcennych obrazów i mebli.

Bernard Żbik skinął głową w zadumie. Naiwność ludzka zawsze wprawiała go w stan zamyślenia.

— Młodzianie, do strzelania nie jest potrzebna odwaga – wystarczy nabity rewolwer. Wyjmuje się i naciska jęczyczek spustowy. Tak, on na pewno odważyłby się strzelić. Od tego on tu jest i – właśnie z powodu tej gotowości nie dochodzi do strzelaniny. Si vis pacem... To są dziwni ludzie, Adasiu. Twój „poseł” ma na pewno zaproszenie na imię jakiegoś radcy czy czegoś podobnego. Lecz w gruncie rzeczy oni są wszyscy zwykłymi agentami wraz z ich zwierzchnikami w graniastych kapeluszach.

— Tam stoi piękna kobieta i uśmiecha się do nas — aspirant aż mlasnął z zachwytu.

— Spójrz na te czarujące oczy, otoczone lekką mgiełką. Poproszę ją później do tańca i zapytam, czy jej na imię Helena, o najmilsza. Może ona przysłała ci zaproszenie.

— Jeżeli dwuletni pobyt w więzieniu Surete nie kazał jej zapomnieć tanga – możesz jej zaproponować. Nawiasem mówiąc, bardzo zdolna dziewczyna. Do Secret Intelligence Service<sup>1</sup> przeszła podobno z Criminal Investigation Department,<sup>2</sup> a to już coś znaczy. Mówią, że operuje sprawnie przy pomocy opium i innych narkotyków i skłonny jestem temu uwierzyć. Spójrz na jej nozdrza.

— Uwziąłeś się, żeby mi popsuć humor, Bernardzie. Wiem, że to potrafisz ze swą diaboliczną spostrzegawczością i erudycją. Czemu jednak dziś ja właśnie mam paść ofiarą.

— Nie bądź dziecinny. Wątpię czy potrafiłbyś bawić się w jej towarzystwie.. chyba, że znasz dobrze kilku oficerów z wyższej szkoły wojennej lub z KOP-u.<sup>3</sup> Wtedy Venus z Intelligence Service mogłaby się w tobie zakochać na pewien czas, bo ona leci na takie znajomości. Ci ludzie — uczynił szeroki gest dłonią — są zawsze i wszędzie nastawieni na badanie. Ich władze i państwa wymagają od nich niezwykłego wysiłku umysłu, ślepej karności i braku błędów; z chwilą, gdy zawodzą, otrzymują dymisję lub coś gorszego, jednoznacznego o ile chodzi o efekt. Dlatego stale czuwają – przez co rozmowa z takim jest pracą umysłową, gimnastyką mózgu, nudą wreszcie – ale nigdy odpoczynkiem.

— Nie zgadzam się z tobą. To zależy od usposobienia.

— Aha! Znowu filozofia. Szczęśliwy wiek, dwadzieścia pięć lat, kiedy nawet najzagorzalszy egoista jest altruistą, a najbardziej zajęty i racjonalny człowiek ma czas na wygłupianie się na tematy, które go nic a nic nie mogą obchodzić. Poczekaj kilka lat, Adasiu, spoważniejesz i machniesz ręką na wiele idiosynkrazji, jakie obecnie nazywasz ambicjami, zainteresowaniami i namiętnościami. Psiakrew! – Jesteś zaraźliwy — uśmiechnął się inspektor.

— Chodź, musimy coś zjeść. Jedzenie zabija myślenie.

Wstał od razu i skinął na aspiranta. Bufet mieścił się w bocznej sali. Natychmiast podszedł do nich elegancki kelner, wskazał miejsca i przyjął zamówienie.

— Dobra obsługa.

— Niezłe pieniądze — uśmiechnął się Żbik z przekąsem. — Nie oglądaj się w tył. Ktoś nas obserwuje.

— Kobieta? Może twoja Helena.

— Mężczyzna. Właściwie nie powinienem się dziwić. Wszyscy tu obserwują się nawzajem. Po to między innymi zaprasza się dyplomatów na rauty. Co za ciekawa twarz...

Patrzył na wysokiego człowieka o stanowczym profilu. Skronie miał lekko przyprószone siwizną, ale cerę jeszcze świeżą i rześką. Lekko naprzód poddany podbródek i ściągnięte wąskie wargi znamionowały energię i siłę woli. Stał przy bufecie i rozmawiał z jakimś równie starannie jak on sam ubranym młodzieńcem – ale Żbik był pewny, że obserwowany przezeń mężczyzna nie słucha co się do niego mówi. Pomimo całej twardości postawy człowiek ten wygląda jak półprzytomny.

Bernard Żbik nie mógł jednak przypatrywać mu się długo, bo zasłonił go właśnie nadchodzący szczupły człowiek w sportowym ubraniu i o znanej obu detektywom twarzy. Na plecach dźwigał aparat filmowy. Na widok Żbika skinął z uszanowaniem głową swemu byłemu szefowi.

— Dobry wieczór, panie inspektorze. Lepiej fotografować żywych niż umarłaków.

Wcale nie żałuję, że wystąpiłem. Ale muszę już wiać. — Pożegnał się.

— Bartosz czuje się w swoim żywiole od kiedy z Urzędu Śledczego przeszedł do PAT-a.<sup>4</sup> Zaraz przeżyjemy wątpliwą przyjemność uwiecznienia na taśmie filmowej, świat jest w gruncie rzeczy fatalnie monotony.

— A ty byś chciał, Żbiku, aby codziennie kogoś mordowano w tajemniczy sposób. Od czasu morderstwa Karola du Saule'a nie miałeś ciekawego śledztwa.

— Pal to sześć. Teraz się napijemy.

Fotograf urzędowej agencji tłumaczył coś oficerowi z „Dwójki”,<sup>5</sup> gestykując żywo. Pokazywał mu jakąś kartkę czy bilet wizytowy. Bernard Żbik nie patrzył już w tamtą stronę. Człowiek o stanowczym, twardym profilu zainteresował go jednak. W wyrazie jego niezgłębionych oczu było coś niezwykłego.

— Zaczekaj tu.

Po tym krótkim zdaniu inspektor wstał, zbliżył się do bufetu i niby niechcący potracił w łokieć stojącego.

— Pardon! Inspektor Bernard Żbik.

Przeraził się nieomal pod wpływem spojrzenia, jakie nań padło przez okamgnienie. Lecz może było to złudzenie, bo potracony „nieumyślnie” uśmiechnął się i skinął głową.

— Stokowski.

— Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu bólu moją niezgrabnością. Chciałem wziąć zapalną.

— Aha! I pański towarzysz pali papierosa. Ciekawe.

Bernard Żbik zmieszał się tylko na chwilę, usłyszawszy to zdanie z ust młodego towarzysza człowieka, który go tak zainteresował. Opanował się jednak od razu, sklonił się bez zażenowania obu panom i wrócił do stolika, gdzie czekał nań zaciekawiony aspirant, wiedząc, że Bernard Żbik niczego nie robi bez powodu. Jeszcze pół minuty po zmieszaniu się Stokowskiego i jego bystrego towarzysza z tłumem bawiących się na raucie osób, dość na ogół opanowany inspektor siedział jak oniemiały. Wreszcie ocknął się, zapalił wygasłego papierosa i spojrzał na aspiranta.

— Ten z siwymi skroniami nazywa się Stokowski, bardzo ciekawa twarz. Jego towarzysz, ten młodzik, jest bardzo bystry i rozbawiony. Powiedział mi prawdę prosto z mostu. Mogę się jednak założyć o co chcesz, że...

— że...?

— Ten wysoki siwy jest w strachu. On jest śmiertelnie przerażony.

Aspirant nauczył się już nie lekceważyć spostrzeżeń swego przyjaciela. Tym razem nie rozumiał wszelako.

— Czego on się może obawiać?

— Śmierci — odparł inspektor Żbik z głębokim przekonaniem. Strach wyziera z każdego cła jego istoty. Jestem tego prawie pewny.

— Może się przecież mylisz.

— To nieważne. Są dziedziny w psychologii ludzkiej, w których jestem — że się wyrażę zarozumiale — nieomylny. Palce mu drżały, a oczy — czy ty wiesz jakie znaczenie ma wyraz oczu...

Zamyślił się poważnie i powtórzył dla pamięci: Stokowski. Był pewny, że słyszał już kiedyś to nazwisko i... W tej samej chwili zabrzmiał gong zapraszający do stołu, Stokowski i jego domyślny towarzysz zniknęli z oczu obu detektywów. Przez dalszy ciąg rautu trwającego trzy godziny Bernard Żbik nie ujrzał go już, pomimo że szukał go — i pomimo że umiał szukać. Odnosił nienormalne wrażenie, że pan Stokowski uciekł.

— Wiesz — nie patrzył na aspiranta, gdy schodzili po wspaniałych schodach — miałem ochotę zapytać go o pozwolenie na broń.

— Kogo? — Adam Billewski od dawna już myślał o czymś innym.

— Tego... Stokowskiego.



— Był przecież we fraku i na balu. Na co mu broń?  
— Miał w kieszeni na piersiach rewolwer dużego kalibru. Poznałem to po wypukłościach.  
— Dlaczego ten człowiek tak cię zainteresował, Bernardzie.  
— Dziwne, nieprawdaż. Dużo bym w tej chwili dał za odpowiedź na dwa pytania.  
— Pierwsze?  
— Jak długo będzie żył pan Stokowski.  
— A drugie — zainteresował się aspirant.  
— Kiedy pan Stokowski zwróci się do policji o ochronę swego życia – i czy się zwróci.  
Dziwny dziś jestem, Adasiu – jak sądzisz.. Zaczynam przemawiać stylem Edgara Wallace’a.  
— Zapomniałeś o trzecim pytaniu.  
— ?  
— Kto przysłał ci zaproszenie na bal.  
— To nieważne.  
O wiele później okazało się, że to było właśnie najważniejsze.

---

<sup>1</sup> SIS – Wywiad brytyjski (znany również jako MI6).

<sup>2</sup> CID – Brytyjska tajna policja kryminalna.

<sup>3</sup> KOP – Korpus Ochrony Pogranicza – formacja wojskowa strzegąca wschodniej granicy Polski.

<sup>4</sup> PAT – Polska Agencja Telegraficzna – przedwojenna poprzedniczka Polskiej Agencji Prasowej.

<sup>5</sup> Dwójka – Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego – polski wywiad i kontrwywiad wojskowy.

### III

## PROGNOZA

W przestronnym, niskim gabinecie bez umeblowania było jak zwykle cicho i poważnie. Wymagały tego i czas i miejsce. Tylko wazon alabastrowy z czerwonymi i białymi astrami stojący na rogu biurka przy oknie nadawał temu pokojowi nieco prywatności. Wrażenie to zacierało się wobec trzech telefonów, portretów trzech Prezydentów i Marszałka oraz całego stosu „kawałków” przygotowanych do podpisu. Było cicho. W korytarzach Wydziału Czwartego Komendy Głównej panował spokój i nastrojowa powaga.

Rozległo się dyskretne pukanie i Bernard Żbik mimo woli popatrzył na drzwi.

Aspirant Kobyłański, w cywilnym ubraniu naturalnie, spojrzął ze zwykłym uwielbieniem na człowieka za biurkiem, któremu zawdzięczał stanowisko obecne i wszystko, o czym marzył jeszcze jako starszy przodownik na dalekim Żoliborzu aż do owego dnia, kiedy los zetknął go z człowiekiem, który umiał się na nim poznać.

— Dzień dobry, panie naczelniku.

— Dobry! Co nowego.

Oficer zbliżył się do najzdolniejszego detektywa Centrali Służby Śledczej. Podsunął Żbikowi duży arkusz papieru z wykreślonymi na nim dwubarwnymi liniami. Do tego przyłączone były spinaczem luźne kartki protokołów i zapisków dochodzenia. Na jednym z nich grube, podwójne podkreślenie ołówkiem i wykrzyknik! Rzut oka wystarczył Żbikowi do zorientowania się.

— Kto to sknocił?

Kobyłański zawahał się nieznacznie.

— Podkomisarz Skurski.

Bernard Żbik podniósł słuchawkę jednego z telefonów...

— Rejestratura?... Poproszę pana komisarza Skurskiego... Inspektor Żbik... Tak... Chcę z panem pomówić osobiście.

Gdy po piętnastu minutach do gabinetu zastępcy naczelnika wszedł młody elegancko ubrany człowiek, brwi głównego detektywa zmarszczyły się. Nie poprosił, aby podkomisarz usiadł. Zmierzył go wymownym spojrzeniem, ale młodzieniec widocznie nie poczuwał się do winy. Uśmiechnął się nawet z początku.

— Pan nie jest z Warszawy, panie podkomisarzu.

— Tak... ale nie rozumiem.

— Ma pan krewnych na utrzymaniu.

— Matkę i ojca. Ponadto siostra wychodzi... lecz...

— Wystarczy. Sprawdźmy. I tylko dlatego nie wyleci pan tym razem. Właściwie powinienem postawić wniosek o pańską dymisję. To pan dokonywał pomiarów w terenie kradzieży na dworcu.

— Tak... kierowałem nimi...

— Nawet kierował. Podał pan szerokość drzwi na sześćdziesiąt osiem centymetrów,

podczas gdy wymiary wyniesionej przez sprawców szafy stalowej były: osiemdziesiąt dwa na sto, na sto piętnaście.

— Mierzylem na oko, panie naczelniku. — Młody oficer zarumienił się ciemno i w źrenicach jego zabłysnął żywiołowy, nieprzewyciężony strach przed życiem. — Przecież... w tym wypadku nie miało to znaczenia. Sprawców ująłem...

— Takk! — Dłoń głównego detektywa uderzyła z trzaskiem o blat biurka, że aż wazon drgnął. — Nie ma znaczenia – bo pan ujął sprawców. A gdyby uciekli... Pańskim obowiązkiem, do stu piorunów, jest przyłożyć metr i notować. Nie ma znaczenia, że... Toż przy tym stanie pomiarów muszę dojść do absurdałnego wniosku, że kasy niepodobna było wynieść przez wąskie drzwi! Po co wy się pchacie do policji, wy, z dyplomami prawniczymi. Czy tylko dla tytułu podkomisarza i tych marnych czterystu złotych. Policyjne zdolności trzeba mieć we krwi, w żyłach, i nie pomoże tu żadna Lozanna ani Lipsk, ani Mosty Wielkie, rozumie pan. I same zdolności, nie wystarczą – tu trzeba **poświęcenia**.. samozaparcia, altruizmu. Nawet ślepe posłuszeństwo to mało bez dobrej, szczerzej woli.

Uspokoił się nagle i dodał łagodnie i wyrozumiale jakby zły na siebie za uniesienie:

— Zrozumie pan — wskazał mu krzesło — tu każdy szczegół ma znaczenie. Trzeba rozszerzyć swój horyzont i zapytywać się ciągle siebie samego: czy wykonałem już wszystko. I, na Boga, człowieku! Nie wolno mierzyć na oko! Na oko! Czy pan wie, co pan powiedział? I co zrobił? Jednak za to powinno się wylecieć, może dla własnego dobra.

— Przepraszam, panie naczelniku...

— Słowa, frazesy. Zobaczymy.

Wstał i mocno uściśnął, podaną mu po wyciągnięciu swojej, drżącą ze wzruszenia i obawy dłoń. Oficer policji z dyplomem magistra praw wyszedł. Oficer policji z mózgiem znów rozparł się wygodnie w niewygodnym fotelu. Po jakichś pięciu minutach nadszedł Adam Billewski.

— Skurszczak omal nie beczy — zaczął i dodał niekonsekwentnie: — Dzień dobry. Wszędzie nudy. Głupio mordują, głupio kradną, głupio żyją uczciwie. Psiakość!

Bernard Żbik uśmiechnął się nieznacznie i przywitał się ze swym przyjacielem. I on musiał przyznać, że nudził się ostatnio śmiertelnie. Nie były to nawet dosłowne nudy, bo był zawałony pracą. Ot – takie zwariowane uczucie próżni, po co, dokąd.. ale to przejdzie. Musi przejść.

— Ten Skurski to miły chłop w gruncie rzeczy. Ale w policji daleko nie zajdzie. Mało staranny. Przed kilkoma minutami zmusiłem się, aby krzyżeć — może to go opamięta, choć wątpię. Szkoda go. Nowa moda! Prawnicy w policji, wojskowi w policji. I od razu podkomisarz, i daj mu same romantyczne sprawy, żeby się w nim zakochała wdówka po zamordowanym lub żona mordercy – oczywiście bogata. Literatura sensacyjna! Znów — wskazał na ostemplowany szablonowo arkusz pod przyciskiem — kobieta. Chce wstąpić z gracją do Centrali Służby Śledczej – i będzie stosowała plastry Scholla do odcisków palców. Ma zaszczyt prosić o szybką odpowiedź i nie wątpi... Niestety, to nie zależy ode mnie. Odrzucałbym wszystkie podania. Co tu masz? — Wskazał na arkusz w rękę aspiranta.

— Dla ciebie do podpisu. Trzy ogłoszenia do Gazety Śledczej, dwa listy gończe i jakiś zaginiony kupiec.

— Nowe zaginięcie? Pokaż.

Przejrzał pobieżnie protokoły i podpisał, co należało, bez specjalnego sprawdzania. Adama nie musiał kontrolować.

— Przydzielę to zaginięcie Skurskiemu, niech nie rozpacza. — Zapisał krótką notatkę na rogu arkusza. — Na co jeszcze czekasz.

— Daj mi urlop na pół godziny. Chcę sobie kupić bilety na operę.

— Mowy nie ma, służba. Zabieram cię ze sobą do laboratorium. Te patałachy znowu coś spaskudzą i będzie tak, jak w zeszłym tygodniu. Półgłówek jakiś zamiast kleju stolarskiego do odlewu śladu stopy na sypkim piasku użył gipsu i nie zastosował szkieletu. Miałem ochotę powiesić go za stopy. Ciężkie życie.

— Naturalnie — skrzywił się aspirant z sarkazmem ale i bez przekonania. — Skoro ludzie nie zabijają się jakoś à la powieści sensacyjne – to pan inspektor Żbik narzeka na brak zainteresowań. Spotkałem sybarytę – doktorek również się nudzi. Musimy na imieniny sprepować ci jakieś dobre śledztwo. Może ja zakatrupię kogoś przez telefon dla urozmaicenia. Na głowie..

— Nie wygłupiaj się, młodzieńcze, i bierz kapelusz. To co mówisz wcale nie jest zabawne. Jedziemy do laboratorium. Potem obiad, gazeta, pół stronicy głupiej powieści kryminalnej, papieros, pani jest urocza, ach! nie, kino, kawiarnia, gazeta zajęta, kollacyjka do jasnej i ciężkiej, spahhhé i jutro to samo, psiakrew!

Nacisnął guzik dzwonka jednocześnie z otwarciem się drzwi. Stefan trzymał w ręku wizytówkę i miał minę zadowoloną z siebie i ze świata.

— No i co, Stefan.

Wziął z rąk służącego mały kwadracik papieru i odczytał:

Inż. Edward Downar

Bank Południowy

Warszawa

— Poproś.

Człowiek, który wszedł po chwili był szczupłym, dobrze ubranym brunetem o spokojnym, zrównoważonym spojrzeniu. Zmarszczki przy skroniach mogły wskazywać na usposobienie wesołe, ale teraz zaciśnięte lekko wargi kolidowały z tym wnioskiem. Ubrany był z wyszukaną elegancją w każdym szczególe. Ukłonił się nieznacznie.

— Pan inspektor Żbik?

— To ja. Proszę, oto krzesło, panie inżynierze.

Przybysz uśmiechnął się nieznacznie, lecz natychmiast spoważniał.

— Tytuł inżyniera i zawód bankowy stanowić mogą śmieszne zestawienie. Jestem inżynierem geodetą i sekretarzem Banku Południowego.

Usiadł na wskazanym mu miejscu i rozejrzał się z roztargnieniem po gabinecie. Inspektor zauważył jego spojrzenie.

— To jest pan aspirant Billewski, mój asystent. Nie mam przed nim prawie żadnych tajemnic.

— Prawie?...

— Pan może w jego obecności mówić o wszystkim.

Inżynier Downar namyślał się przez krótką chwilę. Spojrzał jeszcze raz bacznie na obu siedzących przed nim mężczyzn, rozważając czy można im zaufać. Wyraz jego oczu od samego początku pozostał nieruchomy i niezmienny, nawet wtedy gdy się uśmiechnął. Założył jedną nogę na drugą i zdjął ją natychmiast. Patrzył na swe rękawiczki. Wykonywał wszystkie ruchy człowieka niezdecydowanego.

— Właściwie — zaczął naraz — ja nie mam jeszcze nic do powiedzenia. Przybyłem tu na polecenie mego szefa, dyrektora Stokowskiego.

— Stokowskiego! — przerwał Żbik niechętnie.

— Tak, tego samego, którego poznał pan na raucie w Resursie Obywatelskiej. Może przypomina pan sobie eleganckiego pana w średnim wieku, którego pan umyślnie potrącił w łokieć, aby zaspokoić swą ciekawość.

Bernard Żbik nie zażenował się wcale.

— Brawo, panie inżynierze. Pan też ma niezłe oko. Widziałem, że pan obserwował nas z tyłu i zwróciłem nawet na to uwagę mego przyjaciela.

Inżynier Downar pozostał poważny, pomimo że lubił się śmiać.

— Wracając do rzeczy, mam zaszczyt – czy to nie brzmi zbyt urzędowo? – zaprosić pana do nas do banku. Dyrektor Stokowski chciałby z panem pomówić w poważnej sprawie.

— Czy to jest sprawa zawodowa i ja jestem potrzebny jako oficer policji?

— O tym powie panu dyrektor Stokowski. Ja wypełniłem tylko jego polecenie.

Wyczuwało się, że inżynier Downar wolałby nie odpowiadać na szczegółowe pytania, lecz w takich wypadkach Żbik nie był wyszukanie grzeczny.

— Pan jest sekretarzem osobistym dyrektora Stokowskiego i czy chodzi tu o sławnego bankiera międzynarodowego Erazma Stokowskiego?

— Tak, o niego. Jestem jednym z jego dwóch sekretarzy osobistych.

Bernard Żbik wstał, zadzwonił, polecił Stefanowi przynieść kapelusze, laski i płaszcze. Wzdłuż korytarza skierowali się do szerokich schodów za podwójnymi drzwiami. Tu inspektor zatrzymał się na chwilę, wszedł do pokoiku obok i od razu zatelefonował gdzie należało. Wrócił i otworzył drzwi, przed inżynierem Downarem.

— Pojedziemy teraz. Dyrektor Stokowski boi się czegoś. Prawda, panie inżynierze?

— Tak.

## IV

### CIEŃ CIENIA

Naprzeciw bramy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czekał na nich ogromny renault bankiera z milczącym szoferem za wolantem. Już z dala dostrzegł małymównego sekretarza w towarzystwie obu detektywów i otworzył drzwiczki naprawdę niezwykłych rozmiarów karoserii. Przez cały czas jazdy do banku milczeli. Wprawdzie Downar próbował raz zagaić rozmowę na temat architektury Banku Gospodarstwa Krajowego, ale inspektor Bernard Żbik nie nadawał się doprawdy na takie historie. Zamiast wygłupiać się po literacku na temat, który go ani ziębił ani grzał, wołał już milczeć.

Rezerwa w zachowaniu się sekretarza bankiera nie dziwiła go. Każdy śmiertelnik, nawet najczystszy, czuje mały lęk przed policją, a tu chodziło nadto o bankiera, a więc człowieka szczególnie nieufnego i skrytego. Prawdopodobnie Stokowski kazał swemu sekretarzowi mówić jak najmniej.

Szofer – mężczyzna o ciemnośniadym zabarwieniu skóry – zahamował motor przed okazałym gmachem Banku Południowego na Filtrowej. Wielki samochód odjechał od razu.

Na razie inspektor mógł przyjrzeć się budynkowi tylko powierzchownie, lecz już pierwszy rzut oka wystarczył dla otrzymania wrażenia przepychu i bogactwa. Przedsiónek i poczekalnia o ścianach wyłożonych marmurem umocniła tylko detektywów w pierwszym wrażeniu. Wszystko pachniało tu luksusem i grubymi pieniędzmi.

Na wprost widniały szerokie schody kamienne wyłożone dywanem, ale inżynier Downar wyminął je i skierował się do wielkiej i komfortowo urządzonej kabiny windy. Młody chłopiec w szarym uniformie i w czapce z literami BANK POŁUDNIOWY zawiózł ich na trzecie piętro. Sekretarz dyrektora zaprowadził ich przez wysoki korytarz do skąpo, nowocześnie umeblowanego pokoju, bardzo widnego, którego okno wychodziło na gęsty ogród. W tym pokoju Edward Downar poprosił obu detektywów, aby zaczekali.

— Uprzedzę pana dyrektora. — I wyszedł.

— Co ty o tym myślisz, Adasiu.

— Przede wszystkim, że ty jesteś niesamowicie spostrzegawczy i domyślny.

— Wiesz, że pochwały nie sprawiają mi żadnej przyjemności. Jak ci się podoba ten inżynier i sekretarz w jednej osobie.

— Wcale mi się nie podoba. Piekielnie małymówny.

— To nie jest wada. Miejmy nadzieję, że jego szef powie nam coś więcej. Nie znoszę rebusów.

— Gdzież tu one są?

— Wszędzie. Zaczęło się jak w powieści szpiegowsko-kryminalnej: Bal, masa dyplomatów. Człowiek, który ma strach w oczach – świetny tytuł na pierwszy rozdział. Inspektor policji Bernard Żbik zostaje wezwany przez małymównego sekretarza-inżyniera do tajemniczego szefa-bankiera-dyrektora, któremu na imię Erazm. Chciałbym już wiedzieć, jak to się rozwinie, czego nasz pacjent się boi i tak dalej.

Aspirant rozejrzał się wokoło.

— Strasznie tu bogato.

— Erazm Stokowski jest międzynarodową sławą na polu bankowości i przemysłu. Podobno siedemdziesiąt procent kapitałów, którymi dysponuje, ulokowanych jest w finansowaniu wojen, gdziekolwiek się da.

— Ach, tak!

Adam Billewski nie dziwił się teraz tajemniczości bankiera.

— I dlatego nie przypuszczam — ciągnął inspektor — aby poważny człowiek, bankier i potentat finansów tak ni stąd ni zowąd zapraszał mnie do siebie, żeby pogawędzić ze mną o sankcjach przeciw Mussoliniemu. Za tym musi się kryć coś bardziej poważnego. Nie chcę jeszcze powiedzieć: groźnego, abyś mnie nie podejrzewał o melodramat lub histerię.

— Nie ma obawy. — Aspirant znał wstręt swego przyjaciela do wszelkiej przesady i dlatego przyjął jego słowa na serio. — Intuicja?

— Bah... — Żbik skinął głową na znak zaprzeczenia. — Raczej obserwacja i logika. Stokowskiego stać na pewno na własnych detektywów, a on mimo to zgłasza się o pomoc do... Słyszę kroki. Zaraz się dowiemy o wszystkim.

Istotnie w drzwiach ukazała się znajoma wysoka postać o siwych skroniach. Za nim wszedł Downar. Dyrektor Stokowski był tym razem ubrany w szary garnitur półsportowy i wcale nie przypominał bankiera światowej sławy i potęgi. Tylko w poważnych oczach czaiło się coś niezwykłego a nieokreślonego, co zwróciłoby nań uwagę bystrego obserwatora.

Podał rękę aspirantowi i inspektorowi, przedstawił się pierwszemu i zajął miejsce przy stoliku. Inżynier Downar usiadł obok i bez pytania zapalił papierosa. Był widocznie nałogowym palaczem tytoniu.

— Dziwi panów zapewne ta cała historia — zaczął Stokowski spokojnie i z opanowaniem, i tylko czułe ucho dosłyszałoby w jego głosie lekkie, prawie dostrzegalne drżenie.

Bernard Żbik przyglądał się przez chwilę swym niemanicure'owanym paznokciom i rzekł nagle, nie podnosząc wzroku:

— Pan się czegoś straszliwie boi, panie dyrektorze.

Wrażenie, jakie wywarły te słowa, było jednak nieoczekiwane. Bankier cofnął się wraz z fotelem tak gwałtownie, że omal go nie przewrócił wraz z sobą. Wpatrzył się w inspektora szeroko rozwartymi z rzeczywistego przerażenia żrenicami i zagryzł wargi aż do krwi nieomal. Minęły może dwie minuty nim naprężenie powoli stajało. Ale strach w kącikach oczu spotęgował się, a brzegi warg drgały nieznacznie lecz wciąż.

— Co pan wie?

Żbik pozostał spokojny i opanowany w każdym geście. Jego głos brzmiał normalnie, była w nim jednak jakaś ukryta nuta energii i stanowczości.

— Mógłbym odpowiedzieć ogólnikowo, mam w tym – jako oficer służby śledczej – dużą wprawę i wyciągnąłbym z pana może jakieś wyznanie bez bólu. To nie są rzeczy trudne, a przynajmniej łatwiejsze niż się ogólnie sądzi. Nie chcę jednak tak postąpić. Przyznaję, że nie wiem nic poza tym, co zauważyłem przypadkiem na raucie w Resursie Obywatelskiej.

— Co pan zauważył?

Wielki Psycholog uśmiechnął się z wyraźnym pobłażaniem. Mimo to powtórzył:

— Zauważyłem, że pan wygląda tak, jakby za panem chodziła śmierć ze wzniesioną kosą. Poetyczne porównanie jak na kryminologa – sądzę jednak, że trafne.

Bankier uspokoił się naraz – tak naraz, że musiało to się wydać więcej niż dziwne.

— Przypuśćmy, że pan ma rację, inspektorze — stwierdził prawie zimno, jak gdyby nie o niego chodziło. — Co by pan uczynił na moim miejscu.

— Postąpiłbym jak pan. Wezwałbym oficera policji. Od tego my funkcjonujemy. Przecież rozumie pan, że ja w tej sprawie – nie wiem jeszcze w jakiej – mogę mieć więcej obiektywizmu niż pan jako zainteresowany.

— A jeżeli — odparł bankier chłodno — jeżeli wyjawienie panu tajemnicy automatycznie uczyni z pana zainteresowanego subiektywnie – jak ja?

— Co pan dyrektor przez to rozumie.

— To, że pan również zacznie bać się śmierci.

— Tak — zastanowił się inspektor. — Pojmuję. To jednak wchodzi już w zakres mego ryzyka zawodowego. Za to mi płacą pensję. Nie przypuszczam też, aby to dla pana miało jakiegokolwiek znaczenie. Poznaliśmy się dopiero dziś i to tylko powierzchownie. Myślę, że panu będzie to obojętne, jak dalece niebezpieczeństwo rozciągnie się na mnie. Zresztą — załagodził — może pan przesadza jak wszyscy ludzie zdenerwowani.

— Wcale nie przesadzam i dlatego żałuję już, że pana wezwałem. Mam silne nerwy, ale... nie mogę długo żyć z przeświadczeniem nagłej śmierci.

— To są wszystko ogólniki i pajęczyna. Pański czas na pewno drogi – i mój również. Aby móc przeprowadzić śledztwo muszę mieć konkretne zameldowanie i uchytne fakty – ale nie wolno mi narzucać się. Chodźmy, Adamie.

Bernard Żbik wstał po tych słowach i skłonił się lekko potentatowi. Ten jednak nie wyciągnął swej ręki, jak należało oczekiwać. Jeszcze raz przyjrzał się bacznie swoim rozmówcom.

— Proszę. Niech pan usiądzie. Boję się — zawahał się — boję się, aby pan nie pomyślał, że jestem śmieszny lub histeryk.

Inspektor przymrużył mimo woli jedno oko. Nie lubił być okłamywanym, nawet przez wysoko postawione osobistości i na tym punkcie był niemal bezwzględny i reagował natychmiast.

— Mam do czynienia z człowiekiem poważnym i sądzę, że wolno mi panu mówić prawdę. Otóż jestem przekonany, że tu wcale nie chodzi o obawę przed ośmieszeniem. Wątpię w to. Człowiek tak bogaty jak pan, może gwizdać na podejrzenie ośmieszenia lub hysterii.

Zapanowało milczenie. Za oknem szumiał październikowy, niezdrowy wiatr i deszcz bił w szyby grubymi kroplami. Wydawało się jednak obecnym, że nagle oderwali się od świata zewnętrznego i zanurzyli mackami świadomości w jakieś inne środowisko. Na pozór wszystko jest normalnie: – dyrektor wielkiego banku zawezwał oficera policji, może w delikatnej, intymnej sprawie i – jak to bankierzy, ludzie nieufni – zachowuje się zagadkowo i ślisko, ściślej mówiąc: niezdecydowanie. Zaufać czy nie ryzykować? Boi się może konsekwencji na giełdzie, kto go wie. A jednak.. jednak.. Co miały oznaczać słowa o „automatycznym subiektywnym zainteresowaniu”.

— Myślę, że dowiem się wreszcie od pana czegoś konkretnego i rzeczowego, panie dyrektorze. To doprawdy nie ma najmniejszego sensu i raczej ja powinienem obawiać się ośmieszenia. Chyba, że pan wciąż trwa przy swoim. Przy czym...? Nie będę nalegał. Ostatecznie ma pan do dyspozycji inne osoby, inne wyjście, jak przypuszczam – inaczej powiedziałby mi pan wszystko. Jeżeli mam być szczery, dziwi mnie takie postępowanie. Ja jestem obcy i detektyw – muszę być ciekawy. A dla pana może ze względów biznesowych może to być niewygodne. Po co więc było wzywać mnie, aby mnie zanudzać tajemniczością. Albo – albo... Nie znaczy to, aby mi nie było przyjemnie porozmawiać z panem o różnych głupstewkach – lecz wybaczy pan – nie w godzinach urzędowych.

Po tym długim i niedwuznacznym wyjaśnieniu Stokowski skinął głową tak, że nie można było określić dokładnie, czy potakuje, czy zaprzecza, czy też zastanawia się nad czymś



odrębnym.

— Czytałem i słyszałem o panu dużo, inspektorze. Gdy pan przedstawił mi się na balu – pomyślałem, że... pan byłby odpowiednim człowiekiem i... posłałem mojego sekretarza.

Wskazał na siedzącego obok Downara.

— Teraz żałuję, że panu zwracałem głowę, bo nie mogę... nie mogę powiedzieć nic wyraźnego.

Wpatrzył się prosto w oczy Bernarda Żbika.

— Wiem, że chcą mnie zabić w najbliższym czasie. Wiem... kto to chce uczynić... Ale nie mogę wskazać osoby. Czy to panu może wystarczyć.

— Dla oceny pańskiego stanu psychicznego – tak, o ile dam wiarę pańskim obawom. Dla akcji zapobiegawczo-śledczej – to, co mi pan dotychczas powiedział, nie ma żadnego znaczenia ani formalnego, ani faktycznego. Takie sobie banialuki – à la Wallace. Chcą mnie zabić w najbliższym czasie. Wiem kto i trzy kropki, ale nie mogę wskazać i wielokropek. To jest sprzeczność, panie dyrektorze! I to nikomu nie może wystarczyć. Jeżeli pan wie – proszę wskazać tę osobę i dowody lub poszlaki – i wystawimy nakaz aresztowania. A jeżeli pan tylko tak mówi – mogę tylko poradzić, żeby się pan zwrócił do dobrego neurologa-fachowca lub do mądrego adwokata. Bo to, co od pana dotąd słyszałem, nie wchodzi w moje kompetencje jako oficera policji śledczej. Proszę mi wybaczyć brutalność – ale nie mogę zająć innego stanowiska wobec tego, jakie pan zajął.

Rysy przystojnego bankiera ściągnęły się kurczowo. Nie patrzył na inspektora, gdy przyznał:

— Jest pan drańsko logiczny i bezwzględnie szczerzy. Mimo to nie mogę zmienić tego co powiedziałem. Mój strach ma zupełnie realną przyczynę i chodzi mi o usunięcie tej przyczyny. Czy pan rozumie?

— Ani słowa. Proszę nareszcie mówić wyraźnie. Kto lub co panu grozi? Skąd pan o tym wie? Jaki jest powód obecnej decyzji zwrócenia się do mnie czyli do osoby trzeciej? Na czym polega to zagadkowe usunięcie przyczyny.

— Usunięcie przyczyny? — Oczy bankiera pozostały nieruchomo wpatrzony w jeden punkt na blacie stolika, gdy rzekł twardo, z pewnym dźwiękiem okrucieństwa. — Usunięcie przyczyny może być tylko jedno. Polega ono na zabójstwie.

— Pana?

— Nie. Na śmierci osoby, która mi zagraża, lub na jej unieszkodliwieniu – przed tym, nim groźba zostanie wprowadzona w czyn.

Atmosfera w pokoju stawała się ciężka, duszna, patologicznie przygniatająca, pomimo że nic właściwie jeszcze nie zaszło. Jednak tragedia nastąpiła wkrótce.

— Nie sądzi pan chyba, że ja kogoś zabiję, aby pana obronić... profilaktycznie i na podstawie takich zeznań. Muszę znać całą prawdę i mieć dowody w rękę.

W ustach Erazma Stokowskiego zadrgał dziwny uśmiech.

— A gdybym ja, aby ochronić się przed grozą, co do której nie mam wątpliwości – **gdybym ja zabił.** To co wtedy?

— Wtedy aresztowałbym pana, panie dyrektorze.

Jednocześnie Bernard Żbik przestraszył się nie na żarty. Zaczynał przypuszczać, że przed nim siedzi człowiek obłąkany, chory, nieszczęśliwy i nieodpowiedzialny. Mimo woli spojrzał pytająco na siedzącego obok inżyniera Downara. Ale twarz sekretarza była niemniej przestraszona niż oblicza obu detektywów.

— Pan sądzi, że ja zwariowałem, inspektorze. Mogę pana zapewnić, że jestem zupełnie zdrow na umyśle.. skoro dotychczas nie oszalałem ze strachu.

Mgła. Sama mgła. Czarna, nieprzebyta, zagadkowa i niedostępna – jak ten skomplikowany człowiek, siedzący przed nimi.

— Pozwoli pan, że zadam kilka pytań, panie dyrektorze. Kiedy powziął pan pewność o istnieniu niebezpieczeństwa.

— Przed rokiem.

Powiedział to zupełnie wyraźnie i widział, że wywarł wrażenie.

— Kiedy jednak nastąpił ostatni napad strachu przed śmiercią? Ten, który spowodował myśl zwrócenia się do mnie.

— Na to nie mogę odpowiedzieć.

— Nie może pan, czy nie chce.

— U mnie to na jedno wychodzi.

Inspektor wstał stanowczo, skłonił się poważnie i dał znak aspirantowi.

— Przepraszam, o ile czymś uraziłem. Jestem oficerem policji, a nie wróżką. Myślę, że to jest sprawa dla lekarza lub adwokata. Ja spełniłem swój obowiązek i pana prośbę. Do widzenia.

Skinął głową sekretarzowi, podszedł do drzwi i otworzył je, nie odwracając się. Miał dość. Nie umiał być przesadnie grzeczny w pewnych momentach i głowa go rozboleła. No i naprawdę nie był psychiatrą, a tu... Po drugiej stronie progu dobiegł go przytłumiony głos.

— Proszę zostać, panie inspektorze. Błagam pana!... Odpowiem na niektóre pytania.

## OZYRYS

Inspektor zachnął się, zupełnie mimo woli i instynktownie – lecz wrócił. Zauważył od razu zmianę na twarzy bankiera i zachował ją sobie w pamięci. Odniósł wrażenie, że potentat zdecydował się wbrew własnej woli, pod wpływem sugestii strachu... czy urojenia... Jak się wkrótce okazało strach odegrać miał w tej sprawie rolę dominującą. Był jej przyczyną i trzymał w swych okowach uczestników dramatu aż do nieoczekiwanego i groźnego zakończenia.

— Słucham — rzekł Żbik wyzywająco, gdy usiadł ponownie. Nie umiałby sprecyzować przyczyny lekkiego zdenerwowania, jakie go naraz ogarnęło. Zauważył tylko, że ręka, którą trzymał zapalną, jego własna ręka, drgnęła dwukrotnie. Czyżby rzeczywiście było coś w atmosferze tego domu. Skąd, bzdury...

— Chce mi pan powiedzieć coś rzeczywiście ważnego, czy też ma pan zamiar w dalszym ciągu krążyć mętnie wokół znaków zapytania i niedopowiedzeń?

— Muszę coś powiedzieć, bo mogę oszaleć.

Nie było w tym na oko ani cienia przesady lub melodramatu. Taki biznesmen na pewno nie był romantykiem. A jednak dziwnie zabrzmiały te słowa w ustach tego człowieka o twardym, nieugiętym profilu – który był albo umysłowo chory – albo przerażony aż do obłędu.

— Kto panu powiedział o moim strachu, panie inspektorze?

— Pańska twarz. Gdybym nie umiał patrzeć, zasługiwałbym na dymisję.

— Słyszałem dużo o pańskich zdolnościach psychologicznych...

— I znów pan kołuje? Czy pan mnie uważa za półgłówka? Czy musimy się podchodzić nawzajem jak dzieci lub kobiety? Bądźmy poważni. Mówiąc zupełnie szczerze – chciałbym przecież usłyszeć coś o pańskiej tajemnicy lub tak zwanej tajemnicy.

— Trudno...

Bernard Żbik widział jasno, że finansista chce jak najdalej odsunąć chwilę wyznania. Nie rozumiał jeszcze przyczyny tego stanowiska.

— Słyszał pan kiedyś lub czytał o nazwie **Dongola**?

— Możliwie, lecz nie przypominam sobie.

Bankier zawahał się znów. Przetarł czoło płaszczyną dłoni i ruch ten wcale nie wyglądał na udany. Ostro obserwujący detektyw-psycholog zauważył też systematyczne drżenie kolan. Lecz czemu – u licha! – on sam, Bernard Żbik, był niespokojny coraz bardziej. Czytał kiedyś i słyszał o specjalnym fluidzie, o wpływie, jaki wywierają na ludzi zdrowych osobniki umysłowo patologiczne. Czyżby jednak... Coś było w powietrzu takiego...

Erazm Stokowski otworzył oczy jakby zbudzony z głębokiego snu. Inżynier Downar zapalił nowego papierosa i milczał.

— Dongola jest miejscowością na granicy pustyni Libijskiej i Nubijskiej w Egipcie Angielskim. Byłem w tej miejscowości...

Tu głos finansisty się urwał. Ku swemu bezgranicznemu zdumieniu inspektor zauważył na jego twarzy prawdziwą łzę. Ona to powstrzymała detektywa przed ostrym zareagowaniem, nie

miął zamiaru wysłuchać jeszcze na dobitkę wykładu geograficznego o Egipcie. W następnej chwili rysy bankiera stężyły i głos znowu stał się normalny ale jakby zacięty, dziki. Bernard Żbik zrozumiał to później. Teraz nie pozostało nic innego jak czekać. Na co?...

— Przeżyłem w Dongoli najstraszniejsze godziny w moim życiu. Było to w czerwcu, rok i cztery miesiące temu. Byłem wtedy urzędnikiem kontraktowym towarzystwa kartograficznego. Ekspedycja pod moim dowództwem wyruszyła na pustynię dla dokonania pomiarów.

— Pan jest topografem — zdziwił się Żbik. — Myślałem, że pan jest bankierem i przemysłowcem.

— Bankierem jestem od roku. Przedtem byłem geografem-technikiem.

— I przed rokiem był pan zwykłym urzędnikiem kontraktowym ekspedycji geograficznej. I nic więcej? Tylko?

Bernard Żbik wstrzymał ostre jak igła spojrzenie, mówiące wyraźnie: co panu do tego – ale nie zraził się.

— To pytanie jest zbyteczne, panie inspektorze.

— Lecz ja nie jestem głupcem, panie dyrektorze. Jestem nawet inteligentny.

— Była wtedy noc — ciągnął Stokowski bezpośrednio i ten szczegół przejścia był dla inspektora najbardziej wartościowym z dotychczas zaobserwowanych. — Nie zdążyliśmy do obozu ekspedycji. Ja i mój towarzysz. Gwałtowny samum piaszczysty – tak zwany suchy – zaskoczył nas u stóp niskiego wzgórza. Jedynym sposobem ratunku w takim wypadku jest położenie się pod brzuchem konia i oczekiwanie na zmiłowanie boże. Zmusiliśmy zwierzęta do położenia się, spętaliśmy im nogi, zabezpieczyliśmy aparaty pomiarowe i pozostało tylko czekać.

— Kim był towarzysz, o którym pan wspominał.

— Był moim sekretarzem.

— Jego nazwisko?

— Charles Barney.

— Proszę, niech pan kontynuuje swoje opowiadanie.

— O godzinie drugiej po północy nastąpiła przerwa w burzy. Wydobyłem się z piasku i stwierdziłem, że mój koń berberski jest martwy. Nie widziałem też wokoło Barney'a. Z dala dochodził głuchy poświst wirującego wichru, to zbliżał się następny atak burzy piaszczystej o wiele groźniejszy od pierwszego. Myślałem tylko o sobie. Zacząłem grzebać lufą rewolweru w piasku, gdyż nie chciałem zostawić cennych aparatów pomiarowych. Nagle natrafiłem ostrzem na coś twardego. Była to płyta z lanego żelaza z umocowanym pośrodku pierścieniem. Udało mi się podnieść ją i znalazłem wąskie schody do szybu, prowadzącego w głąb ziemi.

Przemysłowiec przerwał dla zacerpnięcia tchu. Zmierzył bystrym i zupełnie inteligentnym spojrzeniem twarz inspektora, lecz ta pozostała nieruchoma i obojętna.

— Zaświeciłem latarkę, której piasek nie zniszczył i stwierdziłem, że znajduję się w górnym szybie piramidy podziemnej czy też zasypanej – tego nie wiem do dziś. Nade mną rozhuczała się burza, słyszałem ją poprzez żelazną płytę. Na tej to płycie od strony wewnętrznej zauważyłem czerwoną płaskorzeźbę wyobrażającą boga egipskiego Ozyrysa. Byłem w grobowcu.

Po wypowiedzeniu ostatniego słowa twarz opowiadającego zbladła jeszcze bardziej. Bernard Żbik nie zareagował jednak zewnętrznie.

— Skąd pan wiedział, że to jest grobowiec — poddał wreszcie gdy bankier milczał przez dłuższy chwilę.

— Znam bardzo dobrze historię powszechną – to należy do wiedzy geograficznej. Poznałem emblematy egipskie. Zresztą, nie było trudno się przekonać. Zszłem po wąskich i niemal półkolistych schodach niżej i tu dostrzegłem światło.

— Światło?! — zdumiał się inspektor — Jakże to możliwe. W zamkniętym grobowcu?...  
— Jednocześnie zastanowił się po co Stokowski opowiadał mu tę dziwną i nieprawdopodobną historię. Jaki ona miała związek z niebezpieczeństwem, które groziło bankierowi... lub które on sobie uroił.

— Paliło się światło — powtórzył finansista jak echo. — Mały kaganek oliwny czy w innym płynie. Nad tą lampką stał na postumencie ogromny posąg Ozyrysa – boga zemsty. Zemsty... — powtórzył i zadrżał już zupełnie wyraźnie, a Bernard Żbik rozumiał coraz więcej i coraz mniej.

— ...Ogarnął mnie naraz jakiś dziwny, niezrozumiały strach – chociaż uważam się za człowieka inteligentnego i nie uznaję zabobonów. Chciałem uciekać jak najprędzej... Zdawało mi się, że jakieś niebezpieczeństwo groźne i wielkie – obejmuje mnie niby w sieć zdradliwą, bo niewidoczną. Zupełnie bez namysłu i bez logicznego uzasadnienia zacząłem biec ku szybowi, bo...

Bankier nie dokończył. Oddychał ciężko i gwałtownie. Przez minutę wydawało się, że nie może złapać tchu. Żbik sięgnął po karafkę z wodą, lecz Stokowski uspokoił go ruchem dłoni.

— Dziękuję. Już mi przeszło. Pan będzie się chyba śmiał ze mnie po tym, co panu teraz powiem.

— Nie — zapewnił go inspektor poważnie. Nigdy nie śmieję się z ludzkich objawów psychicznych o ile są uzasadnione i... prawdziwe.

— **Posąg boga Ozyrysa poruszył się i pogroził mi ręką!**

Detektyw zmarszczył brwi i zmierzył opowiadającego wiele mówiącym spojrzeniem. Zaczynał wierzyć, że miał przed sobą człowieka obłąkanego i chorego na manię prześladowczą.

— Czy pan cierpiał kiedyś na halucynacje i omamy wzrokowe.

W odpowiedzi na swe odważne pytanie ujrzał znów ten mądry, wyrozumiały, wcale nie obłąkany uśmiech i usłyszał natychmiastową, stanowczą odpowiedź:

— Nigdy. Mam wprawdzie osłabione serce, ale z nerwami jestem w porządku. Ludzie o chorym systemie nerwowym nie potrafią przeprowadzić fuzji, tworzyć koncernów przemysłowych i kierować konsorcjum bankowym. To byłoby jednak zbyt ryzykowne, panie inspektorze.

— I ja tak myślę.

Atmosfera stała się na chwilę luźniejsza i mniej dławiąca – ale tylko na chwilę.

— Co się stało kiedy pan pobiegł do szybu? I przed tym jeszcze jedno pytanie: Na czym polegał ów dziwny strach. Czy to było coś konkretnego, uchwytnego – lub tylko sytuacyjnego i... jednak nerwowego.

— Odnosiłem wrażenie, że ktoś na mnie patrzył. Nie umiem tego bliżej wyjaśnić. Wbiegłem na schodki do żelaznej płyty z emblematem Ozyrysa. Udało mi się ją podważyć i wyjrzałem na firmament. Samum już przeszedł. Powietrze było ciche i... groźne. Oddaliłem się o kilkanaście metrów od wejścia do grobowca. Strach nie mijał.

— Na czym polegał ten strach? — nalegał Żbik. — Przecież jest pan człowiekiem bezwzględnie inteligentnym i mądrym..

— Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo.

— Śmierć?

— Śmierć — powtórzył bankier i zbladł nagle.

Lecz cierpliwość Bernarda Żbika była już wyczerpana. Wstał i spojrzał z góry na bankiera.

— Panie Stokowski, wszystko ma swoje granice. O co panu właściwie chodzi w tej całej sprawie. **Czy po to mnie pan wzywał, aby opowiedzieć mi nowelę Allana Leraulta pod**

tytułem *Zemsta Ozyrysa* – jako swoją własną przygodę w Egipcie. Czy pan w ogóle był w Egipcie?

— Ależ...

— Proszę mi nie przerywać. Wezwał mnie pan, bankier, człowiek prawdopodobnie poważny – przybyłem. Przez piętnaście minut mówił pan mętnie – słuchałem cierpliwie i zaproponowałem, że sobie pójdę. Prosił mnie pan – zostałem, aby wysłuchać nowelki francuskiego autora jako pana autentyczne przeżycie. Udawałem, że panu wierzę, zadawałem nawet pozornie logiczne pytania – a pan kłamał, kłamał, kłamał. I przy tym nie wygląda pan wcale na umyślowo chorego. Tu coś jest inaczej, niż jest, panie Stokowski. Więc..

Przez chwilę panowało wyczekujące milczenie. Bernard Żbik nie spuszczał wzroku z twarzy bankiera. Naraz ujrzał jak jego grube wargi drgnęły konwulsyjnie i oczy rozszerzyły się gwałtownie:

— A więc...

Erazm Stokowski wypowiedział tylko to jedno słowo, zacharczał urywanie i padł jak kłoda na dywan. Jednym skokiem znalazł się inspektor przy nim, przyklęknął i otworzył mu kołnierzyk i marynarkę.

— Zemdlął. Panie inżynierze! Proszę zawiadomić lekarza lub pogotowie.

Downar bez słowa podszedł do telefonu przy oknie. Na twarzy sekretarza widniało nieklamane wzruszenie. Otworzył książkę telefoniczną – lecz w tej samej chwili Stokowski rozwarł powieki, spojrzał półprzytomnie dokoła i rzekł wyraźnie:

— Proszę nie wołać nikogo. Już mi nic nie jest. To... serce.

Bernard Żbik spojrzał tylko krótko na szarą twarz bankiera i to upewniło go, że sprawa jest naprawdę poważna. Co do tego nie miał wątpliwości od samego jej początku – chodziło tylko o punkt widzenia. W ostrych, inteligentnych rysach siedzącego naprzeciw niego – może chorego – człowieka, w tych zmarszczkach i cieniach czaił się prawdziwy strach przed rzeczywistym niebezpieczeństwem.

W tej chwili, bezpośrednio po zemdleńiu nie było jednak celu indagować Stokowskiego. Jeżeli za tymi wszystkimi dziwnymi okolicznościami kryje się jednak coś – to trzeba poczekać. Siłą nie można nikogo zmusić do złożenia zameldowania o przestępstwie zmyślnym czy prawdziwym, to już inna sprawa.

Zlecił Stokowskiego opiece sekretarza, z którym wymienił kilka zdań na uboczu, radząc mu mimo to wezwać domowego lekarza. Była godzina druga, gdy wychodzili z pięknego hallu Banku.

— Dziwny człowiek — aspirant rzucił papierosa do kosza zawieszzonego na latarni. — I co za dziwaczne, niesamowite postępowanie. Co to może oznaczać?

— Nic. Może Stokowski jest umyślowo chory. Mania prześladowcza, bo ja wiem... Uroił sobie, że przeczytana nowela jest jego własnym przeżyciem. Słyszałem już o takich wypadkach. Może się mylę. Wstąpimy tu na obiad.

O pół do czwartej obaj przyjaciele pożegnali się i Bernard Żbik udał się do swego mieszkania na Szkolnej. Po drodze zastanowił się nad przeżyciami dzisiejszego dnia. Po chwili machnął jednak ręką, gdyż nie mógł znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia. Ostatecznie nawet słynny bankier może być wariatem lub półwariatem i na to nie ma rady.

Drzwi otworzył Stefan, jak zwykle z powieścią kryminalną w lewej ręce. Odebrał od swego pana kapelusze i palto.

— Zaraz, panie naczelniku, tu jest jakiś list do pana. Polecony ekspres, musiałem pokwitować.

— Nie gadaj tyle. Pokaż.

Oderwał brzeg dużej, sztywnej koperty i stwierdził, że wewnątrz nie leży żaden papier. Omyłka, czy żart? Sięgnął jeszcze raz palcami i wyczuł małą wypukłość. Wydobył płaski przedmiot z kości wielkości ziarna fasoli. Położył go na stole i przyjrzał mu się przy świetle.

**Była to czarna figurka, wyobrażająca Ozyrysa!!!**

Na chwilę aż oniemiał ze zdumienia, ale to przeszło natychmiast. Oczywiście, bankier. Zwariował i chce się zabawić w historię sensacyjną. Opowiedział nowelę o Ozyrysie i przysłał kopertę z czarną figurką. Może ekscentryczny sposób amerykańskiej reklamy. Poza tym... – tak – poza tym...

— Co to za śmieszna figurka, panie naczelniku.

— Bardzo śmieszna figurka, Stefanie. W zielonej walizce lotniczej leży mój rewolwer. Wyjmij go i sprawdź. Będzie mi może potrzebny.

Nie mógł oderwać wzroku od czarnej figurki Ozyrysa.

Obejrzał kopertę. Była duża i gruba, z drogiego papieru. Na odwrocie widniał wyraźny ślad – jakby ktoś wyskrobał żyłką jakiś napis. Może monogram Stokowskiego. Tak... Bernard Żbik schował kopertę i figurkę do torebki i wyszedł z domu. Taksówka zawiozła go do Banku Południowego. Wsiadł i polecił szoferowi czekać. Otworzył mu zdziwiony woźny o bladej twarzy. Zdumienie było usprawiedliwione, gdyż było już po godzinach przyjmowania interesantów w bankach.

— Chciałem widzieć się z panem dyrektorem Stokowskim.

— Teraz już nie przyjmuje. Poza tym... już poszedł do domu.

— Jestem inspektorem policji śledczej.

Zdecydowana zmiana frontu. Anemiczna i przedwcześnie postarzała twarz woźnego ułożyła się w usiłowanie śmiechu, zupełnie nieudane.

— W takim razie zaprowadzę pana do sekretarza.

Ten sam korytarz na trzecim piętrze tylko inne drzwi, do których woźny zapukał i wszedł nie czekając na „proszę”. Po półminucie wyszedł.

— Pan sekretarz prosi.

Już w progu drzwi małego gabinetu dostrzegł inspektor szczupłą postać Edwarda Downara. Stał przy telefonie ze skupioną twarzą. Uprzejmym ruchem wskazał detektywowi fotel przy eleganckim biurku.

— ...Tak jest, panie dyrektorze.. zawiadomiłem. . Oczywiście.. Na imię i nazwisko pana dyrektora... Bez „bankier”, tylko Erazm Stokowski... Nie ma za co, panie dyrektorze... Dziękuję... To jasne...

Położył słuchawkę na widełkach i przywitał się z inspektorem.

— Rozmawiałem z szefem — usprawiedliwił się. — Dziwny człowiek. Ni stąd ni zowąd kazał mi zamówić w Orbisie bilety do Kairu.

— Czy on wykazywał przedtem objawy... egiptomanii lub... manii prześladowczej. — Żbik podziękował wzrokiem za papieros.

— Nie — zaprzeczył Downar. Był zrozumiale skonsternowany. — I to jest najdziwniejsze. Kiedy dziś, razem z panami, usłyszałem tę niesamowitą historię o grobowcu Ozyrysa, myślałem, że szef dostał ataku obłądu.

— Ja nie odniosłem tego wrażenia. Wyglądał zupełnie przytomnie, tylko śmiertelnie przerażony. W tym musi coś być. Proszę mnie zameldować.

— Stary... pardon! Pan Stokowski zakazał sobie przeszkadzać. Pracuje w swoim gabinecie na pierwszym piętrze.

— Jednak chciałbym się z nim rozmówić. Będzie pan łaskaw połączyć mnie z nim telefonicznie.

Downar podniósł mikrotelefon i nacisnął dwie cyfry na tabliczce numerowej wewnętrznego aparatu. Przez chwilę czekał w milczeniu i jeszcze raz zakręcił korbkę dzwonka, wyraźnie zniecierpliwiony.

— Aparat musiał się znów popsuć. Nikt się nie odzywa.

W tej samej chwili dzwonek telefonu zafurczał przeciągle. Edward Downar podniósł słuchawkę.

— Halo... Co!!!

Rzucił mikrotelefon i jednym susem znalazł się przy drzwiach. Bernard Żbik, tknięty przecuciem, pobiegł za nim i obaj jednocześnie jak huragan zbiegli po schodach i razem dopadli wielkich dębowych drzwi na pierwszym piętrze, z białą tabliczką:

Dyrektor Naczelny

E. Stokowski

Inspektor szarpnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte. Nie namyślał się już.

— Co pan usłyszał przez telefon?

— Krzyk dyrektora Stokowskiego... — sekretarz był blady i przejęty. Dłonie drżały mu konwulsyjnie. Inspektor rozumiał, że musi opanować sytuację, inaczej ten człowiek gotów jest dostać ataku histerycznego.

— Macie tu ogólny klucz? — Nie czekał na odpowiedź. — Niech pan zawoła woźnego.

Sam pozostał przy zamkniętych drzwiach aż do chwili, gdy wrócili anemiczny woźny i wystraszony sekretarz. Za drzwiami przez cały czas panowała cisza niczym niezmacona. Woźny trzymał w ręku stalowe kółko z pękiem kluczy zapasowych. Dobrał odpowiedni dopiero po piątej próbie i przekręcił. Inspektor wszedł pierwszy.

Stał w wielkim gabinecie. Na ogromnym biurku paliła się zasłonięta lampa z przezroczystym abażurem tak, że w reszcie pokoju panował półmrok.

Mimo to Bernard Żbik od razu zauważył leżącą na stole postać bankiera. Nachylił się i dojrzał natychmiast tkwiący w plecach mały sztylet wbity aż po kościany trzon. Poświecił swą małą latarką i promienie jej żarówki padły na znak boga Ozyrysa, wyrzeźbionego na rękojęści kindżału.

Dyrektor Erazm Stokowski – bez względu na to czy był człowiekiem normalnym, czy umyślowo chorym – nie należał już do grona żyjących. A morderstwa dokonano niemal na oczach inspektora Bernarda Żbika, gdyż słuchawka telefonu tkwiła jeszcze w kurczowo zaciśniętych palcach trupa.



## VI

### FAKTY I LOGIKA

Najpierw rutyna – a potem mózg. W tej chwili inspektor nie był w stanie myśleć o niczym. Miał absolutny chaos w głowie i pierwsze posunięcia były czysto automatyczne. Różne przypuszczenia, absurdalne i kolidujące ze sobą uderzały w ekran świadomości, ale żadne nie pozostawiało wyraźnego śladu, obrazu, pojęcia, hipotezy. Tak być musiało – bo fakty nastąpiły po sobie w konsekwencji nie tylko dziwnej, lecz wręcz niesamowitej.

Cofnął się ostrożnie stawiając kroki, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów na podłodze, odsunął delikatnie acz zdecydowanie Downara, który chciał już wejść i zamknął drzwi na klucz. Na zapasowy klucz. Gdzie był właściwy – może w rękę mordercy. Jak mógł tak prędko... Nie! To potem. Teraz myśli są zbyt chaotyczne, nieuchwytnie.

Woźny był również bliski zemdlenia i inspektor uznał, że brutalna prawda może w tym wypadku podziałać otęrażająco.

— Dyrektor Erazm Stokowski nie żyje — oznajmił sucho i krótko.

Odwrócił się w stronę woźnego:

— Proszę wyjąć ten klucz z krążka. Zamknę drzwi.

Klucz schował do kieszeni marynarki i dopiero teraz zauważył, że wciąż jest w raglanie. Kapelusz zostawił w gabinecie Downara. Spojrzał teraz na niego.

— Popelniono tu morderstwo prawie w naszej obecności. Panowie obaj zejdą ze mną do hal u. Może zabójca przebywa jeszcze w gmachu banku.

Przy puszczeniu to zmieniło się w pewność wobec faktu, jaki stwierdził na dole. Główne i jedyne drzwi od gmachu banku były zamknięte na rygle od wewnątrz, a wszystkie okna w budynku były okratowane. Wobec tego – morderca nie uciekł.

— Innego wyjścia nie ma, panie inspektorze — zapewnił drżącym głosem woźny po powtórzonym pytaniu. On... on musi tu być.

— Kto jest poza tym w banku?

— Nikt. Tylko ja, pan Downar i... i pan dyrektor Stokowski.

— Jak wy się nazywacie?

Ujrzał rozszerzone w przerażeniu małe, kaprawe oczy.

— Po... Po co?

— Jak to? Pytam o nazwisko. Nic więcej.

— Lipiński. Franciszek Lipiński. Ale...

— Gdzie pan zastał Lipińskiego, panie inżynierze?

— W...

— Nie pytam was, tylko pana sekretarza!

— Ale... to nie ja... Nie ja...

— Siedział w swojej dyżurce, panie inspektorze.

— Tak, w dyżurce. Nie słyszałem wystrzału... Przysięgam.

Bernard Żbik odwrócił się ze wstrętem od tchórzliwej kreatury o zaczerwienionych

oczach. Potem zmienił zdanie o Franciszku Lipińskim. Zwrócił się znów do Downara, ale mówił raczej sam do siebie.

— A pan był ze mną. Ponieważ zaś nikt nie potrafi popełnić samobójstwa przez wbicie sobie w plecy sztyletu aż po rękojeść – więc z tego wynikałoby że dyrektora Stokowskiego zamordował duch, który nadto zamknął za sobą drzwi na klucz, który z nich wyjął nie wiadomo dlaczego. To byłby cud – a w kryminalistyce cudy są policyjnie zabronione.

Zastanowił się.

— Przepisy nakazują mi umieścić panów obu w odosobnieniu aż do przesłuchania. Sądzę, że znajdą się jakieś dwa pokoiki biurowe.

Pomimo protestów zamknął Downara w jego gabinecie, a woźnego w sąsiednim pokoju, i zabrał klucze ze sobą. Zeszedł do hallu, gdzie już przedtem zauważył telefon. Połączył się z centralą służby śledczej.

— To ty, Adam! Dzwonię z Banku Południowego. Połączysz się natychmiast z centralą telefoniczną i zarządzisz przejmowanie wszelkich rozmów z Banku Południowego. Potem przyjeżdżasz tu bezzwłocznie.

Polecenie kontroli rozmów było uzasadnione. Jeżeli zbrodniarz przebywał w gmachu posiadającym kilkadziesiąt telefonów w stu pokojach – to instrukcja Żbika mogła się przyczynić do uniemożliwienia mu matactwa i ucieczki.

Wyszukanie telefonu doktora Dalczewskiego zajęło mu równe pięć minut i na domiar linia była zajęta.

— Hallo! Tu Żbik. Musi pan natychmiast przyjść. Bank Południowy. Morderstwo. Sztyletem w plecy.

— W taką pluchę! A zbrodniarz.

— Ulotnił się.

— Dużo podejrzanych, Vance?<sup>1</sup>

— Nikt, do licha.

— Oho! To coś nowego.

Inspektor usłyszał trzask zawieszanej słuchawki i nacisnął widelki, aby połączyć się na nowo. Telefoniczne zawiadomienie Kobylańskiego, Wielgusa, Rogalskiego, Więcka i Sznajdera było kwestią siedemnastu zakręceń cudownego aparatu Ericssona. Potem jeszcze krótka rozmowa z doktorem nadkomisarzem Luchsem i rola telefonu była skończona.

Odetchnął. Rutynie stało się zadość, specjaliści i pomocnicy nadejdą za kilka lub kilkanaście minut. Zatem można się zastanowić. Ale nad czym? Tu wszystko było zwariowane i pozbawione widocznej logiki. Obliczymy, tak, dla spokoju sumienia, bo inaczej zwariuję: Zobaczyłem Stokowskiego na balu w Resursie – był przerażony. Powód – nie znam – ale powód musi przecież istnieć. Nazajutrz wezwał mnie do siebie i opowiedział początek noweli francuskiego autora, pod tytułem „Zemsta Ozyrysa”, wydrukowanej w zeszłym tygodniu w *Illustrated London News* i przedrukowanej przez jeden z miesięczników polskich (prawdopodobnie bez autoryzacji). Dałem mu więc do zrozumienia, że nie można mnie brać na fundusz. Chciał coś odpowiedzieć i zemdlał, albo udał, że zemdlał, aby jakoś wykaraskać się z całej historii. Wróciłem do domu po dwóch godzinach i zastałem... list z figurką Ozyrysa. Przybyłem do banku dla uzyskania wyjaśnień (czy tylko!) i słyszałem jak Stokowski rozmawia przez telefon wewnętrzny ze swoim sekretarzem, któremu polecił zamówić bilety do Egiptu. Potem aparat zadzwonił, krzyk w telefonie i... to wszystko. Nic więcej? Nic... A więc...

Przypuścmy, że Erazm Stokowski istotnie był umyślowo niezupełnie normalny. Ale Erazm Stokowski został zamordowany. . Zakłuty w bestialski sposób. I człowiek, który zabił – przebywa w gmachu banku, w jednym z tych stu pokoi. Może tam w niszy lub za kolumną,

albo... Bernard Żbik pod wpływem odruchu odnalazł główny kontakt i w ogromnym hallu zapłonęły światła. Dopiero post factum uświadomił sobie dlaczego to uczynił. Nie, tu nie widać było nikogo.

Przycisnął obie pięści do rozpalonych zdenerwowaniem skroni i tak trwał przez chwilę w bezruchu, oparty o skrzynkę telefonu. Wokoło cicho, pusto, bezdusznie. Hall Banku, okienka, tabliczki numerowane, klatki kas, *Upraszamy P.T. Klientów o dokładne przeliczanie otrzymywanych pieniędzy, gdyż...*, szklany sufit, marmurowa posadzka, schody, winda. Ciiicho. Nie ma ludzi. A jednak musi się tu ukrywać jeszcze jeden człowiek. Ten, który zabił. Może! — w kabinie windy. Nie, nie ma go tam...

Zbliżył się do drzwi wyjściowych na ulicę, bo usłyszał dzwonek. Odsunął rygle i wpuścił aspiranta. Zamknął starannie drzwi za nic nie rozumiejącym przyjacielem.

— Stokowski nie żyje, prawda, Bernardzie?

— Przecież nie powiedziałem ci tego wyraźnie. (Lecz znów nie tak trudno było się domyślić.)

— Owszem (–!), wspomniałeś o tym, gdyśmy wczoraj schodzili po schodach, z balu. Pamiętam twoje pierwsze pytanie: Jak długo będzie jeszcze żył pan Stokowski?

(Racja) — Ja byłem pierwszym, który przewidywał śmierć Stokowskiego. I ja byłem w gmachu banku w chwili morderstwa. Może więc ja go zabiłem. Panie inspektorze, aresztuj pana...

— Przestań żartować.

— Wcale nie żartuję. To jest niesamowita sprawa. Boję się.

— Kogo?

— Boję się objawu, że nic nie rozumiem. Ja byłem przy tym i stało się błyskawicznie. Nieprawdopodobnie, niemożliwie prędko.

Opowiedział Adamowi o otrzymanym liście i pokazał mu czarną figurkę Ozyrysa.

— Może ja zwariowałem, straciłem osławione zdolności, ale to jest coś niepojętego. **Kto** go mógł zabić w takim piorunującym tempie? Między krzykiem w telefonie a chwilą, gdyśmy zbiegli ze schodów trzeciego piętra na pierwsze, minęła niecała minuta. Drzwi były zamknięte, klucza w nich nie było. Ja czekałem przez cały czas przed drzwiami, póki Downar pobiegł po woźnego Lipińskiego, który przyniósł zapasowe klucze. Otworzyłem i zastałem już trupa. W całym budynku nie ma ani jednego nieokrątkowanego okna. To przecież bank. Downar był przez cały czas ze mną i... ja byłem przez cały czas z Downarem. Nie śmieję się... Pozostaje woźny. Downar zeznał, że zastał go w dyżurce na parterze odległej o trzy minuty drogi, szybkiej drogi. W tej stronie wewnątrz gmachu nie ma poza tym nikogo. Skarbiec mieści się od zewnątrz, od strony ogrodu i nie ma połączenia z właściwym gmachem.

— Jesteś pewny, że nie ma nikogo w całym gmachu.

— Fizycznie powinien tu być zbrodniarz, lecz psychologicznie nie powinniśmy znaleźć nikogo. Bo człowiek, który wykonał taką zbrodnię nie może być idiotą. O, nie. Pamiętaj o noweli o Ozyrysie i o figurce Ozyrysa, przesłanej mi w kopercie. Wszystko musi się ze sobą wiązać. Ale gdybym wiedział jak – znałbym mordercę. I będę wiedział, psiakrew.

Sławny detektyw był zdenerwowany. Nie mógł sobie darować, że mógłby zapobiec śmierci człowieka, gdyby. . . Gdyby co? Aspirant Billewski spojrział z zaniepokojeniem na swego szefa i przyjaciela. Jeszcze nigdy nie widział go w stanie takiego podniecenia.

— Samobójstwo? — podsunął.

— Nożem w serce, od strony pleców, aż po sam trzon – już myślałem. Niemożliwe nawet dla mańkuta. Zresztą sam zobaczysz i wtedy zrozumiesz, a raczej przestaniesz rozumieć – tak jak ja. O, idą nasi chłopcy.

Otworzył i wpuścił wszystkich. Wywiadowca Wielgus wysłuchał dyspozycji i powtórzył je swoim kolegom. Kobyłański zostanie przy głównych i jedynych drzwiach. Rogalski i Więcek będą obserwować dom od strony ulic, uważać na dach, w razie potrzeby – strzelać. Nie wpuszczać ani wypuszczać nikogo, Kobyłański! Rozkaz... Wielgus i Sznajder obstawią bank od strony ogrodu – instrukcja o broni ta sama co dla poprzednich. Kiedy nadejdą daktyloskop i pan doktor Dalczewski, któremu się nigdy nie śpieszy – wpuścić ich i przysłać na pierwsze piętro. Na teren i pilnować drzwi. Adam pójdzie i uprzedzi Downara i Lipińskiego, że to musi potrwać i uspokoi ich. Potem wróć do mnie i zbadamy bliżej gabinet zbrodni. Na razie to wszystko. Rewizja domu później. Zachowywać się cicho i nie demonstrować swojej obecności nawet optycznie.

— Rozkaz!!!!

— Nie odzywajcie się chórem, wystarczy jeden. Marsz, każdy na swój posterunek.

Wywiadowca Wielgus, dla którego inspektor Żbik był Bogiem nieomal, szturchnął w krzyż swego kolegę Sznajdera.

— Widzisz, mitraliezo, to jest łeb, nasz naczelnik. Ty byś, brachu, w portki narobił w takiej sytuacji, a on nic tylko: marsz. I zobaczysz, jak on tu zaraz przyaresztuje w sam raz kogo należy. Nie bój się.

Inspektor uśmiechnął się nieznacznie, odchodząc.

Skierował się ku schodom, szedł wolno aż zatrzymał się przed wielkimi drzwiami dębowymi z tabliczką: *Dyrektor Naczelny E. Stokowski. Nie wchodzić bez meldowania.* Teraz ostatnia wskazówka była już nieaktualna – już nikt nigdy nie zamelduje się do Erazma Stokowskiego. Bernard Żbik tuż po tej myśli otrząsnął się z sentymentu. Nie było dlań miejsca w tej sytuacji. Przed sławnym detektywem policji warszawskiej stało teraz najtrudniejsze zadanie w jego życiu: rozwiązanie zagadki zbrodni, z której nic a nic nie rozumiał. Wszystkie dane wskazywały na to, że Stokowskiego mógł zamordować tylko duch, gdyż człowiek nie potrafi działać z taką błyskawiczną szybkością. A przecież duchów nie ma. Przecież ktoś musiał wbić sztylet w plecy bankiera w chwili, gdy ten stał przy telefonie. Ktoś – i to żywy, okrutnie żywy człowiek, musiał zamknąć te drzwi i uciec po dokonaniu zbrodni. A może.. może zbrodniarz dotychczas ukrywał się w gabinecie mordu!

Inspektor aż przystanął w bezruchu. Tak, to była przecież jedna, logiczna, możliwa hipoteza, usuwająca i niwelująca ten niesamowity konflikt cudów i absurdów czasowo-przestrzennych. Bernard Żbik przebywał przedtem w pokoju przez chwilę, gdy gabinet był półmrocnie oświetlony. Za biurkiem, we wnęce okna, w szafie, za półką z książkami mógł...

Myśl ta zelektryzowała inspektora. Bez zastanowienia wy dobył rewolwer z kieszeni marynarki i opuścił bezpiecznik. Z ręką na cynglu wszedł do pokoju. Jeszcze u progu, nie przestępując go, równie cicho wyciągnął rękę do kontaktu obok futryny i zapalił wszystkie światła w wielkim żyrandolu kryształowym zawieszonym na łańcuchu pod sufitem freskowym – tak że w pokoju stało się widniej niż w dzień.

Wszystko tu było ogromne jak ten oślepiający żyrandol: Biurko, obok którego leżał trup (jak to przyciąga wzrok, hipnotyzuje wprost)... nawet dwa kałamarze i ołówek reklamowy jednej z firm chemicznych. Suszka, dwa fotele biurowe, dywan w drugim rogu obok okratowanego okna. Na dywanie biblioteka – kanapa obita skórą i odpowiednie klubowce przy okrągłym stoliku. Na blacie tegoż ogromna popielniczka. Wszystko nadmiernie wielkie – detektywowi przypominał się renault, który po tu przywiózł za pierwszym razem.

Sam gabinet był okazały i urządzony z komfortem, ściany, za wyjątkiem jednej, zastawionej kominkiem i szafami bibliotecznymi, wszystkie okryte kilimami, gobelinami i dywanem, skonsolidowanymi barwnie i gatunkowo ze znamienitym gustem, nie po

parwieniuszowski ani po nowobogacku. Człowiek, który je dobrał mógłby się pochwalić swym smakiem artystycznym, gdyby nie to, że już nie był w stanie chwalić się czymkolwiek. Przestał być.

Wszystkie te szczegóły ogarnął Żbik jednym rzutem oka, stojąc we drzwiach z bronią przy biodrze — nie wolno mu było bowiem zapomnieć, że logika wskazywała na fakt, że w tym pokoju ktoś musiał się ukrywać. Morderca.

A logika była wyznaniem Bernarda Żbika.

Może w kominku... Mógł uciec przez kominek. (Uważać na dach – intuicja?) Za biurkiem ani pod nim nie było nikogo. Dywan, kilimy i gobeliny przylegały do ścian szczelnie i bez „guzów”! Za nimi nie mógł się ukrywać nikt. W grę mogła oprócz kominka wchodzić lustrzana szafa na ubrania. No, tak, elegant w rodzaju Erazma Stokowskiego musiał mieć nawet w swym gabinecie pracy bankowej szafę na ubrania. Ale to jest myśl uboczna... Trzeba się odważyć. Czemu... O, jest.

Ciche pukanie do drzwi.

— Proszę! (Jak to dziwnie brzmi, nad trupem).

Aspirant cofnął się z przestachem ujrawszy skierowany w swą pierś długi rewolwer Żbika. Inspektor dał mu znak palcem lewej ręki i rzekł już normalnym głosem. (Dwóch na jednego, jeżeli...)

— Wejdz i zamknij drzwi na klucz.

— Co się stało, Bernardzie. Dlaczego mierzyłeś we mnie z mauzera.

— Możesz mówić głośno. Wyjmij także swój rewolwer. Sądzę, że jednak obejdziemy się bez powieściowego melodramatu. Morderca musi przebywać w tym pokoju, bo nie mógł zdążyć uciec w tak błyskawicznym tempie między krzykiem w telefonie a moim nadbiegnięciem. Przedtem było ciemno. Teraz więc dopiero widzę, jak tu wszystko jest równo, dokładnie ustawione. Kałamarz, ołówki, koszyk na odpadki, wszystko na swoim miejscu, żaden przedmiot nieruszony, nawet dywan nie pocięty...

Zatrzymał się naraz, gdyż wpadło mu na myśl to samo co aspirantowi, co wynikało ze słów tego ostatniego.

— **On** to mógł uczynić, zatrzeć ślady walki w czasie, gdy ty telefonowałaś na dole i wzywałaś nas z centrali. Potem mógł otworzyć drzwi właściwym kluczem, którego nie było w zamku, gdy tyś nadbiegł z Downarem, i wyjść stąd, i...

Zdenerwowanie Żbika z powodu popełnionego błędu, zresztą nieodzownego wobec konieczności pilnowania drzwi w hallu — minęło natychmiast.

— Mógł wyjść stąd — uspokoił się inspektor — ale nie z banku. A ja nie mogłem być w dwóch miejscach jednocześnie i dolny posterunek był ważniejszy. Jeżeli więc stało się tak, jak przewiduje twoja hipoteza, to zbrodniarz przebywa dotychczas w gmachu — a to jest najważniejsze. Jedyne drzwi wyjściowe, zaryglowane od wewnątrz, miałem przez cały czas na oku.

Sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że jest w pokoju zbrodni, gdzie dym tytoniu może zniwelować ślady zapachowe.

— Możemy się zresztą upewnić — powziął nagle postanowienie, gdyż nie mógł darować sobie błędu, nawet koniecznego, i chciał go natychmiast wyświetlić. — Chodź.

Zostawił światła zapalone, zbliżył się do drzwi na korytarz i wyszedł wraz z aspirantem.

— Zostaniesz tu na straży. Zostaw drzwi otwarte i uważaj na gabinet zbrodni i na korytarz. Ja przeprowadzę rewizję całego gmachu.

— To niebezpieczne, o ile...

— Nie sądź. Bank jest obstawiony naszymi ludźmi. Wezmę sobie do pomocy trzech

uzbrojonych mundurowców.

Jak powiedział, tak zrobił. Po telefonicznym porozumieniu się z komisariatem przeszukał w towarzystwie trzech policjantów każdy kąt banku, nawet pokoje, w których zamknął Downara i Lipińskiego. Oczywiście przedtem włączyli główny kontakt elektryczny i oświetlili budynek. Rewizja trwała blisko godzinę, ale po jej ukończeniu Bernard Żbik miał sumienie spokojne. W stupokojowym gmachu nie znalazł nikogo. Wszystkie okna były okratowane. Wobec tego pozostawał jedyny wniosek logiczny, że morderca był w pokoju – w którym go jednak nie było.

Gdy inspektor wrócił do aspiranta – miał strach w oczach. Strach przed absurdem. Prawie na jego oczach zamordowano człowieka w domu, w którym logicznie nikt nie mógł być podejrzany o morderstwo!

A przecież ktoś musiał – musiał! – zasztyletować Erazma Stokowskiego i to prawdopodobnie z ważnych powodów. Jeśli przyjąć jakąkolwiek inną hipotezę – można zwariować. Same anomalia: strach, nowela Leraulta, znak Ozyrysa i teraz – mord bez sprawcy. Nie!

Adama zastał przy wpólotwartych drzwiach do pokoju zbrodni. Aspirant nie zadawał zbytecznych pytań. Ze wzroku przyjaciela wyczytał o bezskutecznym wyniku poszukiwań.

— Można oszaleć, Adasiu. Niepodobna aby...

Przerwał w początku zdania. Przez gęstwą ciszy, poprzez duszną atmosferę zagadki dobiegł uszu obu oficerów policji głośny, wesoly gwizd. Bernard Żbik poznał pierwsze takti Marsylianki i ujrzał wyłaniającą się zza gobelinu twarz, którą poznał od razu. To ten sam młodzik, jakiego na balu w Resursie, w rozmowie z aspirantem określił jako: bystrego i rozgarniętego. Ten sam młody człowiek, który po umyślnym potrąceniu Stokowskiego zwrócił detektywowi uwagę: „Aha! I pański towarzysz pali papierosa. Ciekawe!” Dopiero teraz inspektor zauważył, że jeden z gobelinów zawieszony był na wąskich drzwiach wiodących z gabinetu śmierci do sąsiadującego z nim pokoju – z którego wyszedł człowiek.

Człowiek! Żywy, nawet pogwizdujący sobie beztrąsko. Błogosławiona logiko, która strzeżesz ludzi rozumnych od szaleństwa iluzji i od urojeń bezmyślności. W mózgu Bernarda Żbika myśli usegregowały się błyskawicznie w żelazny łańcuch konsekwencji:

A: W Banku Południowym **musiał** przebywać człowiek, który zabił i nie mógł zdążyć uciec z pokoju.

B: W gmachu **przebywał** człowiek.

C: **Ten człowiek zabił.**

Twarz detektywa znieruchomiała, gdy wpatrzył się ostro w oczy młodzieńca, i rzekł poważnie:

— Proszę przynajmniej przestać gwizdać.

Ujrzał jasny uśmiech na młodym, pogodnym obliczu i usłyszał swobodną odpowiedź:

— Czy gwizdanie Marsylianki jest policyjnie wzbronione, panie inspektorze?

---

<sup>1</sup> Philo Vance – Postać detektywa pojawiająca się w powieściach S.S. Van Dine'a.

## VII

### LOGIKA I FAKTY

Znów wariat? — to była pierwsza myśl Bernarda Żbika. — Ale czemu: znów – Stokowski nie był obłąkany, skoro jego absurdalne obawy okazały się słuszne (o, tragiczny werbalizm) – został zamordowany. Lecz czemu ten młodzieniec uśmiecha się tak beztrąsko. Przecież...

— Dlaczego pan zabił Erazma Stokowskiego?

— Ja!!?... Znam większe przyjemności niż zabijanie szefów.

Młody człowiek wybuchnął zdrowym i tak naturalnym śmiechem, że gdyby nie nakaz logiki – inspektor przysięgłby, że ma przed sobą człowieka niewinnego i nieświadomego zgrozy sytuacji lub... że sam uległ złudzeniu. Niestety, tak nie było. Przed nimi stał śmiejący się młodzieniec i... nagle przestał się śmiać. Oczy znieruchomiały i zatrzymały się na podłużnym korpusie leżącego bankiera, na głowni sztyletu, na aspirancie, na wyraźnym spojrzeniu naczelnego detektywa. Potem twarz rozpogodziła się znów.

— Przepraszam. Teraz pojmuję zakaz gwizdania. Rozumiem też sens pytania o przyczynę zabójstwa. Lecz przykro mi, jak to się mówi – **bo ja nie zabiłem Erazma Stokowskiego**. Będzie pan jednak musiał szukać prawdziwego mordercy, Niestety.

W ostatnim słowie przebijała nawet nuta sarkazmu i sardonizmu. I to wszystko wypowiedziane swobodnie, naturalnie, bez zająknięcia, z otwartą twarzą lub... z mistrzowską maską braku wzruszenia. Genialny gracz – z tym będzie ciężka przeprawa.

— Więc pan chce powiedzieć, że zabójstwa dokonał ktoś inny.

— Wcale nie chcę, ja to twierdzę wręcz i kategorycznie. Tak musi wynikać z faktu, że ja tego jednak nie uczyniłem. Dopiero teraz spostrzegłem trupa i przykro mi, że gwizdałem – choć to są, między nami mówiąc zwykle koszałki-opałki. On — drobna ręka wskazała bez wahania na ciało zamordowanego — on już i tak nic nie słyszy. Biedny chłop – mógł jeszcze żyć. Był bogaty i przystojny, i zdolny. Zdolny człowiek, panie inspektorze.

— Czy pan oszalał?

— Nie.

— Więc po co symulować cynizm, panie... chcę znać pana nazwisko.

— O, to zawsze i chętnie. Jerzy Makarski. A pan jest inspektor Bernard Żbik, przypominam sobie z balu w Resursie. Kto by się tego spodziewał, że się tak prędko spotkamy – choć, prawdę rzekłszy, stary, to jest dyrektor Stokowski już wtedy miał pietra.

Ten człowiek, Jerzy Makarski, nie wiedział nawet, że **musi** być aresztowany pod zarzutem najcięższej ze zbrodni. Krótki rzut oka i opukanie ścian sąsiedniego małego pokoiku, z którego Makarski tak niespodziewanie wyszedł, wykazał, że stamtąd nie było już żadnego wyjścia, nawet zasłoniętego. Inspektor wrócił do gabinetu uspokojony podświadomie. Lecz ten elegancki młodzieniec zachowywał się wciąż tak jakby posądzenie go było absurdem. Widać, nie zdążywszy uciec, obrał taktykę udawania niewiniątka i cynika. Mądry sztych – ale nie z nami, panie Makarski.

— Tylko pan mógł go zabić. Podziwiam pana zimną krew.

— Tak zwaną zimną krew, o ile wolno mi poprawić. A może to jest raczej – i ja twierdzę, że tak jest – prawdziwa niewinność. Każdy medal ma odwrotną stronę, a gdyby nawet miał dwie, to nie nosi się medali na sztorc. Znalazł pan już jakiś ślad konkretny? Przyznam się, że jestem amatorem-detektywem i chętnie pomogę w szukaniu tym bardziej, że...

Urwał i opuścił wzrok zupełnie niespodziewanie. Na twarzy zaszła nagła zmiana. Jerzy Makarski wyraźnie posmutniał, ale wnet otrząsnął się z konsternacji.

— Dlaczego pan nie dokończył.

— To nie miało znaczenia. Prywatna myśl, że tak powiem.

— Jest pan oskarżony o zbrodnię zabójstwa. To nie są kpiny, ani przelewki – lecz śmiertelnie poważna sprawa.

— Już oskarżony? Najwyżej podejrzany lub obciążony poszlakami. Między innymi skończyłem prawo, inspektorze.

— Panie inspektorze — jeżeli wolno prosić.

— Prosić zawsze wolno. Może być nawet – wielce szanowny panie inspektorze. Mnie wszystko jedno. Lubię oszczędność w słowach, szczególnie w słowach zbytecznych i dlatego opuściłem słowo pan. Nie chciałem pana obrazić, inspektorze. A propos oszczędność: o co pan mnie posądza, krótko.

Inspektor Bernard Żbik miał w swej praktyce do czynienia z wieloma typami kryminalistów. Przesłuchiwał już osobnika, który po zaduszeniu nieślubnego dziecka udał się do kina, przesiedział seans komedii amerykańskiej, śmiał się jak wszyscy i potem wrócił spokojnie do domu, aby zatelefonować do komisariatu i oskarżyć się samemu, choć zbrodnię wykonał niemal bez śladów. Żbik rozmawiał już z kobietą, która zastrzeliła męża i kochanka, i wyszła do magazynu po suknię na bal maskowy, na jaki się też wybrała i gdzie ją aresztowano. I z wieloma innymi – ale tak cynicznego i opanowanego mordercy jak ten tu oto nie widział jeszcze. Człowiek kpi, gada banialuki, uśmiecha się – po zabójstwie i wobec policji. To było coś niepojętego – lecz nie dziwnego. Inspektor przekonał się już nieraz, że homo sapiens dzięki zdolności mówienia, jaką obdarzył go nieopatrznie Stwórca, należy do najbardziej dziwacznych stworzeń pod słońcem.

— Słucham, **panie** inspektorze.

— Wyjaśnię, bo jestem do tego zobowiązany — utemperował go Żbik. — Po krzyku w telefonie zbiegłem tu i zastałem drzwi zamknięte na klucz. Po otwarciu znalazłem już trupa dyrektora Stokowskiego. Rewizja w gmachu nie dała wyniku. Więc kto zabił, jeżeli nie pan? Radzę przyznać się.

— Zaraz. O jakim krzyku w telefonie mowa?

— Co to za ton! — zdenerwował się detektyw.

— Normalny.

— Zatem dobrze. Siedziałem z Edwardem Downarem...

— To mój kolega. Ja jestem drugim sekretarzem.

— Siedziałem z Downarem — wyjaśnił Żbik cierpliwie, obserwując jednocześnie ostro — gdy zadzwonił aparat i Downar usłyszał krzyk mordowanego. Zbiegliśmy tu i dyrektor Stokowski już nie żył. Drzwi były zamknięte na klucz – klucza nie było. Pana zastałem w sąsiednim pokoju, z którego nie ma innego wyjścia, jak przez gabinet zbrodni.

Makarski mieszał się, usłyszawszy logiczne i niezahaczalne rozumowanie detektywa sławnego z bystrości i zdolności kryminologicznych – nie stracił jednak rezonu.

— Dziwne, bo ja nie słyszałem żadnego krzyku, a mam bardzo lekki sen.

— Sen?!



— Pracowałem w sąsiednim gabinecie i zdrzemnąłem się nad robotą. Zdarza się często. Ale żebym nie słyszał krzyku i to człowieka, którego mordują. Zastanawiające.

Bernard Żbik przypomniał sobie coś i szepnął aspirantowi kilka słów do ucha. Ten wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie Edwarda Downara. Ten oczywiście z tłącym się papierosem w ustach. Jego sprawa.

— Panie Downar, proszę nam jeszcze raz opowiedzieć dlaczego pan po telefonie zbiegł do gabinetu dyrektora.

— Przecież pan był przy tym.

Żbik skinął głową.

— Ale pan Makarski ma pewne wątpliwości, które ja nazwę grą na zwłokę.

Zbyteczną grą.

Pierwszy sekretarz starał się nie patrzeć na trupa i nerwowo gryzł ustnik papierosa, gdy Żbik zakazał mu palić w tym pokoju. Spojrzał na Makarskiego i ujrzał jego uśmiech.

— Aparat zadzwonił, gdy ująłem słuchawkę, usłyszałem krzyk dyrektora Stokowskiego. Potem...

Pióro aspiranta skrzypiało szybko po liniach notesu, lecz naraz nastąpiła niespodziewana zmiana ról. Jerzy Makarski wystąpił naprzód i stanął tuż przed Downarem, gdy pytał:

— Po czym pan poznał, że krzyczał dyrektor, kolego? Ja byłem w sąsiednim pokoju za cienkimi drzwiami i nic nie słyszałem. Możecie się omylili, namyślcie się, bo ten pan — wskazał na detektywa tym samym nonszalanckim ruchem jak przedtem na trupa — chce mnie zaarrestować pod zarzutem zbrodni morderstwa.

Inspektor uznał interwencję za konieczną.

— Ja tu jestem, żeby zadawać pytania.

— Wiem, wiem. Ale ja mam być tym aresztowanym, jak zaczynam się domyślać. Co krzyczał Stokowski, panie kolego.

— **To ty, Downar, na pomoc.**

Opowiadający wypowiedział te słowa bez intonacji, martwo i protokolarnie – lecz wywarły one wstrząsające wrażenie na obecnych, kiedy pomyśleli, że leżący tu człowiek wołał o pomoc, podczas gdy zimny zbój wbił mu nóż w plecy. Pierwszy opanował się Żbik.

— Dziękuję. Aspirant Billewski odprowadzi pana. Może panu czegoś trzeba...

— Nie — odparł Downar. — Kiedy będę mógł odejść.

— Dokładnie nie mogę określić. Postaram się zatrzymać pana jak najkrócej.

Adam Billewski wyszedł z pierwszym sekretarzem, który wyglądał jak każdy normalny śmiertelnik w takiej sytuacji. Był zrozumiale zdenerwowany, natomiast jego kolega był niezrozumiale spokojny.

— Musiałem mocno zasnąć. Ładna drzemka, swoją drogą.

— Radzę przyznać się, panie Makarski. Jako człowiek inteligentny...

— Taak, mam się dać inteligentnie powiesić – za nic. Do czego mam się przyznać.

— Jaki był powód zabójstwa.

— O tym wie tylko morderca.

— Czyli pan.

— Dookoła Wojtek. To zaczyna być monotonne. Ja nie umiałbym zabić muchy. I po co miałbym zabijać własnego chlebobawcę, płacącego mi pięćset złotych pensji za łatwą robotę w estetycznym otoczeniu i...

— Już drugi raz pan nie kończy zdania.

Jerzy Makarski zmierzył detektywa badawczym spojrzeniem.

— Pan naprawdę chce mnie zaarrestować?

— Nie zwykłem żartować w taki sposób — odparł chłodno Żbik.

— No, tak, racja. Przykra historia — zadumał się i natychmiast odzyskał niezrozumiałą w tym miejscu, istic młodzieńczą energię. — Każdy adwokat obali pańską tezę. Fakt, że **mogłem** zabić, nie dowodzi, że zabiłem. Każdy **może** zabić. **Nie mogę** odpowiadać za to, że mordercy dyrektora Stokowskiego zachciało się zakłuć go właśnie w takich okolicznościach. Czy mówię logicznie?

— Mój panie — przerwał inspektor. — Po co te piękne słówka. Jako prawnik będzie pan miał czas obmyśleć obronę w więzieniu. Dla mnie w tej chwili nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedynie pan mógł zabić dyrektora Stokowskiego. Nikt inny nie mógł tego uczynić w tym czasie. Jestem zmuszony pana aresztować.

— Dokładniej mówiąc — zatrzymać aż do pierwszego przesłuchania. I po co? Aby mnie wypuścić po czterdziestu ośmiu godzinach i narazić się na nieuniknioną kompromitację. Sławny Bernard Żbik. A tymczasem prawdziwy zbrodniarz zwieje, gdzie pieprz rośnie.

— Postaram się udowodnić moje oskarżenie i przyznaję, że tym razem nie będzie to trudne.

— Wątpię.

Inspektor nie odezwał się od razu. Jego spokojne, bystre cezy przesunęły się po przedmiotach otoczenia i znów spoczęły na postaci nieboszczyka. Z aresztowaniem można, a nawet trzeba poczekać aż do przybycia daktyloskopa i lekarza. Na trzonie sztyletu powinny być odciski palców, trzeba wyjaśnić sprawę miniaturki Ozyrysa no i – dla samej formalności – przesłuchać Makarskiego i sprawdzić to, co on opowie. Będzie na pewno kłamał. Nie zdążył uciec i obrał taktykę cynika. Miał czas na – właśnie! – na zatarcie śladów czynu, jak odciski palców na sztylcie i na podłodze. Ta jest zdaje się zupełnie czysta, jakby ją ktoś umyślnie wyfroterował. Na ustawienie przedmiotów na biurku i usunięcie śladów gwałtownej walki. Jeżeli był przytomny i zimmokrwisty, a takim okazał się dotychczas, to na pewno też spalił notatki i ewentualne kompromitujące papiery. To byłoby pierwsze.

Po drugie, trzeba ustalić przyczynę zbrodni. Ot, mechaniczna robota gadano-protokolarna. Tym lepiej. Nie trzeba szukać zbrodniarza wśród niewiadomych, nie ma iksa jak w innych sprawach. A że ten młody człowiek nie przyznaje się do winy – to fakt niekaralny i zrozumiały. Prawo karne daje oskarżonemu przywilej kłamania, gdyż nowoczesna kryminologia opiera się na naukach psychologicznych. Poczekamy, pan Makarski posiedzi dwadzieścia cztery godziny w separacie, poduma trochę, potem zdenerwuje się lekko, e, co mi tam. Nastąpi sześciogodzinne, spokojne, delikatne przesłuchanie na trzy zmiany. Potem czas do namysłu, przerwa i ewentualnie dwanaście godzin badania w krzyżowym ogniu. Nic specjalnego, ani krzyki, ani groźby – nerwy to ludzka rzecz, bodaj jedyna ludzka rzecz. Wróćmy jednak do pierwszego etapu.

— Proszę podnieść ręce, panie Makarski. Zrewiduję pana.

— Bez pozwolenia sędziego...

— Ręce w górę, zrozumiano!

— Tylko nie bić, panie inspektorze — zażartował Makarski swobodnie i usłuchał.

Palce aspiranta z wprawą przeszukały jego kieszenie na piersiach. Ołówek, wieczne pióro, notes-kalendarz, dowód osobisty, jakiś list. Oczywiście obejrzy się i opisze dokładnie.

— Teraz tu.

Adam Billewski sięgnął do bocznej kieszeni marynarki i aż zbladł z emocji, albowiem pierwszym przedmiotem, który wydobył, był **klucz**. Duży, od drzwi.

Bez słowa wsadził go inspektor w otwór zamka i przekręcił. Chwyciło zupełnie lekko, bez trudu. Miał więc w ręku klucz od pokoju zbrodni. Zaginiony klucz. I ten człowiek śmiał przedtem twierdzić, że nie zabił. Silny charakter – patologiczny, niewątpliwie – ale mocny,

zdecydowany, konsekwentny, szybko się orientujący mózg i duża odwaga ducha. Wybitna. Ale.. Nie! Refleksje są niebezpieczne. Bernard Żbik zaniechał rozważań, co mu zawsze trudno przychodziło i podszedł do stojącego na tym samym miejscu Makarskiego. Podsunął mu klucz tuż pod nos.

— No!...

Teraz bladość twarzy sekretarza zamordowanego była już zupełnie wyraźna i nie ustąpiła tak szybko. Przez chwilę zawahał się i wreszcie samorzutnie opuścił wzniesione ręce, rozejrzał się tak, jakby szukał oparcia i rzeczywiście podszedł do kominka. Oparł się o ramę jedną ręką, a drugą zasłonił czoło i pochylił głowę, tak że wyraz oczu stał się niewidoczny. Trzy minuty minęły w zupełnym bezruchu i absolutnej ciszy.

Detektyw nie odezwał się i palcami nakazał aspirantowi, aby nie zakłócił spokoju. Moment psychologiczny. Jeszcze walczy w oskarżonym zwierzęcy instynkt samozachowawczy, może poczucie racji jego czynu, strach i brawura. Za sekundę te czynniki ustąpią we mgłę zdenerwowania pod presją brutalnego realizmu chwili i – załamie się. Może łyzy, nieco prawdziwe i trochę przewrażliwione, samobiczujące i proszące o litość. Może atak szału...

Inspektor zbliżył się nieznacznie do drzwi, zasłonił je i stanął czujny, ostrożny, gotów w każdej chwili do fizycznej i psychicznej interwencji. Ale milczał – zbyt doświadczonym był policjantem, aby przerwać ciszę w takim momencie. Bo sądy wymagają przyznania się lub dowodu – i mają rację. Konfesja jest swego rodzaju zgodą na karę.

Jakież więc ogromne było zdumienie obu oficerów, kiedy po odjęciu ręki ujrzeli twarz spokojną, opanowaną, niezasmuconą, a raczej jeszcze bardziej energiczną ze stalowym błyskiem w oczach. A głos był chłodny, niesamowicie zrównoważony, lekko stężały.

— Pan jest w porządku — Makarski zwracał się wyraźnie do inspektora. — To jest więcej niż przykra historia. Ciężko mi będzie udowodnić, że ja nie zabiłem. Rozważyłem sobie wszystko i przyznaję, że według wszelkich prawideł logiki – ja musiałem zabić. Nie ma tu ani powieściowych ukrytych drzwi, okna są okratowane, trup jest naprawdę martwy i w mojej kieszeni policja znajduje klucz do zamkniętego pokoju. Wszystko się zazębia, całość trzyma się twardo. **Ale ja nie zabiłem.** Nawet nie we śnie lunatycznym. Więc jak?

Zapytał raczej siebie. Bernard Żbik zbliżył się doń i przysunął mu krzesło. Przemówił jak ojciec do syna, jak nauczyciel-wychowawca do krnąbrnego ucznia.

— Sam pan przyznaje, że logicznie musiał pan zabić. Po co więc mamy przyjmować absurdalne hipotezy. Na co opierać się na iluzjach. Jerzy Makarski zabił, nie zdążył uciec i przyjął tę taktykę obrony. To nawet nie pan – to instynkt samozachowawczy Jerzego Makarskiego.

Wymieniony podniósł głowę ruchem szybkim i gwałtownym, tak że detektyw mimo woli cofnął się o krok. Ujrzał znów ten szeroki, pełny uśmiech, jak wówczas na balu – pierwszy raz.

— Niech się pan nie boi, inspektorze. Nie wpadnę w atak wariactwa. Logika, więzienie i koniec, prawda? No, tak...

Westchnął ciężko i sięgnął ręką do kieszeni, w której aspirant znalazł klucz.

— Ja nie, włożyłem tego klucza do tej kieszeni. Nigdy nie miałem w ręku tego przekłętego kawałka żelaza. Jakże więc... — Przerwał znów i tym razem objaśnił nerwowo — Co ja plotę, przecież pan mi nie wierzy. Nikt mi nie uwierzy.

Bernard Żbik obserwował go raczej niż słuchał jego słów. Z doświadczenia wiedział, że oskarżeni, którym udowodniono winę wygadują w takich sytuacjach mnóstwo głupstw, pozują na męczenników, zamieniają się błyskawicznie w anarchistów. Dziwne, że ten człowiek jeszcze nie zaczął usprawiedliwiać swego czynu, że nie nazwał Stokowskiego potworem i...

— Czy mam zaprotokołować, że pan przyznaje się do winy, że w dniu dzisiejszym zabił

pan Erazma Stokowskiego, posługując się w tym celu sztyletem, jaki...

Makarski aż poderwał się na to pytanie. Inspektor był pewny, że teraz nastąpi wybuch – lecz nastąpiło coś innego. Za plecami detektywów od strony drzwi, rozległ się cichy, przejmujący okrzyk i głos. Pięknie modulowany głos niewieści.

— Jurku!! Więc jednak spełniłeś swe idiotyczne groźby. Och, ty głupi, nieszczęsny człowieku. I ty – biedny **ojcze**...

Resztę stłumiło wstrząsające łkanie. Makarski, nie pytając o pozwolenie, podbiegł do kobiety, która na widok zbliżającego się osunęła się bezwładnie w jego ramiona. Zemdląła.

## VIII

### ODCISKI PALCÓW

Zegar na kominku, piękny antyk, wybił szóstą. Spokojnie, bezdusznie, jakby drwiąco. Od dołu, z ulicy, dobiegały krzyki roznosicieli gazet. Nocne wydaa... Ostatnie ciągnięcie loterii... Naturalnie – jednego bankiera mniej, jedna sprawa sądowa więcej, tragedia rodzinna, zrujnowane ambicje, wszystko, wszystko stracone, to o co się walczyło, dla czego się cierpiało, kombinowało, uśmiechało i zgrzytało zębami – jedno życie przestało być, co to znaczy wobec obłąkanego tempa bytu w 1936 roku. Tam, gdzieś, ktoś, dziś wygrał milion lub ćwierć czy pół miliona. Jutro przeczyta w gazecie o zabójstwie znanego bankiera. No to co.... Wygrał milion. Pies tego mordercę trącał. Dobrze mu tak, po co zabijał.

A tu – w gabinecie, w banku – smutno, i cicho i jakoś głupio, bezdennie pusto. Na co to wszystko...

Umieścili elegancką kobietę na fotelu. Bernard Żbik stwierdził, że była więcej niż piękna. Była czarująca. Jedno z tych stworzeń, które są w stanie rozpaść mózg aż do eksplozji dramatu. Optyka czy fluid, czy autosugestia – mniejsza o to, fakt, że tak się dzieje. Miłość?...

Rzeczywistość: wprawdzie nogi ma nieco za grube, ale cała postać, twarz, oczy, usta – anatomia czy psychopatologia? W każdym razie pan Jerzy Makowski, osobnik obwiniony o straszliwą zbrodnię zabójstwa – wyglądał w tej chwili tak, jakby zapomniał o wszystkim. I tylko patrzył z uwielbieniem. Co tam oskarżenie – czytałeś w jego oczach – trup, tragedia. To wszystko zatarło się wobec wrażenia kobiety, na którą patrzył.

Gra? Genialny aktor-zbrodniarz. Czy człowiek śmiertelnie zakochany? Jakże często te dwa stany są identyczne. *Jurku! Więc jednak spełniłeś swe idiotyczne groźby. . Ojczu. Córka zamordowanego! I jednocześnie prokurator życia. Bo nie trzeba było wyraźniejszego oskarżenia. Czego przedtem brakowało do ogniw łańcucha — motywu. Jest już motyw. Groźby, klucz, czas, absolutnie zamknięty teren. To wszystko musi się związać w węzeł szubienicy. Morderstwo z premedytacją. I już mamy przyczynę. Reszta, to będą drobiazgi i niezbędne formalności. Potrważą one krótko. Tu nawet nie ma czego badać. Wszystko jasne jak na dłoni. Robota dla maszynistki. Do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie. Sprawa Jerzego Makarskiego oskarżonego o zbrodnię zabójstwa z art. 225 §1 KK...*

Przykro będzie męczyć tę piękną damę – ale to jest konieczne. O, już otworzyła oczy i spogląda tak, jakby dopiero przyszła. Nie wierzy własnym zmysłom. Może i się omyliłam... To przecież niemożliwe. Linie wzroku mężczyzny i kobiety zetknęły się. Nieme, błagalne spojrzenie z jej strony i zupełnie zrozumiała odpowiedź:

— Janeczko! Ja tego nie zrobiłem. Ja nie zabiłem. Ja znajdę prawdziwego mordercę.

To mocne *ja*. Niezwykły gracz. Charakter! Cóż z tego. Chwila zapomnienia, jakiś zdegenerowany zwój nerwowy, idiosynkrastyczne urojenie, brak namysłu, słaba odporność – i trup. Teraz na pewno żałuje, chciałby odwołać stan faktyczny. Niestety, *restitutio in integrum* jest tu niemożliwością. Twarda, nieubłagana machina sprawiedliwości uchwyci w swe stalowe tryby ten charakter, wymiętosz go, stłamsz, zdusi, zabije i... Tak musi być. Nie zabijaj!

Janina Stokowska spojrzała na Jerzego Makarskiego.

— Ty mi wierzysz. Janko.

— Ja ci wierzę.

Niewdzięczny jest zawód detektywa. Idylla, sielanka, nawet tu...

— Proszę na razie wyprowadzić tę panią, aspirancie. Zostawisz ją pod opieką, rozumiesz.

Poszła posłusznie, bez oporu, jak pod hipnozą. Nawet nie spojrzała na trupa swego ojca.

Uderzyło ją mocno. Cios. Głupie, bezdusznie idiotyczne życie, ludzie, zdarzenia... Po co, dlaczego, czy bez tego nie można żyć.

— Panie Makarski – i po co to było potrzebne – zabić.

Chyba jednak wariat – bo się uśmiecha. Najwyraźniej. Białe drobne zęby i rozkurcz śmiechu. I oczy się cieszą. Oszalał?

— Przeproście mnie jeszcze za to posądzenie. Nie zabiłem i nie cofnę tego twierdzenia. Jestem niewinny.

Chwila przerwy. Uśmiech zniknął, a na jego miejscu zjawił się ten twardy, jeszcze twardszy – płomień w oczach. Zawzięty, lekko wysunięty podbródek. Maską?

— Lecz wiem, że słowa – i to moje – nic tu nie znaczą. Jedynym sposobem ocalenia mnie jest znalezienie właściwego mordercy. Musi go pan wykryć, inspektorze. Niech mi pan pozwoli pomóc sobie. Ja jestem zdolny w tym kierunku, mam pomysły, umiem patrzeć. Mogę się pochwalić sukcesami na polu amatorskiej kryminologii. Byłem kilkakrotnie wymieniany w pismach fachowych. Stokowskiego zabił ktoś inny – więc można go wyszukać. To też jest logiczne.

Studiował kryminologię, amator-detektyw. Zboczenie zdolności? Degeneracja talentu w kierunku niesamowitego eksperymentu? Bardzo prawdopodobne.

— Wiem o czym pan myśli, inspektorze. Lecz ja nie zabiłem.

Znów to samo... Chyba jednak metoda. Koronkowa gra psychologiczna. Potem obrońca postawi wniosek o zbadanie stanu umysłowego. Jerzy Makarski, sprytny zbrodniarz, będzie symulował chorego psychicznie. Zawieszenie kary – umieszczenie w domu zdrowia.

Wyzdrowienie. Prośba do ministerstwa sprawiedliwości. Darowanie kary. Dobry plan. Mózg!

— Nie możemy uwzględnić takiej prośby. Czemu mam szukać. Zresztą, po co tu szukać. Jutro, pojutrze porzuci pan system i przyzna się do winy. Jeszcze kilka formalności.

Mam nadzieję, że nie będzie pan stawiał oporu – to nic nie polepszy – i uda się ze mną do urzędu śledczego.

— Panie inspektorze, błagam pana! Proszę mnie wysłuchać. Tylko wysłuchać. Bode mówić spokojnie i logicznie, choć Bóg mi świadkiem (– Patos?... ) ze wszystko we mnie kipi i wre. Przecież pan jest mądry, zdolny kryminolog i psycholog..

— Do rzeczy!

— Racja. Panie inspektorze – gdyby ja zabił Erazma Stokowskiego, czy zachowałbym klucz w kieszeni. Czy mając go wreszcie przy sobie nie uciekłbym z tego pokoju...

— Nie! Pan nie mógł zdążyć. A potem było już za późno. To pan zabił.

— Zaraz — otarł pot z czoła i znów oparł się o poręczę fotelu. — Przypuśćmy, że nie mogłem zdążyć zbiec. Ale mogłem zdążyć wyrzucić ten klucz przez ten otwarty oberluft i nie zatrzymywać w kieszeni – aby grzebać się samemu żywcem.

— Teraz pan to mówi. Bezpośrednio po czynie, słysząc, że my nadbiegliśmy – stracił pan prawdopodobnie głowę i nie wiedział, co się wokoło dzieje. Uciekł pan więc do bocznego gabinetu i zastanowił się. Stało się – powiedział pan sobie – wpadłem. Muszę więc obmyślić obronę i – obmyślił ją pan dość sprytnie. O kluczu zapomniał pan po prostu. W takich chwilach luki w funkcjonowaniu ośrodków pamięciowych są nieomal nieodzowne. I gdzież tu są pańskie

zapowiedziane argumenty logiczne.

W miarę jak detektyw po kolei obalał każdy punkt obronny, niczym prokurator przed kompletem sędzącym, miody człowiek miękł, topniał coraz bardziej, tracił siły.

— Mam jeszcze jeden argument. Dlaczego miałbym zabijać, na Boga! Motyw?...

— O tym właśnie musimy pomówić. Słyszał pan pierwsze zdanie Janiny Stokowskiej, gdy tu weszła. Kiedy pan „idiotycznie groził” Stokowskiemu i dlaczego ?

— W zeszłym tygodniu. Było to w głupim gniewie. Ja i Janka Kochamy się i zaręczyliśmy się potajemnie. Janka powiedziała, że ojciec nigdy nie przystałby na nasze małżeństwo. Wówczas w gniewie, bez żadnej realnej myśli – powiedziałem, że zabiłbym człowieka, który by nam stanął na drodze.

— Tak nie postępuje inteligentny i wykształcony człowiek.

— Każdy człowiek to zwierzę.

— Bardzo znamienne. Więc pan wtedy powiedział, że zabiłbyś ojca Janki.

— Nie. Miałem na myśli owego nieznanego konkurenta. Nawet nie wiem kto to jest.

— Nie muszę temu wierzyć.

— Musi pan, bo to jest jedyny warunek zdobycia prawdy. Ktoś zabił Stokowskiego. Ktoś uczynił to dla ważnych przyczyn. Trzeba je poznać, a wtedy będziemy mieli wszystkie nici w ręku.

— Już mamy – pana. Logika...

— Precz z logiką, która kłamie. Ja jeden znam fakt negatywny – bo ja tego nie uczyniłem. Pan musi mi uwierzyć. No, musi pan – bo zwariuję.

— Tylko bez hysterii.

— Przepraszam. Już nie będę. Przedtem, do znalezienia klucza – śmiałem się. Teraz jednak widzę, że komuś zależy na moim usunięciu. Musimy znaleźć człowieka, któremu zależy na jednoczesnym pozbyciu się mnie i Stokowskiego. Ta osoba równa się mordercy. Ta osoba włożyła mi klucz do kieszeni, gdy spałem. Ta osoba na pewno sfabrykowała jeszcze inne ślady, które wskażą na mnie. Teraz już nie wątpię.

— Z pewnego punktu widzenia pański system obrony i obecna reasekuracja psychologiczna – są genialne, panie Makarski.

— Inspektorze, jestem doktorem psychiatrii i wiem, co mówię. Wiem na pewno, że nie jestem szalony i wiem, że nie zabiłem. Jestem podekscytowany, ale to jest naturalne w takiej sytuacji. I wiem, że ktoś uwziął się na mnie.

— Skąd ta wszechwiedza. Wiem i wiem... Dlaczego uwziął? Po co mam wypaczać fakty i szukać urojeń i tracić czas bez powodu i gawędzić tu z panem na tematy akademickich dyskusji? Pan się broni, ja to rozumiem, nawet prawo pozwala panu kłamać. Instynkt samozachowawczy i tyle. Nie, doktorze – szkoda tracić czas na próżno.

Ujrzał błysk desperacki w oczach oskarżonego i nie chciał przedwcześnie przeciągać struny.

— Zresztą i tak muszę uczynić wszystko, aby wyświetlić całość wszechstronnie. Jeszcze nie zacząłem śledztwa. Może Stokowski nie umarł od pchnięcia sztyletem. Zaraz będzie tu lekarz. Potem przesłucham pana, pannę Stokowską, rodzinę, woźnego, zbadamy ewentualne ślady, poszukamy. Proszę tylko o spokój i powstrzymanie się od wybryków. Musi pan być silny i... przygotowany na najgorsze...

— Wobec tego, co uczyniłem – to chciał pan dopowiedzieć. Dobrze, będę silny. Mam tylko jedną prośbę. Chcę pomóc, szukać, nie jestem laikiem w tych sprawach.

— Absurd! Temu żądaniu muszę stanowczo odmówić. Procedura nie przewiduje udziału oskarżonego w dochodzeniu.

— Więc jednak jestem oskarżony!

— Bądźmy logiczni, doktorze. Cóż nam może zależeć, aby oskarżyć niewinnego. Widzę pana dopiero po raz pierwszy w życiu i nie mogę mieć uprzedzeń. Dziwi mnie wprawdzie brak wzruszenia wobec faktu śmierci szefa, którego – przyjmijmy na chwilę tę tezę – nawet ktoś inny zabił, co jest jednak niemożliwe. Tłumaczę sobie jednak pański brak współczucia podnieceniem sytuacyjnym.

— Pan jest mądry, bardzo mądry, inspektorze. To jedyna moja nadzieja.

— Aspirant odprowadzi pana do jakiegoś pokoju, a ja tymczasem dokonam oględzin, terenowych. Potem fotografia, oględziny lekarskie i przesłuchania. Jeżeli pan jest niewinny – może coś znajdziemy. Powtarzam – my nie mamy żadnego zainteresowania w fałszywym oskarżeniu.

— To prawda... — szepnął Makarski, jakby do siebie.

— Więc na razie spokój, zimna krew i – cierpliwości.

— Traktuje mnie pan jak dziecko.

— Zostawmy kurtuazję bezrobotnym. Właśnie nadchodzi aspirant.

Bernard Żbik odwrócił się.

— Kogo zostawiłeś z Janiną Stokowską.

— Kobylańskiego. Zastąpił go mundurowiec z komisariatu. Są już panowie z prasy.

— Niech zaczekają. Odprowadź go — tu zniżył głos — do jakiegoś pokoju i umieść przy nim któregoś z naszych chłopców. Wróć od razu. Będzie pisanina.

Usiadł na tym samym fotelu co Janina Stokowska i zamyślił się. Musiał przyznać, że niektóre punkty w zeznaniach Makarskiego były uchwytne. Po co miałby zatrzymać klucz. Mógł go istotnie wyrzucić nawet przez okratowane okno. I miał też czas na ucieczkę z gabinetu, jak sam wspomniał. Przecież on nie wiedział, że w hallu zastanie czuwającego. Mógł spróbować ukryć się w którymś z pokoi banku. Znał gmach i mógł się ukryć. Mógł, mógł, mógł – ale zastano go w pokoju zbrodni, w zamkniętym pokoju. Znalaziono klucz w jego kieszeni. To są fakty, których sędzia śledczy nie może pominąć. System obrony – to tylko system. A te bywają różne. Inteligentny człowiek broni się inteligentnie. Głupiec wykręca się bezmyślnie. Histeryk szaleje i demoluje przedmioty. Cynik drwi z błyszczącymi oczami. Pozostała do wyjaśnienia sprawa figurki Ozyrysa, właściwej przyczyny zbrodni – to co się okazało, jest zbyt blade. Owa groźba wypowiedziana rzekomo w gniewie musiała mieć głębsze podstawy. No, i ta nowela opowiedziana przez Stokowskiego. Te wszystkie punkty trzeba powiązać, skojarzyć.

W ogóle w tej sprawie jest za dużo „może” i za dużo „musi”. Ale po co się martwić. Morderca jest, dowody też, nie trzeba macać dusz i grzebać się w psychopatologii. W każdym razie – coś...

— Serwus! Gdzie umarłak?

Detektyw spojrzał z powagą na lekarza policyjnego, lecz doktor Dalczewski nie zrażał się łatwo.

— Był już fotograf?

— Zaraz nadejdzie.

— Więc po co mnie było tak gnać? Nie zdążyłem zjeść obiadu. Kto?... — wskazał na trupa.

— Dyrektor Banku.

— Erazm Stokowski?

— Ten sam.

— Sztyletem w pierś. Brudna robota. To wszystko pod wpływem literatury brukowej. Romantyzm nawet w kryminalistyce. Nie mógł go zastrzelić?



Bernard Żbik uśmiechnął się.

— Mógł nie mieć rewolweru. Poza tym nóż działa cicho.

— Co to za znak na trzonie.

— Ostrożnie, bo mi pan zetrze ślady.

— Których nie ma.

— Co to?

— Jakiś bożek egipski.

— Ozyrys.

— Pan się na wszystkim zna.

— Spodziewałem się właściwie nastąpienia tej zbrodni.

— Nie udawaj geniusza, Żbiku. Przyjdzie w końcu ten fotograf, czy nie! No, nareszcie...

Urzędowy specjalista zmierzył pozycje fachowym spojrzeniem, ustawił aparat na trójnożu, błysk magnezji i gotów po pięciu minutach.

— Na kiedy odbitki, naczelniku.

— Jak najprędzej.

— Jak zwykle u pana inspektora. Tempo! Do widzenia. Bierz statyw, Józek i nie gap się, ofermo.

— Cześć. Teraz pan, Watsonie.

Lekarz nie dał sobie dwa razy powtórzyć. Zawsze się śpieszył. Zakasał rękawy, rozciął brzytwą pierwszorzędną skrojoną marynarkę, nacisnął kilkakrotnie naskórek na plecach i wreszcie wyjął nóż przez jedwabną chustkę. Był to krótki, nieco zakrzywiony sztylet. Doktor Dalczewski obejrzał go pod światło.

— Pełny skrzep. Najpewniej szybka i bezbolesna śmierć.

— No, nie bardzo szybka – skoro zdążył wezwać pomoc przez telefon.

— Jak to?

Wysłuchał opowiadania detektywa o okolicznościach zbrodni, mruknął „zastanawiające” i bezceremonialnie odwrócił nieboszczyka na plecy.

— Trzymaj pan ten nóż, chociaż dzisiejsi przestępcy zupełnie nieźle orientują się w antropometrii i rzadko zostawiają wizytówki w postaci odcisków naskórka palców. Nie ma głupich. Nie ma mądrych. Nudy są, owszem.

Oświetlił latarką gałki oczne, potem zbadał stopień otłuszczenia skóry, stwardnienie tkanek, stalowym młoteczką opukał kości czaszki i wstał.

— Skończone. Protokół jutro, po sekcji. Drab ma twardą czaszkę i piłowanie wcale mi się nie uśmiecha. Pan oczywiście zatrzymuje ciało zgodnie ze swoją metodą.

— Tym razem nie. Można je zabrać do kostnicy.

— Patrzcie, Żbik staje się oryginalny, życzę powodzenia i moje uszanowanie.

Podał pulchną dłoń inspektorowi i ujął za klamkę, aby stanąć oko w oko z rzeczoznawcą daktyloskopii Centrali Służby Śledczej, nadkomisarzem doktorem Edwardem Luchsem.

— Dobry wieczór. Jak widzę cały sztab w komplecie. Na dole Wielgus et consortes. Na górze wy. Znów wielka gra.

— Nie, nadkomisarzu. Ptaszek został ujęty tak, że aż przykro. Nie chce się jednak przyznać i musimy mu to udowodnić. Uparty człowiek.

Rzeczoznawca skinął głową. W przeciwstawieniu do jowialnego lekarza nie śpieszył się nigdy, choć miał nie więcej czasu od niego. Odłożył rękawiczki i kapelusz. Przywitał się z kolegami i spojrzął chłodno na martwe ciało bankiera.

— Erazm Stokowski. Nie miał kompletnie czystej opinii, ale pokrywał luki złotem. Błędne koło. Zemsta?

Bernard Żbik, do którego zwrócone było to pytanie, otrząsnął się z zadumy.

— Zobaczmy wkrótce. Chciałbym, aby pan obejrzał ten sztylet. Aspirant odebrał już chyba odciski daktyloskopów od oskarżonego, o ile ja znam Adasia.

— Kim jest oskarżony.

— Jerzy Makarski. Sekretarz zamordowanego i coś w rodzaju kochanka jego córki.

Dziwny człowiek. Zagadka psychologiczna.

Ekspert wziął w rękę nóż za ostrze i przez lupę obejrzał trzon rękojeści.

— Oryginalna egipska robota. Znam się trochę na tym. Jakiś znajomy mi bożek. Zaraz...

— Ozyrys — wyjaśnił inspektor. — Jedyne niewytłumaczony punkt całej tajemnicy.

Czekał cierpliwie, przypatrując się czynnościom nadkomisarza, który przy pomocy niklowego rozpylacza pokrył rączkę sztyletu ciemną warstwą węglanu ołowiu, potem szczotką z wielbłądziej sierści począł delikatnie usuwać nawierzchnię. Spod warstwy proszku uwidoczniły się trzy wyraźne ślady odcisków palców.

— Ślady mam. Piękne i wyraźne.

Żbik oddalił się na krótko i wrócił w towarzystwie aspiranta.

— Wziąłeś od niego odbitki palców, Adasiu.

— Skąd wiesz?

— Widziałem, jak zabierałeś teczkę, a ponieważ od pół roku entuzjazmujesz się daktyloskopią...

— Wystarczy. — Oczy Billewskiego wyrażały zachwyt. — Oto dziesięć odbitek.

Ciekaw jestem jak się spodobają memu nauczycielowi i mistrzowi.

— Zupełnie dobre, aspirancie — odparł Luchs z przyjemnością, podszedł na środek pokoju, gdzie światło było najsilniejsze i porównał starannie.

— Jak?

Poważny ruch głowy eksperta i niedwuznaczne spojrzenie wystarczyło Żbikowi i Adamowi dla zorientowania się w rzeczywistości.

— Jeszcze przed ekspertyzą szczegółową mogę stwierdzić, że trzy odciski palców: kciuka, środkowego i wskazującego – na sztylcie są identyczne z odciskami daktyloskopów, które otrzymałem od aspiranta.

Inspektor, który dotychczas chciał mieć wątpliwości, był tym zdecydowanym orzeczeniem eksperta nieco oszołomiony.

— Niezadowolony? — zapytał Luchs lakonicznie.

— Nie o to chodzi. Dlaczego on się nie przyznaje, do licha?

— Zbyteczne, panie naczelniku. — Nadkomisarz Luchs wpadł w ton fachowo-mentorski, jakby miał oznajmić coś nowego. — Dowód z odcisków palców jest w obecnym stanie nauk kryminologicznych uznany za nieodparty... — urwał skonsternowany, albowiem przypomniał sobie, że nie mówi do laików. — Hm, tak — chrząknął — panie aspirancie.

Ujrzał jednak uśmiechnięte oczy Żbika i omal się nie zarumienił.

— Głupstwa gadam, prawda, panie naczelniku.

Odpowiedź inspektora nie miała nic wspólnego z pytaniem.

— Ten Jerzy Makarski jest albo piekielnie wyrafinowany, albo wariat. Przecież w czasie ponad kwadrans miał okazję wyrzucić klucz, zetrzeć odciski palców ze sztyletu, nawet wyrzucić sztylet, ba, symulować napad na siebie samego przez zranienie się tymże samym sztyletem.

— Nie każdy morderca jest takim mądrym zbrodniarzem, jak pan – detektywem, inspektorze. Zamiast rozpatrywania teorii, proponuję przeprowadzić oględziny tego pokoju, przy których mogę być ewentualnie potrzebny. Mam dziś jeszcze ważną robotę w laboratorium.

Bernard Żbik postanowił dostosować się do rady nadkomisarza i poprosił go o pomoc.

Trzej oficerowie policji przeszukali pokój zbrodni według wszelkich prawideł sztuki śledczej. Każdy kąt, każdą szufladę i nawet nie zaniechali odsunąć dywanu, na którym stało biurko. Nie znaleźli nic, co by wskazywało na konkretny ślad. Po co zresztą...

Także wśród papierów na biurku zmarłego nie wykryli nic specjalnego. Gazeta popołudniowa, dwa listy prywatne o nieważnej treści przygotowane do przepisania na maszynie, jak wskazywała notatka, dowodzące wszelako, że Erazm Stokowski nie spodziewał się tak rychłej śmierci; w przeciwnym razie nie umawiały się przecież na brydża ze znajomymi. Poza tym arkusz papieru ze wskazówką na górze: Do przepisania.

Aspirant Billewski odczytał mimo woli, nim wręczył kartkę inspektorowi:

*Warunki: Handel hurtowy, parytet Londyn, ładunki wagonowe, dostawa bieżąca za 100 skrzyń brutto. Notowanie z dnia 23 listopada 1936: Ewentualność doświadczeń waloryzacyjnych albo rozliczeń dekadowych daje okazję wglądu na aktualny rozwój. Monitorować ostatnie rozrachunki dotyczące eksportu ryszpunku contra Abisynia.*

— Jakieś giełdowe kombinacje, Bernardzie.

— Tak mi się wydaje. W każdym razie załącz je do protokołu. Zbadamy potem dokładnie.

Dla spokoju sumienia obejrzał od niechcienia kartkę pod światło i odwrócił ją natychmiast. Gorączkowo przebiegł oczyma po wypisanych na niej ołówkiem, ledwo widocznych słowach:

*Doręczyć Jerzemu Makarskiemu – w sprawie „Ozyrysa”!!!*

— Ozyrysa! — powtórzył inspektor cicho. – I to słowo wypisane było w tym samym zdaniu, co nazwisko mordercy, który nie chciał się przyznać. Czyż trzeba lepszego wskazania na łączność. Wszystko zaczynało się wiązać.. Bernard Żbik był tak zajęty własnymi myślami, że w pierwszej chwili nie dosłyszał słów nadkomisarza i ten musiał je powtórzyć.

— Naczelniku, powiedział pan przedtem, że Ozyrys to jedyny niejasny punkt w całej tajemnicy. Teraz zdobędzie się pan prawdopodobnie na wyjaśnienie. Czemu więc się smucić? Sprawa jest jasna jak wschód.

— Otóż to! — inspektor usiadł na kancie biurka. — **Za jasna**, psiakrew! Jerzy Makarski nie wygląda na idiotę, a postępuje dotąd jak wariat. Zostawia trzy wyraźne odciski palców, zamyka się ze swą ofiarą na klucz i klucz chowa nonszalancko do własnej kieszeni zamiast go wyrzucić. I przy tym śmie twierdzić, że nie zabił. Ba, nawet z początku drwił i kpił. To są dla mnie fakty niezrozumiałe.

— Mógł dostać szoku nerwowego bezpośrednio po czynie i zasnął, jak sam twierdzi. Znamy przecież w kryminalistyce wypadki utraty świadomości u mordercy. Możliwe, że szok Makarskiego trwa dotychczas.

— Myślę również o tej ewentualności i mam zamiar zasięgnąć opinii psychiatry. Tylko wstrząs tłumaczyłby te anomalie w zachowaniu się mordercy... Pomówię teraz z Janiną Stokowską. Chcę wyjaśnić sprawę Ozyrysa.

— A Makarski — wtrącił aspirant.

— Niech zaczeka. Może się w tym czasie rozmyśli.

## IX

### SZABLON

Siódma za dziesięć.

Pokój zbrodni był pusty po wyniesieniu zeń ciała zabitego. A jednak wyraz twarzy jego córki, którą wprowadził aspirant, był taki, jakby wciąż patrzyła na zwłoki zamordowanego ojca, chociaż te zostały przed pięcioma minutami odwiezione do prosektorium, gabinet uporządkowany i nic nie wskazywało na to, co zaszło tu przed niedawnym czasem.

Janina Stokowska była piękną kobietą. I dziwną, co okazało się wkrótce. Zajęła miejsce na wskazanym sobie wyściełanym krześle i w milczeniu czekała na rozwój wydarzeń. Wyglądała zupełnie apatycznie, oczy patrzyły nieruchomo przed siebie, usta zacięte zdawały się strzec jakiejś tajemnicy czy żalu niedopowiedzianego.

Bernard Żbik pisał coś wiecznym piórem w swoim safianowym notesie i nie odezwał się na razie ani słowem. Niezwykle to było śledztwo, inne od dotychczasowych. Nie chodziło w tej chwili o wykrycie nieznanego, raczej o wyświeślenie niejasności, o konsolidację kompletu śladów nie zawsze przecież odkrywanych w logicznym porządku chronologii wydarzeń. Właściwie dla Janiny Stokowskiej przygotował tylko jedno pytanie – ale nie wolno wprost i nie od razu. Musiał pamiętać, że ta piękna kobieta kocha mordercę. Kocha – w tym słowie streszcza się niekiedy wszystko, czasami nic, bo jedynie jedno wielkie genialnie wyrafinowane kłamstwo i psychoza.

— Erazm Stokowski został zamordowany. Czy istnieje osoba, którą pani posądza, lub chciałaby posądzić o dokonanie tej zbrodni.

Spodziewał się odpowiedzi gwałtownej bez względu na treść – łez, wzruszenia bodaj – lecz zawiódł się. Nic takiego – przyjęła okrutne słowa spokojnie i nawet chłodno, ostentacyjnie.

— O tę zbrodnię mogą być podejrzane tysiące ludzi, których Erazm Stokowski skrzywdził i po których nieszczęściu doszedł do majątku i kariery.

Mocno powiedziane. Niespodzianka. Tym większa – wobec zachowania się w pierwszej chwili po ujrzeniu trupa.

— Pół godziny przedtem zareagowała pani zupełnie inaczej.

— Wcale nie. Nazwałam... – Erazma Stokowskiego „biednym”. Mogę to powtórzyć.

Założyła jedną nogę na drugą, ukazując ładnie toczone kolano obciążone świetnie przylegającą matową pończochą. Otworzyła torebkę i sięgnęła po papierosa. Ale nie знаła inspektora Bernarda Żbika. Zbliżył się do niej bez wahania. Energicznie wytrącona srebrna cygaretką wyleciała zgrabnym łukiem na dywan, a papieros poszedł w ślad za nią.

— Co pani sobie myśli. Jestem tu od tego, żeby wykryć prawdę, a nie aby służyć za odskocznię do ekstrawagancji, hysterii i zgrywania się głupiej smarkatej. Proszę odpowiadać po ludzku, krótko i wyraźnie, na pytania. Jeżeli zechce pani w dalszym ciągu zachowywać się w ten sposób, gotów jestem zastosować wszystkie dozwolone środki celem utemperowania.

Iskra gniewu, odbiła się od jego twardego spojrzenia niczym przysłowiowy groch o ścianę. Rumieniec na policzkach Janiny Stokowskiej był silny i nagły. Lecz skutek przemówienia

detektywa był przecież nieoczekiwany.

— Więc co! Czy fakt zamordowania Erazma Stokowskiego ma być podstawą do grzebania przez obcych ludzi w moich najintymniejszych i najbardziej skrytych zakamarkach duszy. Czy mam kłamać i zgrywać się – właśnie zgrywać się – aby idiotyczny dziennikarz miał temat i sposobność do roztkliwiania się nad sprawą, która go tyle wzrusza co mnie to morderstwo. Mam mówić – prawdę?...

— Tylko.

— Dobrze: Zadowolona jestem ze śmierci Erazma Stokowskiego. Był tyranem i twardym dyktatorem pieniędzy, życie było dlań jedną wielką operacją finansową, mającą na celu danie mu władzy i potęgi. Gnębił ludzi, dławił ich, dusił, uśmiechając się słodko, o jakże słodko i.. fałszywie. Był dobry, kiedy to dlań było wygodne, a bezlitosny, gdy chodziło o jego korzyść. Czy można się dziwić, że wreszcie iskra gniewu i ambicji wcisnęła nóż w dłoń jednego z wielu gnębionych płazów i – zabił.

— Kto?

— Każdy z tych, którzy codziennie odchodzili żegnani uśmiechem i z boleścią w sercu, skazani na zagładę przez jego pieniądze. A on przecież powinien był ich rozumieć. Toż on przed dwoma niespełna laty był tym, czym inni. Zwykłym kupcem, urzędniczyną – a potem ta zagadkowa podróż do Egiptu i... – dyrektor Banku Południowego. Figura, potęga, chlebobawca – zmią, nic więcej tylko zmią.

Wymawiała ostatnie słowo ze zgrzytem zębów. Niemal wypluwała je. Inspektor był obserwatorem i psychologiem. W steku historycznych babskich głupstw, podyktowanych na pewno ugruntowaną nienawiścią – wyłowił jeden szczegół, mogący mieć znaczenie.

— O zmarłym nie wolno tak mówić.

— Ha! Bo umarł? Czy dlatego stał się lepszy, wyidealizował się, wypiękniał etycznie? Wcale nie. Gdyby żył, byłby tym samym katem ludzi, tą samą słodko uśmiechającą się salamandrą, takim jak dotąd kameleonem uczuciowym, przybierającym odpowiednią barwę dla każdej sytuacji.

— Na litość boską, to przecież był pani ojciec!

— Nazwałam go tak przedtem – tylko z przyzwyczajenia. Forma. Nie, mój panie. Ja nie nazywam się Stokowska, przynajmniej faktycznie. I nic mnie nie łączyło z tym człowiekiem tylko dlatego, że mojej matce spodobało się sprzedać się Erazmowi Stokowskiemu za packarda, willę, jacht i szynszyle. O, nie.

Zaczynał rozumieć, domyślać się, wnikać w tło.

— To może być ważne dla śledztwa. Reszta, pani ostentacyjne jeremiady w obronie uciśnionych, gnębionych biedaków – zwykły bluff. Jest pani ubrana nie tylko elegancko, ale i drogo. Futro, jedwabie, najlepsze perfumy... Pracuje pani zarobkowo?

— Nie. Jestem dziennikarką-praktykantką.

— No, to jesteśmy w domu. Rozumiem... lecz bierze pani pieniądze od ojca i udaje przede mną heroinę i obrońcę nieszczęśliwych. Ten numer nie przeszedł, panno Janino.

Zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem, w którym dojrzał wszystko oprócz prawdziwej inteligencji.

— Długo jeszcze będę torturowana.

— Nie mogę dokładnie określić — uśmiechnął się detektyw-psycholog. W każdym razie musi pani wyjaśnić mi jeszcze kilka wątpliwych naświetleń.

— Musi.

— Tak, musi. Jerzy Makarski, wedle pani własnych słów groził pani ojcu zabójstwem, jak się domyślam. Poza tym wiem, że w zeszłym tygodniu Makarski oświadczył pani, że zabiłby

człowieka, któryby stanął na drodze waszemu związkowi małżeńskiemu. Krótko, kim był rywal?

Odpowiedź Janiny była wyraźna, co najmniej zdecydowana:

— Nie wiem.

— Jaśniej i dokładniej, proszę.

— Ojciec zapytał mnie raz mimochodem, czy nie mam ochoty wyjść za mąż i wspomniał, że ma upatrzonego kandydata. Kupno – sprzedaż, po bankiersku. Odmówiłam, bo kocham Jerzego Makarskiego.

— Wątpię, czy pani zdolna jest do uczucia, zwanego miłością; po to trzeba być mniej próżnym. Myślę, że Makarski raczej panią bawił. A propos – jak pani przypuszcza, czy Jerzemu Makarskiemu chodziło w tym wypadku o posag Janiny Stokowskiej, czy też był rzeczywiście... zaangażowany uczuciowo.

— Jak pan śmie!

— Śmiem i zdaje się, że dobrze się domyślam, czego znów nie można mieć Makarskiemu za złe. Dziś są takie drańskie materialistyczne czasy.

— Nie chcę wysłuchiwać morałów, panie inspektorze. Proszę mnie od tego uwolnić.

— Przesłuchanie potrwa tak długo, jak będzie potrzeba. Muszę wyjaśnić mnóstwo okoliczności. Kim był kandydat upatrzonej przez pani ojca.

— Nie wiem i nie interesowało mnie to. Byłam z góry zdecydowana na odmowę w tym wypadku.

— Czy pani rzeczywiście nie wie, czy też nie chce, lub wstydzi się powiedzieć.

Panna zacięła się i próbowała udawać obrażoną, inspektor Żbik nie zważał jednak na to. Uznał, że narazić sprawa jest wyczerpana na tym punkcie.

— Słyszała pani coś o Ozyrysie.

— Nie.

Nie było wykluczone i nie mogło być, że w tej chwili kłamała. Można to było wnioskować nawet z krótkości odpowiedzi. Poza tym:

— Pani przecież wyraźnie kłamie. Ja pytałem o Ozyrysa w ogóle, a pani studiuje na wyższej uczelni. Z tego wniosek, że o Ozyrysie musiała pani słyszeć. I dalszy wniosek, że pani wie o jakimś Ozyrysie mi chodzi.

Zbladła.

— Nic nie wiem.

— Pogadamy jeszcze o tym. — Z tymi słowy polecił odprowadzić Janinę Stokowską do oddzielnego pokoju. — Nie zwalniać, będzie jeszcze potrzebna.

Było już pół do ósmej, a on nic właściwie jeszcze nie zdziałał. Ozyrys wciąż pozostawał tajemnicą. Chociaż, co tu ostatecznie było do roboty: wypełnić nakaz aresztowania na nazwisko Jerzego Makarskiego, powiadomić sędziego śledczego i prokuratora i pójść sobie bodaj na spacer lub do kina.

Wciąż jednak nie mógł się oprzeć intuicyjnemu przeświadczeniu, że w tej zagadkowej sprawie jeszcze nie wszystko jest zakończone. Były punkty kompletnie niewyjaśnione pomimo zatrzymania mordercy prawie na gorącym uczynku. Punkty te to:

a) Nowela Leraulta,

b) posążek Ozyrysa,

c) dziwne zachowanie się mordercy,

d) czemu Janina Stokowska skłamała, zapytana o Ozyrysa.

**Ozyrys!** Tu tkwiło sedno zagadki i z chwilą wyjaśnienia tego punktu sprawa nie będzie przedstawiała żadnych trudności. Ale kogo zaindagować, gdzie i co szukać, jak wyjaśnić — w tym rzecz. A czas pędzi na złamanie karku, a oni nie posunęli się ani na krok naprzód. Nic

właściwie nie działali oprócz szablonu. Zatrzymanie obecnych w terenie, zbadanie ciała, fotografia, oględziny, rewizja, daktyloskopia – to potrafi każdy przodownik. Ba, musi potrafić, inaczej marne jego widoki.

Na przykład taka zagadka: Jeżeli Stokowski wiedział, że Makarski ma zamiar z jakichś powodów zamordować go, to czemu nie uwiadomił o tym policji i co stało n a przeszkodzie. To jeden punkt z wielu, a ile jest innych. Czego Stokowski się obawiał...

Ciemno, psiakrew! Mglisto wszędzie i bez przerwy. Bernard Żbik wyjął notes, ot tak, dla fasonu, trzeba przecież coś robić – i zapisał w nim kilka uwag. Usiłował się skupić – bo sprawa była zwariowana, coś nie przystawało, nie zahaczało, jakieś ziarenko tajemnicy zaszpurowało cały mechanizm zagadki i ani rusz. Spojrzał na listę osób, którą – jak zwykle – sporządził sobie dla ułatwienia.

*A) Czas: – chwila zbrodni – telefon.*

*B) Teren: gmach banku – zamknięty.*

*C) Osoby:*

- 1) Edward Downar i Bernard Żbik w gabinecie tego pierwszego – na trzecim piętrze.*
- 2) Erazm Stokowski i Jerzy Makarski w gabinecie – na pierwszym piętrze. Pokój zamknięty i klucz w kieszeni mordercy.*
- 3) Woźny Franciszek Lipiński w swej dyżurce – na parterze.*

Tylko trzy osoby wchodzi w grę – bo jedna już nie żyje, a druga to kierujący śledztwem. Więcej żadnych osób w gmachu nie ma, co wykazała rewizja.

Potem nadeszła Janina Stokowska i wymieniła w rozmowie dwie osoby: 1) „X” – konkurent o rękę, 2) swą matkę. Podstawowa zasada śledcza – wszechstronność – wymaga przesłuchania wszystkich osób, których nazwiska zostały wymienione w notatkach i zapiskach dochodzenia. „X” – konkurent nie mógł być stawiony na razie przed oblicze Żbika. Pozostawała pani dyrektorowa Stokowska i woźny Lipiński. Trudno, trzeba odwalać szablonoową robotę i wypełniać obowiązki, za które otrzymuje się pensję. Nie zawsze zdarza się taka tajemnicza historia, z której odraza można by skleić powieść kryminalną z tajemniczymi wejściami, efektami świetlnymi, browningami i trupem z odrąbaną głową zamordowanym na wszystkie sposoby oprócz możliwych i logicznych.

Wywiadowca Więcek, ze względu na swą inteligencję i wykształcenie nadawał się najlepiej do poufnych, delikatnych misji. Wezwany, stawił się natychmiast.

— Słucham, panie naczelniku.

— Chcę, abyś mi sprowadził panią Stokowską, nawet nie wiem jak jej na imię.

Dowiesz się także adresu, pójdziesz i dostarczysz w opakowaniu, bez hałasu. Rozumiesz.

— Kapuję. Baba zorientuje się, o co chodzi dopiero, gdy stanie przed panem inspektorem.

— Tak. Odjazd! Po drodze zawołasz do mnie woźnego banku. Nazywa się Franciszek Lipiński i jest gdzieś zamknięty w towarzystwie policjanta.

— Rozkaz!

Woźny – chudy, anemiczny, wystraszony płaz – jeżeli użyć określenia Janiny Stokowskiej. Asocjacja, czy rzeczywiste wrażenie, raczej chyba to pierwsze. Drżące kolana, co pół minuty przełknięcie śliny, małe, kaprawe oczka, wzdęty brzuch. Budowa wybitnie

anormalna. Patrzył na inspektora bezdusznie, jak na istotę, której nigdy nie zrozumie.

— Nazwisko...

Imię, lat czterdzieści sześć, katolik, niekarany i tak dalej. Służy w banku od ośmiu lat, wdowiec. Dyrektora Stokowskiego? – zna od dwóch lat. Zgadza się. Nie słyszałem, proszę o powtórzenie pytania.

— Czy dyrektor Stokowski zawsze pozostawał po godzinach urzędowych.

— Ostatnio codziennie.

— Sam?

— Nie, pan Downar zawsze zostawał z nim razem. Obliczali coś, chyba.

— A pan Makarski?

— Dziś po raz pierwszy przyszedł po obiedzie.

— Przyszedł? Nie został.

— Wyszedł na obiad i wrócił po godzinie. Pytał, czy pan dyrektor już jest.

— Wyraźnie wypowiedział słowo: *już*?

Skinienie głową. Tak jest. Potem Lipiński powtórzył zeznania: Nadbiegł Downar i powiedział, że stało się nieszczęście i kazał mi wziąć zapasowe klucze. Co pan robił? Spał, chciał zdrzemnąć się. Zawsze, po obiedzie. Starość nie radość, wiek, panie Boże..

— Dość.

Aspirant zaprotekował dokładnie całe zeznanie. Nudna robota, nieciekawa.

Odprowadził kreaturę i sprowadził Edwarda Downara, który przede wszystkim poprosił o papierosy, gdyż wypalił już wszystkie, jakie miał.

— Proszę.

Żbik poczęstował go madenem i odebrał odeń zeznania do protokołu. Właściwie nie było o co go wypytywać, gdyż inspektor mógłby to zeznać zamiast niego.

— Chciałem prosić, panie inspektorze...

— Do domu? Chyba wkrótce. Już kończymy.

— Nie. Ja mieszkam w gmachu banku. Chcę prosić o pozwolenie udania się do mego pokoju. Przekaszę cośkolwiek.

— Proszę. Nie chcę nikogo zagłodzić. Jeszcze tylko kilka pytań. Słyszałem, że dyrektor Stokowski przychodził ostatnio do banku i pracował z panem w godzinach popołudniowych.

— Przygotowaliśmy wykazy wierzycieli i obliczaliśmy specjalne operacje gwarancyjne. Bo... nie wiem, zresztą, pan jest oficerem policji, więc...

— Śmiało.

— Nasz bank, a raczej dyrektor Stokowski finansował niektóre, hm... ruchy polityczne.

— Zbrojenia.

— Tak.

— Jaka jest pańska opinia o Jerzym Makarskim?

— Bardzo spokojny i inteligentny człowiek. Był ulubieńcem dyrektora.

— Czy nie wie pan, jakie znaczenie odegrało w życiu Stokowskiego słowo *Ozyrys*.

— Usłyszałem je po raz pierwszy z jego ust wtedy, razem z panami, gdy opowiedział tę historię, którą, pan nazwał nowelą.

— Kiedy Erazm Stokowski był w Egipcie.

— Dwa lata temu, zdaje się. Tuż po przyjeździe objął stanowisko dyrektora naczelnego Banku Południowego.

— Czyli wolno wnioskować, że jego podróż na Wschód miała związek z objęciem funkcji dyrektora banku.

— Może nawet była przyczyną tego.



— Jaki był stosunek Stokowskiego do Jerzego Makarskiego.

— Normalny.

— To wszystko. Dziękuję panu.

Pierwszy sekretarz wyszedł i Żbik został w gabinecie śmierci w towarzystwie aspiranta. Ziewnął przeciągle, choć nie był jeszcze śpiący. Ale już mocno znudzony.

— Która?

— Pół do ósmej

— Obliczmy przesłuchanie damy na pół godziny i jeszcze kilka formalności. Na dziś dość, zdaje się. Każę odwieźć Makarskiego do Urzędu Śledczego i robota skończona. Prędko poszło i jestem zadowolony.

— Jest jeszcze kilka ciemnych punktów.

— Ale to się wyjaśni. Grunt, że mamy sprawcę. Wynik dodatni, reszta mięta.

Aspirant spojrział na swego zwierzchnika i przyjaciela uważanie i z zaciekawieniem. Znał go dobrze i niewiele uchodziło jego spostrzegawczości, z której cichy i skromny Adam Billewski był słynny w pewnych kołach.

— I po co ty bujasz, Bernardzie. Jesteś najwyraźniej niezadowolony z tego całego rozwiązania, z dodatniego wyniku, ze schwytania sprawcy i ze wszystkiego od samego początku.

— Nie tyle niezadowolony, ile rozczarowany. Gdy ujrzałem po raz pierwszy Jerzego Makarskiego, określiłem go jako bardzo bystrego i rozgarniętego. Dziś również pierwsze wrażenie było identyczne, człowiek, który wie czego chce. A jednak – jak on się zachował po dokonaniu tego morderstwa – jak smarkacz. Zatrzymał klucz, zostawił ślady palców – a jednocześnie wygląda zupełnie, ale to całkiem, przytomnie. Chyba, że jest umyślowo chory. Więc gdzie moje oczy?

— Jednym zdaniem, chciałbyś uwierzyć temu, że on jest niewinny. W takim razie Stokowskiego musiał zabić duch w masce i my możemy pójść do domu i pisać nowele sensacyjne ze wszystkimi akcesoriami.

— Przestańmy to wałkować, Adasiu. Jeszcze przesłucham żonę zabitego i więcej. Nie chcę mieć z tym nic więcej do czynienia. Tym razem nie będę ani na milimetr pilniejszy, niż tego ode mnie wymagają przepisy. Ograniczę się do zwykłego szablonu. Skoro niejaki pan Jerzy Makarski chciał popełnić samobójstwo przy pomocy Sądów Rzeczypospolitej, kata i całej procedury – to jego sprawa. Ja jestem od tego, żeby wykrywać zbrodnię, a nie żeby wygłupiać się makabrycznie pod takt batuty młodego wariata.

Detektyw zasępił się i zamilkł. Nerwowo bębnił palcami o blat biurka i z zamkniętymi oczyma próbował wyobrazić sobie rozwój wypadków i scenierię: Jerzy Makarski, amator detektyw i osobnik o kryminalistycznym zacięciu postanowił z jakichś powodów popełnić samobójstwo. Nie mając odwagi wręcz, zdecydował się na tak zwane samobójstwo rozszerzone – przez dokonanie przestępstwa, za które zostanie skazany na śmierć. Wiedząc, że Stokowski przebywa w godzinach popołudniowych w banku i żywiąc do swego szefa podświadomą nienawiść (groźby, nawet mimowolne, też mają swe znaczenie), przybył, zakłął swego szefa i zostawił nienaruszone wszelkie możliwe ślady. Po nadejściu policji przychodzi opamiętanie i chęć do życia – co ja zrobiłem! – i broni się możliwymi sposobami, wypierając się w żywe oczy. – Tak by się przedstawiało uzasadnienie psychologiczne zbrodni. Technika wykonania – Jerzy Makarski zbliża się z ostrym, zakrzywionym sztyletem w rękę. Wysoka postać Stokowskiego, który chwyta za telefon. Zdażył wypowiedzieć pięć słów do Downara i – cios w plecy, prosto w serce, Żbik i sekretarz biegną na dół, drzwi zamknięte. Otworzyć! Alarm! Trup! Ktoś musi być na zamkniętym terenie – i jest. Aresztuj! Koniec.

Koniec? A Ozyrys? Pal to sześć, skoro mamy mordercę. Bernard Żbik miał ochotę zdać

resztę śledztwa skrupulatnemu i pozbawionemu polotu romantycznego aspirantowi Kobylańskiemu i iść stąd – bo to wszystko mierzi i nic więcej. Właściwie inspektor nie był obowiązany zostać. Czarna robota. Nic specjalnego. Przdownik rejonowy na pewno nie będzie grzebał w psychologii i psychopatologii – dowody są, sprawca jest, raport, melduję posłusznie panu komisarzowi i basta.

Toteż spojrzął na panią Eugenię Stokowską z lekkim zniechęceniem. Więcek przyprowadził ją wprawdzie nie tak bardzo w opakowaniu i niezbyt cicho, skoro płakała.

Grunt, że była. Usiadła.

Twarz mało inteligentna lecz opanowana, pomimo łez, mogących zresztą stanowić formę – kiedy wypada płakać. Ubrana elegancko i wcale nie stara, przynajmniej młodo wygląda.

— Mój mąż nie żyje, prawda, proszę pana.

Ciekawe, skąd ona o tym wie. I mówi tak spokojnie. Dziwna rodzinka. Jaka mać taka nać.

— Został tylko lekko raniony i czuje się dobrze. Wezwał panią, gdyż chce z panią pomówić o Ozyrysie.

— O kim?

Jeżeli zdziwienie jest udane – to udane genialnie. W każdym razie kłamstwo chybiło celu.

— Kto to jest Ozyrys, proszę pana. Wiem, że mój mąż obawiał się ostatnio czegoś czy kogoś, ale tego nazwiska nie słyszałam.

Cisza. Mimo wszystko pani Stokowska nie wyglądała na bardzo przejętą ni na wzruszoną. Oddychała lekko acz widocznie. Pachniała aż diabli mogą wziąć. Z taką płytką twarzą i z takimi perfumami można było uwierzyć, że nigdy nie słyszała o Ozyrysie. Inspektor ocenił ją na elementarne wykształcenie najwyżej i zaczynał trochę rozumieć anse i pogardę córki. Ale przecież nie o to w tym wypadku chodziło – ta właścicielka jachtu, packarda i szynszylowego futra może nawet być analfaberką – lecz kogo lub co oznaczał Ozyrys? Dotychczas nikt z przesłuchiowanych nic o nim nie wiedział, lub nie chciał powiedzieć.

— Jestem zaniepokojona o męża, proszę pana. Chcę poradzić się lekarza. Erazm był zawsze taki dziwny, wie pan.

Zawsze?...

— Jak dawno państwo są po ślubie?

— Dwa lata.

I *zawsze*. Wszystko jest względne. A świętej pamięci Stokowski kupił sobie żonę – córka nie przesadziła. Co on w niej mógł takiego widzieć? Może płytkość i brak własnego ja. Ciało? – Bóg to wie. Przemógł się i zadał Eugenii Stokowskiej jeszcze kilkanaście pytań. Poza kilkoma wiadomościami o objawach zdenerwowania męża – zdenerwowania dla inspektora zrozumiałego – nie dodała pani Stokowska nic, *wie pan*.

Pozwolił jej wrócić od domu, dodając, że na razie nie może się zobaczyć z mężem, co dama przyjęła obojętnie i została przez aspiranta odprowadzona do wyjścia. Adam wróci oczywiście od razu.

— Cudo nie Packard! Wariacki świat. Nie zgadniesz dokąd ona pojechała! – Do kawiarni.

Bernard Żbik wstał, schował notes do teczki i miał zamiar na dzisiaj zakończyć sprawę, gdy do gabinetu wszedł aspirant Kobylański i zameldował, że Jerzy Makarski chciałby zobaczyć się z panem inspektorem w bardzo ważnej sprawie.

Detektyw zerwał się jak zelektryzowany.

— Przyprowadź go natychmiast.

Propozycja, jaką usłyszeli po chwili od Jerzego Makarskiego, była najdziwniejszą z tych, jakie inspektor mógł sobie wyobrazić.

## PROPOZYCJA MORDERCY

Pierwsze, co zauważył Żbik, była zmiana w obliczu Makarskiego. To już nie te wesołe, pogodne, ba, uśmiechające się oczy. Lśniła w nich powaga i pewna decyzja. Trzymał się prosto i bodaj dumnie – co w połączeniu ze zniknięciem cynizmu spojrzenia stwarzało wrażenie, że człowiek ten powziął jakieś ważne postanowienie. I tak było istotnie.

Drugim odruchem inspektora – po sekundowym entuzjazmie – było zniechęcenie. Bo cóż nowego mógł zaproponować ten młody człowiek oprócz jakiegoś wykrętu, wybiegu, mniej lub więcej sprytnego, odraczającego moment aresztowania o kilka minut lub dni – co będzie zupełnie zrozumiałe. Inspektor Żbik aresztował już w życiu niejednego mordercę i wiedział, że człowiek zaatakowany, nawet przez prawo w osobie jego przedstawicieli, broni się jak może. Usiłuje uniknąć ostatecznego ciosu, godzącego weń nieuchronnie – czy cios ten nazywa się nakazem rewizji osobistej, wyrokiem czy apelacją. Tak też i tu. Ostatecznie technicznie sprawa przedstawia się jasno i przejrzysto i nie trzeba wcale powtarzać znanej nam już argumentacji: – zamkniętego terenu, zamkniętej osoby sprawcy sam na sam z ofiarą. No, i dowody.

Może więc Jerzy Makarski będzie usiłował się usprawiedliwić, powołać się na okoliczności łagodzące, a nawet na przymus nieodporny, stan wyższej konieczności, obronę konieczną w rozmaitych jej formach. Prawnik przecież i absolwent medycyny, pomimo dopiero ukończonych dwudziestu dziewięciu lat. Właśnie – takie forsowne studia mogą wypaczyć charakter, osłabić wolę i – później skutki. Zabójstwo, przewrażliwienie uczuć – oto przyczyna.

Okazało się jednak coś innego. Morderca – jakże inaczej go nazwać – spojrzał na siedzącego na krawędzi biurka detektywa, badawczym wzrokiem przemknął po postaci aspiranta obserwującego go z zaciekawieniem i zbliżył się odważnie.

— Pan chciał złożyć jakieś dodatkowe zeznanie.

— Możemy to nazwać i tak.

— Czy to jest nagle? Może odłożymy na jutro.

— Wolałbym nie. Chcę panu coś zaproponować, inspektorze. Wiem, że moja oferta będzie nieco niesamowita, lecz nie widzę innego wyjścia.

Po tym wiele lub nic nie mówiącym wstępie Makarski rozejrzał się dokoła i rzucił dziwną uwagę.

— Szkoda, że już usunięto ciało.

Co to miało oznaczać. W każdym razie coś niezwykłego. Bernard Żbik zmierzył „obiekt” badawczym, bystrym spojrzeniem. Inspektor uchodził w pewnych kołach za człowieka, którego niepodobna okłamać. Z wyrazu oczu poznał, że obwiniony chce mu powiedzieć coś naprawdę ważnego w jego mniemaniu.

— Przede wszystkim jedna uwaga. Jeżeli wziąć pod uwagę moje nieprzyznanie się, zdziwić musi pana mój stosunek do śmierci Edwarda Stokowskiego. Skoro już obstać przy tym, że nie jestem mordercą, śmierć szefa powinna była dotknąć mnie normalnie. Powiniennem więc popłakać, pobiadać – już choćby w konsekwencji mego stanowiska wobec oskarżenia pana

inspektora. A jednak zachowuję się zimno, ani słowem nie wyraziłem żalu z powodu śmierci człowieka, który był moim szefem i ojczymem mojej narzeczonej. Zastanowiłem się sam nad tym objawem i doszedłem do wniosku, że pańskie oskarżenie, inspektorze, i dowody – zgnębiły mnie nieco. Stąd efekt.

Te uwagi były logiczne i psychicznie prawidłowo wyprowadzone. Zatem znów sprzeczność – człowiek mądry i inteligentny, pierwsze wrażenie się potwierdza, i jak to pogodzić z kluczem i odciskami palców.

— Jestem oskarżony o najohydniejszy czyn pod słońcem — zaczął Jerzy Makarski stanowczo — o mord własnego pracodawcy przez zakłucie sztyletem z tyłu. Wszystkie dowody świadczą przeciwko mnie. Nie jestem taki głupi, zaślepiony i nieinteligentny, aby nie widzieć, nie rozumieć – że sprawa stoi dla mnie w świetle najgorszym. Przeciwko mnie świadczy żelazny dowód z odcisków palców, o którym wspomniał mi pan aspirant, ten dowód – klasyczny ideał każdego detektywa. W mojej kieszeni znaleziono klucz, a mnie samego zastano w zamkniętym pokoju sam na sam z zamordowanym i to w porze, kiedy powinienem znajdować się poza bankiem – bo przybyłem w godzinach nieurzędowych i niewzywany przez szefa. Widzi pan, inspektorze, przyznaję fakty, o których nikt by panu nie mógł powiedzieć, bo Erazm Stokowski nie żyje. To nie on mnie tu wezwał – zwabił mnie jego morderca.

Po tym wstępie do aktu samooskarżenia, zaczerpnął tchu.

— Ponadto bezmyślna groźba wypowiedziana przeze mnie w zeszłym tygodniu pod adresem Stokowskiego, fakt, że byłem potajemnie zaręczony z jego córką, kiedy on sprzeciwiał się kategorycznie naszemu związkowi – to są poszlaki druzgocąco obciążające i zdają sobie sprawę, że nawet najzdolniejszemu adwokatowi trudno byłoby obronić mnie przed sądem i uwolnić od kary, która mi się należy – bo ja nie zabiłem.

Ujrzał drwiąco-wyrozumiały uśmiech aspiranta Kobyłańskiego, kamiennie wyczekującą twarz Bernarda Żbika, lecz nie zraził się tern.

— W tym stanie rzeczy — ciągnął — nie pozostaje mi właściwie nic do czynienia, jak poddać się fatalnemu „zbiegowi” piekielnie dobrze obliczonych „okoliczności” i udać się jak baranek na rzeź, bo tak chce człowiek, który to wszystko zaaranżował. Czy dziwnym się więc wyda, że, będąc przeświadczony o mojej niewinności, postanowiłem podjąć próbę obrony.

Tu zwrócił się wyraźnie do inspektora.

— Wiem, chce pan powiedzieć, że jedyną obroną jest prawda. Ale wy tej prawdzie nie wierzycie – i słusznie. Zbyt dużo dowodów świadczy przeciwko mnie. Pozostaje mi jedno. Znaleźć przeciwdowody. Będzie to trudne, bardzo trudne – bo widzę, że zbrodnia ta została przez wykonawcę obliczona od a do zet. Za dużo w niej wyrafinowanie dobranych przeciwko mnie szczegółów, aby mogły one stanowić jeno przypadkowy zbieg okoliczności. A jednak chcę wierzyć, że gdy poszukam – znajdę może jakiś trop. Mam do tego niezwykły doping – groźbę szubienicy.

Uśmiechnął się.

— Jestem młody, chcę żyć, miałem i mam rozmaite przez instynkt inteligencji podyktowane plany i nie zrezygnuję z nich za jednym zamachem – bo komuś na tym zależy. Postanowiłem się bronić. Panie inspektorze, teraz jest godzina ósma. Niech mi pan da **jedną** godzinę – w której czasie sam przeprowadzę coś w rodzaju śledztwa w pańskiej obecności i postaram się, przynajmniej postaram się, udowodnić mą niewinność. Nie będzie to nawet dla panów strata czasu – i tak procedura wymaga mego przesłuchania, a przysięgam, że nawet w obliczu kata nie zmienię ani słowa w zeznaniu, które usłyszycie – bo będę mówił tylko prawdę!

Bernard Żbik zastanowił się szybko. Propozycja była niezwykła, to prawda – ale godzinę, sześćdziesiąt minut można Makarskiemu dać dla samego spokoju sumienia – tym bardziej, że i

dla inspektora nie wszystko było jasne. Tajemnica Ozyrysa wciąż nie dawała spokoju jego myślom. Bo: 1) co oznaczała nowela o grobowcu Ozyrysa opowiedziana przez bankiera? 2) figurka Ozyrysa, 3) notatki na obliczeniu giełdowym i 4) kłamstwo Janiny Stokowskiej. To były bezsprzecznie cztery punkty niewyjaśnione i Bernard Żbik miał właśnie zamiar zapytać się o nie tego, który zabił Erazma Stokowskiego. Teraz się rozmyślił. – Postanowił poczekać i nie wspominać o Ozyrysie aż do czasu, gdy Jerzy Makarski ostatecznie zrezygnuje z beznadziejnych, aczkolwiek psychologicznie ciekawych, prób obrony. Nie było czego się śpieszyć – skoro mieli mordercę w ręku.

Co mogła oznaczać propozycja zabójcy? Może miał nadzieję zatarcia innych śladów przeciwko niemu świadczących. Chyba jednak nie, albowiem i to, co dotychczas stwierdzono, wystarczało dla jego skazania. Więc.. Ostatecznie godzina to bardzo krótki okres czasu i można się na to zgodzić. Nie wolno zapomnieć, że Jerzy Makarski może jest obłąkany – zdrowy człowiek nie podejmowałby takich... eksperymentów.

Ponadto detektyw-psycholog przyrzekł sobie w duchu, że będzie w tym czasie ostro obserwował mordercę w poszukiwaniu oznak umysłowej nienormalności. Rzecz dziwna, Jerzy Makarski zdawał się czytać w myślach inspektora, czego dowodem były jego słowa:

— I jeszcze jedna uwaga przekonująca, panie inspektorze. Może się wydawać, że zabiłem Stokowskiego w celu samobójstwa rozszerzonego – stwierdzam więc, że tak nie jest.

Widocznie ocenił namysł Żbika jako wahanie. Tym lepiej.

— Dobrze. Nie powinienem tego uczynić, ale daję panu godzinę czasu i będę nawet służył wszelką dozwoloną pomocą – choć Bóg mi świadkiem, że nie rozumiem, co pan może uczynić przez tak krótki czas, co by podważyło niezbitę fakty.

Przez krótką chwilę Jerzy Makarski wpatrywał się z wyraźnym zainteresowaniem w twarz detektywa.

— Pan musi mnie jednak uważać za wariata, prawda, inspektorze? Odciski palców, klucz w kieszeni, zamknięte drzwi – a ja chcę ni stąd ni zowąd wykazać, że Erazma Stokowskiego zabił duch, zjawa. Powieść sensacyjna...

Zamilkł naraz i uśmiechnął się z sarkazmem.

— Najciekawszy jest chyba fakt, że ja sam nie wiem, co zrobić. Może się to wydać niesamowite – ale na podstawie dotychczasowych dowodów sam zaczynam wierzyć, że zabiłem Erazma Stokowskiego. Dalibóg, sam szukam przyczyny. Proszę moją gadaninę ocenić jako arcynudną i głupią, maniacką – jeżeli powtórzę, że jedno co wiem, to – że ja nie zabiłem. Ja nic o tym nie wiem. Spałem.

Uchwycił przyzwalające spojrzenie detektywa i bez wahania skierował się pierwszy ku drzwiom owego pokoiku, sąsiadującego z gabinetem zbrodni. Był to miniaturowy gabinet bez okien oświetlony lampą nad biurkiem. Obok fotel i w rogu sofka z ceratowym obiciem i półka z książkami. Bernard Żbik odczytał grzbiety: Delbrück – *Gerichtliche Psychopathologie*, Lipmann – *Grundriss der Psychologie für Juristen*, Max Simon – *De l'expertise mentale*. Dowodziły one, że Jerzy Makarski nie skłamał i rzeczywiście z amatorstwa zajmował się medycyną kryminologiczną.

Drzwi pokoiku zamykały się szczelnie. Inspektor zbadał je i stwierdził, że mogły nie przepuszczać nawet głośnego krzyku. Lecz to w końcu nie miało znaczenia. Zamknięty teren, klucz w kieszeni, groźby, od-cis-ki pal-ców!

Jerzy Makarski wskazał na biurko. Stała na nim karafka wody, filiżanka kryształowa i szklanka na spodku z resztkami herbaty.

— Zacznę od początku a szukajmy razem. **Jeżeli ja nie zabiłem** – zechce pan to wziąć za podstawę rozumowania w czasie darowanej mi uprzejmie godziny – **to zabił ktoś inny.**

Nazwiemy go szablonowo „zet”. Więc... – O której godzinie słyszał pan krzyk w telefonie, w którego konsekwencji pan i Downar zbiegliście do zamkniętych drzwi.

Bernarda Żbika zrazu oszołomiło to pytanie, zadane głosem pewnym i stanowczym. Swoją drogą podziwiał opanowanie Makarskiego, jego energię – patologiczną czy udaną, to inna sprawa – i siłę woli aktorskiej.

— Była punktualnie czwarta — odpowiedział rzeczowo.

— Dziękuję, inspektorze. A zatem, według mnie, sprawa przedstawia się następująco: Dziś rano przybyłem o normalnej porze do banku i pracowałem do godziny drugiej jak zwykle. Szef podyktował mi trzy listy, polecił mi zreferować prasę fachową – lecz stwierdzam, że Erazm Stokowski był przez cały czas zdenerwowany jakoś i patrzył na mnie dość dziwnie. Mógłby to również potwierdzić jego radca prawny, adwokat Marian Drabicki, który był tu dziś na dwugodzinnej konferencji z szefem.

— Dlaczego wrócił pan po obiedzie do banku?

— Chwileczka, inspektorze, opowiem o wszystkim po kolei. O drugiej pożegnałem się z szefem i udałem się na obiad. Jem w restauracji. Stamtąd chciałem iść do kina, gdy przypomniałem sobie, że zostawiłem na biurku otwarte wieczne pióro bardzo drogiej marki.

Sięgnął do kieszeni i zamilkł, zażenowany, zwracając się do aspiranta:

— Pan zabrał mi je w czasie rewizji.

Inspektor otworzył teczkę.

— Czy to jest to pióro.

— Tak. Jak pan widzi, piekielnie drogie, a ja jestem biedny chłop. I nasz woźny, Franciszek, to patałach i gapa, mógłby złamać pióro jak nic. Wróciłem więc o – zdaje mi się, że to było pięć po pół do trzeciej, restauracja jest tuż obok i ja jem zawsze bardzo prędko, co może pan sprawdzić u kelnerek. Zapukałem tedy do drzwi nieszczęsnego gabinetu i otworzył mi sam dyrektor. Siedział przy biurku. Pisał coś zawzięcie. Mruknąłem przepraszam, on nawet na mnie nie spojrzął – i...

— Powiedział mu pan, po co pan wrócił.

— Nie. Przeprosiłem go tylko, gdyż nie lubił, gdy mu zwracano głowę drobiazgami. Uważał się trochę za coś ponadnormalnego i nie znosił szczegółów nieistotnych.

— To znaczy?

— Takich, które się nie inwestowały pieniądze.

— Proszę opowiadać dalej...

— Będąc już na miejscu, tu, przypomniałem sobie, raczej pomyślałem, że właściwie mogę sobie trochę odpocząć po obiedzie i poczytać. Bardzo lubię czytać. Zdjąłem z półki książkę. .

— Jaką?

— Tę, leżącą na biurku, którą pan teraz wziął do ręki. Tytuł: *Körperbau und Charakter*, Kretschmera. Założona, o ile pamiętam na rozdziale: *O usposobieniu cynicznym i schizoicznym*.

Zgadzało się! Bernard Żbik zawahał się po raz pierwszy. Lecz milczał. Odłożył książkę na to samo miejsce na biurku.

— Czułem się z rana trochę źle, gardło mnie nieco bolało i nie mogłem nawet wypić herbaty — lecz potem, w toku pracy to minęło. Zasiadłem więc do czytania. W tym czasie wypilem herbatę, której resztki pan tu widzi. Przeczytałem pół rozdziału i zdrzemnąłem się, co zdarza mi się często nad książką i o takich porach – ale nigdy tak mocno, abym nie słyszał co się dzieje za ścianą. Te drzwi są wprawdzie dość szczelne... – jak pan zauważył, inspektorze.

— Co było potem.

— Nic. Obudziłem się, pogwizdując wszedłem do drugiego pokoju, ponieważ zdziwiło

mnie jasne światło, zauważyłem pana, i potem trupa – aby zostać aresztowany pod zarzutem dokonania ohydneho morderstwa, o którym nie miałem pojęcia. Resztę pan zna. **I to jest prawda...**

Jerzy Makarski westchnął ciężko, przetarł czoło dłonią i nalał sobie z karafki pełną filiżankę wody, którą wypił jednym haustem. Potem sięgnął po kolei do dwóch kieszeni swej marynarki, gdy przypomniał sobie, że mu je przecież opróżniono. Spojrzał z konsternacją na detektywa.

— Czy mogę prosić o papierosa. Zdenerwowałem się.

Podziękował krótkim skinieniem głowy za podane mu przez Żbika papierośnicę i zapalki. Inspektor widział jednak wyraźnie, że płomień przytknięty do papierosa drżał. Makarski nie przesadzał więc – był istotnie podniecony i wzruszony.

— Tak, panie inspektorze. Oto jest prawda. Gdy aspirant znalazł w mojej kieszeni klucz i potem powiedział mi o odciskach palców – po prostu zdębiałem i przez sekundę chciałem wierzyć, że to ja zabiłem w jakiś cudowny sposób człowieka, do którego nie czułem żadnej nienawiści, ojca mojej narzeczonej i osobnika, którego zresztą podziwiałem szczerze za jego zdolności i energię. Erazm Stokowski był swego rodzaju moim ideałem. No, i teraz mam zostać skazany za jego zamordowanie. Czy można się więc dziwić, że głowa omal nie pęka mi z myślenia. Jak, kiedy – i kto go naprawdę zabił. Trzeba poszukać.

Bernard Żbik oparł się o fotel. Był również skonsternowany. Czuł jakiś niezrozumiały wstyd przed tym, co musiał oświadczyć Jerzemu Makarskiemu.

— Nie mogę wierzyć temu, co pan powiedział.

— Ależ – **pan musi!** — Spojrzał na zegarek. — Jeszcze czterdzieści pięć minut, przyrzekł mi pan. Niech pan wierzy! Niech pan szuka, biorąc za podstawę, że to, co opowiedziałem, jest prawdą. Pan jest wybitnym kryminologiem, fachowcem, człowiekiem o słynnej domyślności. Proszę przez te trzy kwadransy szukać z mojego punktu widzenia.

— Więc jak pan sobie to usiłuje wyobrazić. Pan śpi – powiedzmy – w tym pokoju. Zdrzemnął się pan przy czytaniu. Do gabinetu, na kwadrans przed pańskim obudzeniem się wchodzi morderca i zamyka za sobą drzwi na klucz – a Stokowski nic, czeka na podejście swego mordercy chociaż wie, że mógłby zawołać o pańską pomoc, bo pan jest u siebie. Stokowski czeka cicho, zbrodniarz dochodzi i wbija nóż w jego plecy. Stokowski zamiast wołać o pomoc młodego, zdrowego człowieka, pana, chwyta telefon i woła Downara. W tym samym czasie, zbrodniarz wchodzi do tego gabinetu, wkłada klucz do kieszeni pana – a pan drzemający tego nie czuje. Potem morderca w jakiś cudowny sposób fabrykuje pańskie odciski palców na sztylcie, którym on zabił i ulatnia się po cichu przez dziurkę od klucza zamkniętych drzwi. Proszę stwierdzić trzeźwo – jak ja mam w to uwierzyć.. Jak sąd może dać wiarę insynuacji cudów.

Jerzy Makarski zbladł naraz, przyłożył obie dłonie do szyi, jakby chciał rozerwać kołnierzyk — jakby się dusił.

— Czy może mi pan pokazać sztylet?

Inspektor wyjął z teki kindżał ze znakiem Ozyrysa na trzonie. Makarski spojrzał na narzędzie zbrodni i zwrócił je detektywowi. Był w tej chwili niesamowicie spokojny.

— Zaraz. Zaraz...

Aż usiadł z wrażenia. Nie odzywał się może przez pięć minut. Aspirant i inspektor czekali cierpliwie. Gdy młody człowiek podniósł głowę, ujrzeni obaj na jego twarzy ten wyraz zaciętej stanowczości, który Żbik zauważył już przedtem.

— Panie inspektorze! Zdaje mi się... że zrozumiałem. Czy... czy pan nie odnalazł na biurku zmarłego jakiegoś papieru... notatki do mnie.

Tylko na chwilę ukazał się cień uśmiechu w kącikach warg inspektora. Skąd Jerzy

Makarski wiedział o notatce. Mimo to Bernard Żbik bez wahania wyjął z teczki ostatni z dowodów rzeczowych, ową notatkę giełdową, i wręczył ją oskarżonemu. Ten przebiegł po niej wzrokiem, odwrócił ją i przeczytał ołówkowy niewyraźny dopisek. Twarz jego przybrała barwę jasnego popiołu. Inspektor Żbik postanowił wykorzystać ten moment.

— **Co oznacza Ozyrys**, panie Makarski?

— Ozyrys... to...

Jerzy Makarski nie dokończył. Schwycił się nagle rękami za gardło, wciągnął gwałtownie wdech i runął jak sztywna kłoda na podłogę u stóp biurka. Aspirant przyskoczył i dźwignął go.

— Atak sercowy — szepnął do inspektora.

— Zejdź, wsiądź do samochodu i sprowadź tu doktora Dalczewskiego lub pogotowie.

Dalczewski mieszka na Koszykowej, tuż obok.

Widocznie Jerzy Makarski nie mógł znieść myśli o swym aresztowaniu, może żałował swego czynu. Inspektor umieścił go wygodnie w fotelu i zwilżył jego twarz zimną wodą. I wtedy od razu stwierdził okrutną prawdę. Jerzy Makarski nie żył. Może to lepiej – pomyślał Bernard Żbik — uniknął hańby procesu i więzienia...

Czekał w milczeniu aż do przybycia Adama Billewskiego z doktorem Dalczewskim.

— Drugi raz już odciągacie mnie od ważnej funkcji pożywienia. Dostanę przez pana niestrawności.

Lekarz policyjny spojrzał na poważną twarz głównego detektywa i odechciało mu się żartów.

— Aspirant mówił mi o ataku sercowym.

— Już po wszystkim, doktorze. Umarł.

— Co pan tam wie. Jestem, jak powszechnie wiadomo, lekarzem i ja muszę skonstatować śmierć. Swoją drogą, ten młody miał szczęście. I tak...

Doktor Dalczewski urwał gwałtownie. Wprawnemu oku specjalisty wystarczył jeden rzut. Nie czekając na dalsze pytania, zbliżył się do trupa.

— Latarkę! — syknął — zapomniałem swojej.

Oświetlił gałki oczne, zbadał kąciki warg zmarłego i wyrzekł słowo, którego Bernard Żbik oczekiwał i przed którym drżał jednocześnie – bo stawiało go ono wobec hipotezy absurdu i zjawisk nadprzyrodzonych. Doktor Dalczewski orzekł krótko:

— Ten człowiek nie umarł na atak sercowy. Jerzy Makarski – tak mu zdaje się na imię – został otruty!

Oświadczenie doktora wywarło na aspirancie silne wrażenie – ale to zbladło wobec niesamowicie spokojnych i z przeświadczeniem wypowiedzianych słów Bernarda Żbika:

— Spodziewałem się tego.

— Jak to! — ośmielił się lekarz — Domyślał się pan, że on ma zamiar popełnić samobójstwo i nie przeszkodził pan temu.

— Jest pan naiwny, doktorze. Jerzy Makarski nie popełnił samobójstwa. On został zamordowany.



## XI

### NA ROZDROŻU

Wrażenie słów inspektora było ogromne. Ani na chwilę nie wpadło obecnym na myśl wątpić w jego wniosek lub podejrzewać go o żart. Jako stali współpracownicy wielkiego detektywa znali go aż nazbyt dobrze, aby nie odnieść się doń poważnie. Aspirant Billewski z wielkiego podniecenia sięgnął po papierosa i zużył do jego zapalenia cztery zapalki. Palce drżały mu ze wzruszenia i ze.. strachu. Bo jeżeli...

Doktor Dalczewski również zaniemówił, ale on pierwszy odzyskał panowanie nad nerwami. Jako doktor medycyny i lekarz policyjny był jednak obyty z takimi sytuacjami i uodporniony na podobne wzruszenia bardziej niż inni.

— Na czym opiera pan swe przeświadczenie, inspektorze. Znam przecież okoliczności tej sprawy i nie rozumiem jakby to było możliwe...

— Ja też nic nie rozumiem — przerwał mu Żbik.

— Podejrzewając atak sercowy, skropiłem twarz zmarłego wodą. Wtedy to zauważyłem, że tu już żadna pomoc nie potrzebna. Przestał oddychać i puls zero. Jednocześnie spostrzegłem coś innego. Kilka kropel wody spadło na biały kołnierzyk Jerzego Makarskiego. Proszę obejrzeć te fioletowe plamy na bieli płótna.

Lekarz przytaknął.

— Więc jak, na Boga? Kto zabił Stokowskiego?

— Nie jestem biegłym chemikiem — ciągnął Żbik, ignorując na razie pytanie — i orientuję się tylko powierzchownie. Mam jednak stuprocentową pewność i przekonanie, że analiza wody w karafce wykaże zawartość jakiejś śmiertelnie działającej trucizny, a resztki herbaty w szklance obecność środka nasennego działającego błyskawicznie.

— To kto zabił Stokowskiego — ośmielił się wtrącić aspirant, którego gnębiło to samo pytanie co lekarza i... Bernarda Żbika.

— Pozwólcie mi najpierw wyłuszczyć moją hipotezę. Mordercy – użyjmy terminu nieboszczyka, „zet” – chodziło o podwójny zamach. Pierwszy pewny – to Erazm Stokowski, drugi ewentualny – Jerzy Makarski, **gdyż obaj oni znali tajemnicę Ozyrysa!** Zaprawił więc herbatę poranną Makarskiego środkiem nasennym działającym momentalnie. Jerzy Makarski urzędował stale przy boku szefa i jego obecność stała na przeszkodzie zasztyletowaniu tego ostatniego. Niestety, młody człowiek rano nie wypił tej herbaty i dlatego mord miał miejsce dopiero o czwartej kiedy to a) morderca „zet” nie wiedział o jego obecności bądź też ściśle mówiąc, wiedział o jego zwykłej nieobecności, lub też b) wiedział o jego obecności i wypiciu herbaty i w konsekwencji o śnie.

— Dlaczego Makarski rano nie wypił herbaty, Sherlocku.

— Dlatego, doktorze, że – jak sam to wyjaśnił – *czułem się rano trochę źle, gardło mnie bolało i nie mogłem nawet wypić herbaty*. Ten fakt przesunął termin zabójstwa Stokowskiego. Na nieszczęście dla siebie Makarski wrócił po swoje pióro. Wypił herbatę i zasnął. Herbatą była już wtedy zimna, a nie zapominajmy, że Jerzy Makarski był lekarzem i wiedział, że nie należy pić

gorących płynów na ból gardła. To był prawdopodobnie powód rannego niewypicia.

Doktor Dalczewski spojrział z podziwem na swego przyjaciela. Zawsze podziwiał w nim cudowną erudycję, połączoną z szybkością logicznego wnioskowania i myślenia.

— Przypuśćmy, że dotychczas się zgadza. Lecz jak został dokonany mord na Stokowskim.

— Prawdopodobnie bez cudu. Morderca wszedł, zakłął Stokowskiego i ten zaczął wołać o pomoc Makarskiego. Wówczas zabójca wszedł do tego pokoju i zauważył śpiącego. Wówczas może zatrzał wodę w karafce. I wtedy może wpadł mu na myśl piekielny sposób zwalenia winy na Makarskiego, sposób który z rana zawiódł, bo Makarski nie wypił środka nasennego. Zabójca włożył mu klucz do kieszeni.

— Z czego wnioskujesz, że zabójca chciał zwalić winę na Makarskiego? — zapytał aspirant i zarumienił się, bo sam natychmiast zrozumiał.

— Odciski palców, Adasiu. To nie może być przypadek. Przypomnij sobie pytanie Makarskiego o sztylet. On musiał już przedtem mieć ten kindżał w ręku i wtedy zostawił na nim ślady palców. Potem zabójca trzymał sztylet przez chustkę i... rozumiesz.

Logiczne rozumowanie Żbika było bez zarzutu, a jednak doświadczony stary lekarz, doktor Dalczewski pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Wie pan, że o ile o mnie chodzi, wierzę panu w zupełności. Wątpię jednak czy prokuratura uwierzy. Skąd na przykład morderca mógł mieć pewność, że Makarski napije się wody z karafki?

— Zaczekam z tym do analizy. Jednak już teraz mogę stwierdzić, co następuje: 1) Obecność karafki dowodziła, że Jerzy Makarski miał zwyczaj częstego popijania wody. Ja na przykład też mam ten zwyczaj. 2) środek nasenny, zawarty w herbacie – jak każdy środek nasenny – wywołuje pragnienie po obudzeniu. Przeto twierdzę, że: a) początkowy plan mordercy polegał na oskarżeniu Makarskiego o mord – czego dowodzi niezbitie sfabrykowanie odcisków palców i że b) dopiero o czwartej morderca wlał truciznę do wody w karafce.

— Bardzo ładne – ale pan prokurator powie inaczej. Primo – odciski palców na trzonie kindżału są rzeczywistymi daktyloskopami Jerzego Makarskiego, więc on zabił. Secundo: Jerzy Makarski po czynie i widząc, że nie zdążył uciec, popełnił samobójstwo. Śledztwo zostanie umorzone i basta.

— Postaram się przekonać naczelnika, że ja mam rację.

— I na pewno uda się panu – bo mają szacunek dla inspektora Bernarda Żbika. Lecz co pan osiągnie: nadszarpanie nerwów i jedną bezcenną noc więcej. Poza tym – twierdzi pan, że w dramacie brały udział trzy osoby: Stokowski, Makarski i ów „zet”, morderca. Jak mam sobie wyobrazić jego zniknięcie.

— Doktorze — uśmiechnął się Bernard Żbik nieznacznie — nie piszemy przecież teraz powieści sensacyjnej, w której autor dla efektu gotów jest naciągać sytuacje do absurdu i umyślnie nie dostrzegać niewygodnych szczegółów. Morderca mógł przecież wziąć woskowy odcisk klucza i sfabrykować sobie duplikat. To potrafi dziś każdy osesek, który czyta Wallace’a.

— Dobrze. Więc jak wyglądałaby sprawa pod względem chronologii terminów? O czwartej...

— Pozwoli pan. O czwartej słyszymy telefon w gabinecie i zbiegamy z Downarem. Drzwi są zamknięte. Ponieważ wtedy jeszcze nic nie mogłem przypuszczać, posłałem Downara po Lipińskiego, otworzyłem kluczem zapasowym, stwierdziłem fakt zabójstwa i od razu zamknąłem drzwi i zbiegłem na dół. Nie miałem jeszcze pojęcia o Makarskim i pierwszym moim zadaniem było czuwanie nad jedynym wyjściem z zamkniętego gmachu. Jednocześnie, mając drzwi wyjściowe na oku – zawiadomiłem was wszystkich. W czasie tego kwadransa morderca

otwiera drzwi gabinetu zbrodni swoim kluczem i ukrywa się gdzieś w gmachu. Zaznaczam, że wobec mojej hipotezy o zamiarze pogrążenia Makarskiego, zbrodniarz musiał mieć przygotowany drugi klucz, lub wytrych.

— Więc czemu pan przedtem tak dobijał Makarskiego, którego teraz bronimy, hę?

— To była gra. Proszę spytać Adasia, on mnie dobrze zna i umie patrzeć – ja nie wierzyłem w winę Makarskiego od samego początku. Pan jest lekarzem – czy człowiek normalny, wiedząc że zabił, zostawiłby klucz w swojej kieszeni, zamiast wyrzucić go gdziekolwiek. Czy Makarski – gdyby zabił – nie starłby odcisków palców ze sztyletu, ba, nie wyrzuciłby również sztyletu i nie uciekłby do któregoś pokoju, aby tam jakoś wytłumaczyć swoją obecność w Banku pod jakimkolwiek pozorem. Czy podawałby tak błahy powód powrotu – jak zostawienie wiecznego pióra.

— Jerzy Makarski mógł być chory umysłowo, lub doznać szoku.

— A ja twierdę, że on był normalny i gotów jestem zaprzysiąc to przed sądem. Znam się trochę na psychologii, doktorze. Nie, póki Jerzy Makarski żył, mogłem go atakować, gdyż chciałem od niego pod presją zgrozy własnego położenia wydobyć tajemnicę Ozyrysa, którą on znał. Teraz, po jego zamordowaniu, jest naszym obowiązkiem moralnym wykryć prawdziwego mordercę.

— Gdzie?

— Tu, w gmachu Banku Południowego. Zabójca nie mógł uciec. On tu jest, gdzieś w jakimś pokoju i **gotów jest na najgorsze**. Człowiek, który zabił i siedzi w stupokojowej klatce nie ma już nic do stracenia. Dlatego miejmy się wszyscy na ostrożności – gdyż wokoło grozi śmierć! „Zet” nie mógł wyjść z banku. I on nie wyjdzie!

Ze słów inspektora biła taka siła przekonania i wiary, że obaj sceptycy musieli jej ulec, zresztą bez trudu. Wywód był logiczny i twardy – oparty na doskonałej znajomości psychologii będącej cechą wielkiego psychokryminologa, Bernarda Żbika.

Doktor Dalczewski wzruszył niechętnie ramionami. Był człowiekiem na wskroś praktycznym.

— Tymczasem przybył mi nowy trup do sekcji. Do licha! Czy ludzie mają naprawdę jakąś przyjemność we wzajemnym ukatrupianiu się. Co teraz.

— Muszę mieć szybko wynik, doktorze. Proszę pana również o powierzchowne zbadanie tej szklanki z resztkami herbaty.

Lekarz skrzywił się dla fasonu, wziął do rąk wskazane obiekty, powąchał, „posmakował” i wyjął ze swej nieodstępnej walizeczki niezbędne rekwizyty. Potem, ukończywszy swą pracę, spojrział znów z nieukrywaniem podziwem na inspektora i rzekł po prostu:

— Pan ma rację. No, ale ja już idę. Przyślę po ciało.

— Może pan jednocześnie odwiezie mi karafkę i szklankę do ekspertyzy. Proszę im powiedzieć, że ja nalegam na szybkość. Musimy schwytać zbrodniarza najpóźniej w ciągu dzisiejszej nocy.

— Czy nie jesteś zbyt pewny siebie, Sherlocku.

— Wcale. On przecież musi być w gmachu. Więc...

— Życzę szczęścia.

— Dziękuję. Adasiu, odprowadzisz doktora i wrócisz tu z Wielgusem.

Mały wywiadowca zjawił się po kilku minutach. Rzucił tylko okiem na ciało Jerzego Makarskiego i wpatrzył się w surową twarz inspektora Żbika. Wiedział doskonale, że teraz nastąpi tempo, szalone, piekielne, bo...

— Wielgus!

— Słucham, panie inspektorze.

— W tym gmachu przebywa zbrodniarz. Zabił dwie osoby. On nie powinien uciec – w żaden sposób. A uczyni wszystko, aby się wydostać.

— Rozumiem, panie naczelniku. Już my go przypilnujemy. Jak on wygląda.

— Nie wiem. Wiem, że musi tu przebywać. Zawiadomisz Więcka i resztę. Pilnować wszystkich okien – on może przepiłować kraty.

— Przecież rewidowano dom, panie inspektorze.

— To nic nie znaczy. Sto pokojów, hall – jeden człowiek obznajmiony z terenem mógł jeszcze znaleźć kryjówkę. Chodzi o to, żeby nie wyszedł, rozumiecie. Już ja go poszukam. Lecz nie mogę na ślepo. Muszę szukać z linią – **muszę wiedzieć co oznacza Ozyrys.**

— Jak pan naczelnik powiedział?

— Nic Wielgus. Odstąpić i pamiętać.

— Nie ma obawy. Rodzonego ojca nie wypuścimy.

Wyszedł zadumany – lecz energiczny, nieomal zawzięty. Bo inspektor kazał. Kochany, mądry naczelnik.

Bernard Żbik został sam z Adamem Billewskim. Był w rozterce. Wprawdzie wierzył szczerze w swój wywód, podyktowany doktorowi i aspirantowi, lecz nie mogło być wykluczone, że jednak Jerzy Makarski popełnił samobójstwo. Gdyby tu znaleźć jakiś ślad, dowód, to by uprościło sytuację, nadałoby poszukiwaniom charakter, pewność, siłę dowodową.

Wrócił do gabinetu śmierci.

Przedtem poszukiwania były, przynajmy to – trochę niedbałe, powierzchowne – bo mieli przecież „sprawcę” i dowody. Bernard Żbik nie wierzył wtedy ani temu, że jest sprawcą, ani „śladom” — ale fakty zniewalały go do ówczesnego, a nie do obecnego stanowiska. Musiał więc nacisnąć Makarskiego – teraz to stało się zbyteczne. O, tragizmie „pięknego” życia – trzeba było aż śmierci Jerzego Makarskiego, żeby uwierzyć w jego niewinność. Brudny, wstrętny świat... lecz precz z sentymentalizmem filozofii.

Precz! – bo w gmachu przebywa śmierć. Zabójca, który czyhać może zza każdego kąta, w każdej szafie lub biurku w tych stu pokojach i siedemnastu korytarzach, iluś tam przedsionkach, schodach i windach. Właśnie.. Inspektor aż stracił na chwilę panowanie nad sobą. Przeprowadził przedtem z mundurowcami szczegółową rewizję, lecz nie zbadali dwu wind. Dużych, przestronnych...

— Adam!

Aspirant znalazł się tuż obok, gotowy, czujny, baczny, nieoceniony – bo nie pytał nic, tylko czekał.

— Nie przeszukaliśmy wind. Chodź!

Zamknął drzwi na klucz, skinął na stojącego ze Stefanem na korytarzu policjanta mundurowego i wydał mu krótkie dyspozycje. Nikogo... Strzelać – strzelać pierwszy, człowieku, bo ciebie zabiją.

— Tak jest, panie inspektorze (A w łagodnych oczach „władzy” strach normalny, ludzki, konieczny. Ot...)

Piękne schody, marmur, dywany, złożone sztaby poręczy, bogato, przepych, pieniądze – śmierć. Wielka winda główna. Otworzył – pusta.

— Wjedziesz na górę – a ja sprawdzę dół, maszynę.

— Niepodobna wjechać przy otwartych drzwiach.

— Racja, Adasiu. I niepodobna otworzyć drzwi podczas jazdy, aby winda nie stanęła.

Więc on też nie mógł.

Pytające spojrzenie aspiranta.

— On, „zet”. Jestem zmęczony.

Wcale nie był zmęczony. Po prostu, właśnie... Gdzieś, w jakimś kąciku mózgu, w niepozornej szufladce rejestratora świadomości, tkwiła iskra, pyłek myśli o tragicznej prawdzie. Tam znajdowało się rozwiązanie zagadki. Lecz na razie..

— Idziemy do drugiej windy.

Próżna, ładna, bezduszna pomimo luster. Ale zbrodniarz – musi być. Nie tu – to gdzie indziej. Wzięli sobie do pomocy mundurowego policjanta i zbadali po kolei wszystkie trzy piętra i . nic.. Może gdzieś, za rogiem, o, tam, za jakąś wnęką, we wgłębieniu niszy, czyha człowiek z bronią w rękę – Ozyrys. Nie, to złudzenie, cień. Więc może tam. . Za chwilę strzeli, rzuci – co zrobi?...

Wrócili na pierwsze piętro przygnębieni, zdławieni potęgą tamtego — który może istniał tylko w hipotezie Żbika – bo...

— Próżna nadzieja — westchnął aspirant i omal nie cofnął się pod biczującym wzrokiem swego szefa, który jednak natychmiast złagodniał.

— Nie wolno tak mówić oficerowi policji, Adasiu. Każdemu innemu – ale nie nam.

Pomożesz mi w dokładnym zbadaniu tego pokoju i gabinetu Makarskiego.

Ujrzał wchodzących sanitariuszy i przez asocjację optyczną wspomniawszy słowa doktora Dalczewskiego: Nadszarpanie nerwów i jedna bezsenna noc więcej. Ba, gdyby on, Żbik, umiał tak myśleć. Lecz nie potrafił – nie ma rady. Był kłębowiskiem energii i nie znosił nierozwiązanych problemów. A Ozyrys był wciąż zagadką.

— Można zabrać ciało?

— Tak. Już było rewidowane... przedtem.

Nie wyjaśnił sanitariuszowi, co miał na myśli i zaczekał aż wyszli.

— Teraz...

W głosie inspektora przebijała siła i ogromna zaciętość. Podczas gdy on oglądał starannie każdy przedmiot, aspirant notował prędko, bo Kodeks Postępowania Karnego i Instrukcja Śledcza też mają swoje wymagania, notabene słuszne. Zbadał dokładnie wszystkie szuflady biurka bankiera, każdy świstek, przedmiot, dywan, ściany, kazał zdjąć gobeliny, opukiwał, auskultował niczym chorego. Na próżno. To samo powtórzyło się w gabinecie Jerzego Makarskiego.

Bernard Żbik przewertował wszystkie, dosłownie każdą książkę naukową z biblioteki nieszczęsnego amatora-kryminologa. Lecz nie znalazł nic konkretnego. Można się było po prostu wściec. Ta zbrodnia była albo wyliczona z diabelską precyzją – albo... oni mają rację, a hipoteza Żbika to – teoria. Lecz psychologia, ta królowa nauk – dopingowała go do odpędzenia zniechęcenia. Nie wolno opuszczać rąk bezradnie. Spojrzał w pewnej chwili na aspiranta.

— Martwy punkt, Bernardzie.

— Nigdy, Adasiu. Dopiero teraz się zaczyna. Musimy rozpocząć od nowa śledztwo, skrupulatne, zawzięte, z samozaparciem, kamienia na kamieniu nie zostawić i znaleźć. Bo mamy nad „zetem” jedną przewagę...

— Jaką?

— Trzymamy go w pułapce. Pamiętaj o niezależnym, odrębnotorowym działaniu jego nerwów. On wie, jeżeli istnieje – a ja jestem tego pewny – że my go stąd nie wypuścimy, i to przeświadczenie, ten strach uwięzienia już przed zdemaskowaniem – załamać go musi psychicznie, wcześniej czy później. Jestem gotów z narażeniem własnej kariery ewakuować bank, zaprowadzić stan oblężenia, zagłodzić mordercę – ale muszę go złapać i wykryć. Nie zapomnij o kardynalnej zasadzie moich śledztw, której dałem kiedyś wyraz w sprawie „człowieka z Kimberley”: Jeżeli fakty materialne popadają w sprzeczność z faktami psychologicznymi – wówczas fakty materialne polegają na złudzeniu.

— Czyli...

— Sfabrykowanym złudzeniem jest odcisk palców, ukartowaną fatamorganą jest klucz w kieszeni Jerzego Makarskiego – on nie mógł tak postąpić. Po co? I mam jeszcze drugi atut najważniejszy.

— Ozyrys?

— Właśnie. I kobieta o nim coś wie. Narzeczona, a może kochanka Jerzego Makarskiego. Adasiu – idź i przyprowadź Janinę Stokowską, która skłamała, mówiąc, że nie wie nic o Ozyrysie.

W głosie inspektora przebijała stanowczość granicząca z wyraźną groźbą. Aspirant skierował się posłusznie ku drzwiom i w tej chwili w pokoju pogaśły wszystkie światła. Jednym skokiem znalazł się inspektor przy telefonie. Rewolwer trzymał w lewej ręce.

W następnej minucie Adam Billewski ujrzał słup światła z latarki Wielgusa stojącego w progu na korytarzu.

— Korki się musiały przepalić.

Aspirant chciał coś powiedzieć, gdy nagle poczuł na prawym ramieniu żelazny uścisk palców i usłyszał cichy szept Bernarda Żbika:

— Gdzie zostawiłeś Janinę Stokowską? Jerzy Makarski wiedział o tajemnicy Ozyrysa – i umarł. Prowadź!

Świecąc latarkami, wybiegli niemal na korytarz, zalecając Wielgusowi i policjantowi czuwać przy drzwiach. Adam Billewski szedł pierwszy w kierunku pokoju, gdzie zostawił Janinę Stokowską. W połowie korytarza zatrzymali się naraz, gdyż znów zapłonęły światła w gmachu Banku Południowego i od dołu dobiegł znajomy głos Kobyłańskiego:

— Już naprawione, Wielgus! Krótkie spięcie!

Przed drzwiami z napisem „Rachuba” aspirant zatrzymał się i spokojnie nacisnął klamkę. Jednocześnie przypomniał sobie, że wchodzi przeciw do kobiety i zapukał, lecz z wewnątrz nie rozległo się żadne „proszę” ani „wejść”.

— Boże!!

Bernard Żbik pierwszy wpadł do pokoju i zakreślił kontakt. Pokój był pusty. Janina Stokowska zniknęła...

Lecz o wiele więcej niż fakt zniknięcia kobiety wpłynęło na aspiranta jedno słowo Bernarda Żbika:

— **Nareszcie...**

## XII

### NA MARTWYM PUNKCIE

Zniknęła i znała tajemnicę Ozyrysa lub jej część. Jakże to logiczne i konsekwentne.. z punktu widzenia... „Ozyrysa” — zastanowił się inspektor. — Najpierw zakłuł Stokowskiego, przygotował w podwójny sposób śmierć Jerzego Makarskiego i teraz przewidział, że Janina może zacząć mówić, gdy dowie się o śmierci ukochanego. – A nie ma jej.

— Może wyszła na chwilę. Jako córka dyrektora znała rozkład budynku. Może udała się do domu...

Bernard Żbik spojrział na aspiranta, który wyrzekł te słowa.

— Po co odsuwać prawdę, Adasiu, udawać, że jej nie widzimy. – Tak postępują tylko ludzie słabego ducha. Przecież nikt nie wypuścił Janiny Stokowskiej. I to zgaśnięcie świateł w tym gmachu-labiryncie. Wiesz, jak się powoduje krótkie spięcie. Wystarczy wykrcić którąkolwiek żarówkę i dotknąć kontaktów jakimś metalowym przedmiotem. Każdy uczeń wie o tym. Czemu nie znalazł tego sposobu on.

— Kto?

— **Zet.**

Adam Billewski milczał zdenerwowany. Poczował się do odpowiedzialności za fakt, że mimo braku wyraźnego rozkazu, on na własną odpowiedzialność nie zostawił Janiny pod asystą. Ale skąd mógł wtedy przypuszczać, że Jerzy Makarski zostanie zabity i że... Głowa go rozbolała. Zegarek wskazywał dziesiątą. Sześć godzin, a tyle już wydarzeń. Wczoraj o tej porze właśnie ujrzeni na balu Erazma Stokowskiego. A dziś – Stokowski...

Bernard Żbik zachował spokój wprost niesamowity. Zniknięcia Janiny ani na sekundę nie przypisywał przypadkowi, wiedział, że była ona błyskawicznie zaplanowanym i konsekwentnie przeprowadzonym posunięciem w akcji obronnej... Ozyrysa. – Tak nazwał zbrodniarza w myśli. A pomimo to inspektor nie stracił zimnej krwi, nie wszczął alarmu i nie pchnął wszystkich ludzi na poszukiwanie Janiny Stokowskiej. Przecież on sam przedtem dwukrotnie przeszukał ogromny gmach banku i nie znalazł zbrodniarza, który jednak musiał się w gmachu znajdować.

Inspektor powiedział tylko: *nareszcie*. Nareszcie miał dowód słuszności swej tezy i słów Jerzego Makarskiego. „Zet” przebywał w Banku Południowym – zabił Stokowskiego; włożył klucz do kieszeni Makarskiego, uspił go, sfabrykował odciski jego palców – ostatni fakt nie graniczy nawet ze strefą niemożliwości: wystarczy wręczyć odpowiednio spreparowany (najlepiej lekko otłuszczony i zaraz potem mocno wytarty) przedmiot osobie, której odciski palców chcemy otrzymać, potem już ten negatyw należy ochronić od zniszczenia śladów – i uderzył, trzymając sztylet zręcznie przez jedwabną chustkę. Jerzy Makarski musiał sobie ten zabieg przypomnieć – gdy powiedział: *zaraz... zaraz!... Zdaje mi się..., że zrozumiałem...* Ale gdy mówił te słowa jad trucizny z wypitej filiżanki wody już działał...

Nie wiadomo, czy zeznanie Makarskiego miałyby jakąś wartość dowodową. Zbrodniarz musiał o tym wiedzieć i zaasekurował się znakomicie. Jego adwokat na pewno podważy tezę Żbika, nazwie ją urojeniem, zbytnią gorliwością naszej policji... Lecz to na razie nie ma

znaczenia. Janina Stokowska zniknęła, światło zgasło – co razem nie oddaje jeszcze zbrodniarza w ręce sprawiedliwości...

— Czemuś się tak zamyślił?

— Głupia sytuacja — stwierdził Żbik, powoli odzyskując równowagę ducha. — Wiem, że morderca dwóch ludzi przebywa w tym domu i teoretycznie cała sprawa nie powinna przedstawiać trudności. Wystarczy zażądać z inspekcji budowlanej planu gmachu i sprowadzić tylu policjantów, ile tu jest ubikacji. W każdym pokoju umieścić policjanta, przewertować wszystkie kąty, zbadać korytarze i inne pomieszczenia i ująć przerażonego draba, który musi tu być. Aresztować go i iść do domu spać. Proste, nieprawdaż.

— Zupełnie dobry pomysł — ucieszył się aspirant. — Krótko, węzłowato i efektownie jak na inspektora Bernarda Żbika przystało. Nie zgadza się wprawdzie z prądem oszczędności stosowanym ostatnio w resorcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, któremu podlegamy – ale skoro trzeba, to nie ma rady. Naczelnik na pewno zaakceptuje twój plan.

— Mam szerokie pełnomocnictwa i nie muszę nawet zasięgać specjalnego zezwolenia naczelnika. Odpowiadam moją osobą za wszystko, co czynię – lecz zaniecham tego efektownego tricku.

— Dlaczego to?

— Bo on do niczego nie doprowadzi. Możesz się ze mnie śmiać...

— Nigdy...

— Bez przesady, Adasiu. Powtarzam, wolno ci się śmiać – ale ja jestem przekonany, że nawet najszczegółowsza, już trzecia, rewizja – nie wykaże niczego.

— Ponieważ?

— Ta zbrodnia jest dokonana z premedytacją i wykonana z wyliczeniem każdego szczegółu, a zatem i z przewidzeniem ewentualności rewizji. „Zet” musiał wziąć pod uwagę nawet mój trick z rewizją. Masz najlepszy dowód – rewidowaliśmy już dwa razy i nic.

— Nie myślisz wcale o Janinie Stokowskiej.

— Myślenie ma to do siebie, że jest niewidoczne. „Zet” porwał – to dość romantycznie brzmi – Janinę Stokowską i ukrył ją gdzieś, może nawet zabił, bo trupa łatwiej ukryć niż żywego.

— A my nic?

— Adasiu, obowiązkiem detektywa jest zimna krew. Oficer śledczy, który pozwoli wyprowadzić się z równowagi – jest skończony. Ja wiem, to może brzmieć niesympatycznie – kiedy tak spokojnie mówię o śmierci młodej kobiety – czy muszę jednak szaleć, histeryzować, bić głową o ścianę itp. Po co...

— Lecz przecież...

— Przyznaję, że sprawa jest głupia i niesamowita, które to cechy często idą w parze. Trudno, nie mogę w cudowny sposób błyszczeć domyślnością, nie potrafię wyczarować mordercy à la średniowieczna inkwizycja i pozostaje mi rutyna, doświadczenie, wiedza i nadzieja, że w końcu jakieś anomalie skierują moją inteligencję na właściwy tor. Pozostaje więc szablon.

— Czyli? — rozłożył ręce aspirant. Był zdezorientowany i „nie poznawał” inspektora Żbika. Pierwszy raz w czasie rozległej służby zdarzyło się, że Bernard Żbik zdecydował się na szablonową robotę, którą można powierzyć zwykłemu przodownikowi. Ale to był dopiero początek niespodzianki.

— Rozwiązanie zagadki tkwi w tajemnicy słowa *Ozyrys* – i to jest najważniejsze. Dla spokoju sumienia – do trzech razy sztuka – rozkazuję ci przeprowadzić formalno-protokolarną rewizję w poszukiwaniu Janiny Stokowskiej, rewizję, która prawdopodobnie zakończy się wynikiem ujemnym. Ja tymczasem pojedę, pomimo zwariowanej pory, do niejakiego pana



Mariana Drabickiego i pomówię z nim, a w powrotnej drodze wstąpię jeszcze do prywatnego mieszkania Erazma Stokowskiego i zrobię nader groźną minę przed jego kochającą małżonką, nabytą przezeń za określoną cenę w nieokreślonym celu. Ona nie wie jeszcze, że jej mąż nie żyje.

— Właśnie — przypomniał sobie aspirant. — Panowie z prasy warują pod portalem już od trzech godzin i oświadczyli, że nie ruszą się z miejsca. Podziwiam zawsze węch tych ludzi...

— To nie węch, tylko wykorzystywanie ludzkiego gadulstwa i skłonności do plotki.

— Jeżeli oni opublikują...

— Nic nie napiszą. Już ja z nimi pomówię.

— Jak mam zachowywać się w czasie twojej nieobecności.

— Nic specjalnego. Teren zostaje absolutnie zamknięty. Nikt wejść – i nikt wyjść, mówiąc stylem kolonialnym. Nawet obecni policjanci muszą zostać.

— Masz na myśli...

— Wiele rzeczy. Wypełnić rozkazy, panie aspirancie — uśmiechnął się wreszcie Żbik i podał rękę przyjacielowi. — Na razie dowidzenia. Miej rewolwer w pogotowiu, mówię to zupełnie poważnie.

— Bernardzie! — uchwycił go nagle Adam za ramię. — Ty już coś wiesz. Inaczej nie opuszczałbyś gmachu banku i nie byłbyś taki spokojny.

— Mądry chłop z ciebie, Adasiu — brzmiała dwuznaczna odpowiedź Żbika. — Cześć!

Na korytarzu spotkał Stefana i nie zdziwił się wcale jego obecności. Wierny kaszub był bardzo popularny w policji warszawskiej i „chłopcy” wpuścili go bez specjalnej instrukcji. Dał mu znak ręką:

— Skąd cię tu przyniosło.

— Pan inspektor zapomniał rękawiczek...

Detektyw musiał się roześmiać. Niezły pretekst. Spojrzał w grubo ciosaną, wierną twarz służącego i machnął ręką.

— Może jestem potrzebny, panie inspektorze — jako rzekł pewien aresztant...

— No już. Bez twoich kawałów. Skoro już jesteś, mam dla ciebie specjalne, ważne polecenie.

— ?

— Uważaj na pana aspiranta Billewskiego. Jest w tym pokoju, za drzwiami. Bacz, aby go nie postrzelono przypadkiem. Pamiętaj. . czuwaj nad każdym jego krokiem.

Zostawił zdumionego tą dziwną instrukcją Stefana i skierował się ku szerokim schodom na parter, do hal u. Za sobą usłyszał odgłos szybkich nerwowych kroków i odwrócił się. Ujrzał zastraszoną twarz inżyniera Downara. Sekretarz wyglądał tak, jakby wstydził się dramatu, który zdarzył się w banku, gdzie on był urzędnikiem. Na widok inspektora, którego chciał dogonić, odetchnął z ulgą. Nerwowy człowiek ten Downar – zresztą, dzisiejszego dnia mógł tu być podniecony. Bądź co bądź banki akcyjne nie są miejscem przeznaczonym na tajemnicze morderstwa — usprawiedliwił go Żbik w myśli.

— Pan chciał czegoś ode mnie.

— Tak, panie inspektorze. Pan już... odchodzi.

— Tylko ja. Reszta zostaje. Nie ma pan podstawy do obaw.

— Panu inspektorowi łatwo tak mówić. A ja się boję. Opowiedzieli mi już o... Jerzym Makarskim.

Żbik uśmiechnął się blado.

— Nie dziwię się panu. Ja też się boję. Dwa trupy w ciągu sześciu godzin, to fakt, mogący szarpać nerwy.

— Może i mnie coś grozi...

Bernard Żbik poczęstował nerwowego człowieka papierosem. Wiedział czym go uspokoić.

— Panu nic nie zagraża – bo nie wie pan nic o Ozyrysie. W przeciwnym razie byłoby gorzej. Proszę się uspokoić, inżynierze, i wrócić do swego pokoju. Gdzie to pan mieszka?

— Zajmuję dwa pokoje na drugim piętrze. Okna wychodzą na ogród.

— Ale są okratowane.

— Jak wszystkie okna w banku.

— Więc może pan zamknąć się na klucz i czekać bezpiecznie. Poza tym w ogrodzie czuwają dwaj z moich ludzi. Czy pan ma jakąś broń?

— Rewolwer.

— Lepiej go mieć w pogotowiu. Ja wrócę za jakąś godzinę i aresztuję mordercę Erazma Stokowskiego i Jerzego Makarskiego.

— Pan... wie... kto to jest.

— Zdaje mi się, że – tak.

— Więc czemu go nie aresztować od razu. Mielibyśmy spokój i sprawiedliwości stałoby się zadość.

— Inżynierze, proszę przyznać – panu chodzi więcej o ten spokój aniżeli o tę sprawiedliwość. I zupełnie słusznie. Doprawdy, panu nic nie grozi. W niebezpieczeństwie są przede wszystkim ci, którzy znają tajemnicę Ozyrysa. Co zaś do aresztowania – przesadziłem nieco mówiąc, że już znam mordercę. Wyrażając się ściślej, wiem, że on przebywa w banku, lecz nie możemy go znaleźć. Chcę go wywabić i właśnie dlatego wychodzę. Moi ludzie nikogo nie wypuszczają, może panu czegoś potrzeba.

— Tylko papierosów.

— Proszę, oto wszystkie moje. Kupię sobie na ulicy inne. A tu są zapałki. Tylko nie dziękować... naprawdę drobnostka... Jeszcze jedno... Nie widział pan przypadkiem panny Stokowskiej.

— Nie... Dlaczego...

Zniknęła gdzieś. Prawdopodobnie porwał ją morderca i ukrył gdzieś. Może też ona była jego współniczką. No, na razie dowidzenia. Głowa do góry!

Inżynier Edward Downar uspokoił się. Słowa Żbika podziałały nań wzmacniająco. Ucisnął rękę, podaną mu przez inspektora, jeszcze raz podziękował za papierosy i zapałki, i wolnym krokiem skierował się w górę, podczas gdy Żbik zeszedł do hallu i skinął na Kobylańskiego.

— Jak to było z tym krótkim spięciem, Kobylański?

— Normalnie, panie inspektorze. W pewnej chwili zgasło światło. Kłos, który jest byłym elektromonterem wyjął przepalony korek i naprawił go prowizorycznie.

— Dobrze — sprawa ta przestała nagle interesować detektywa. — Ilu naszych chłopców przebywa obecnie w banku?

— Piętnastu mundurowych z przodownikiem Kłosem na czele i nasi czterej chłopcy od zewnątrz. Dwaj od strony ulicy, a Sznajder i Rogalski od strony ogrodu.

— Nie jesteście głodni.

— Tu jest bufet na miejscu. Otworzyliśmy i sami sobie usługujemy. Wystawimy oczywiście rachunki

— Ja myślę. Gdzie jest Franciszek Lipiński.

— Właśnie chciałem powiedzieć. Upił się jak bela i śpi.

— Uważajcie na niego. Ja teraz wychodzę. Uważać mi tu dobrze i nie dopuszczać do alarmu.

— Alarmu — szepnął do siebie Kobyłański. Nie rozumiał co to znaczy. Ale Bernard Żbik był już za drzwiami.

Wielki Psycholog stał się zagadkowy, jego przyjaciel i współpracownik aspirant Billewski mógłby dużo szczegółów opowiedzieć o tym, symptomatem czego jest zagadkowość u Bernarda Żbika. Oznaczała ona przede wszystkim – że wpadł na ślad.

I tak było istotnie. Lecz – rzecz dziwna – wielki detektyw pragnął szczerze w duchu, aby nie miał racji – bo to o czym pomyślał było jednak zbyt potworne, nawet dla psychokryminologa.

— Panie naczelniku! Znów wielka gra!

— Inspektorze! Podobno tu...

— Dobry wieczór, panie Bernardzie! Słyszałem...

Uśmiechnął się znów. Podał rękę każdemu z dziennikarzy z osobna, nie czyniąc między nimi żadnej różnicy, pomimo że jednych znał tylko z widzenia i mimo woli, drugich powierzchownie i wbrew woli, a z dwoma był na bliskiej stopie znajomości i uważał ich jednak za ludzi inteligentnych.

— Zaraz, moi drodzy. Nie wszyscy naraz, bo nic nie rozumiem.

— Podobno...

— Słyszałem...

— Czy to prawda...

Potrząsnął głową z wyrozumiałością, jemu właściwą.

— To ma być osobno! Przecież!... Jeżeli tak to żegnam. Drzwi są zamknięte, nikt nie może być wypuszczony, a chłopcom nakazałem milczeć.

— Dwa razy zajechała tu karetka sanitarna!...

— Tak nie można!

— My tego nie robimy dla siebie!

— Czy pan sądzi, że to należy do rozkoszy ziębnąć tu pod pluchą i potem ganiać na wariata do redakcji i układać maszynopis.

— Linotypiści klną!

— Metrampaż czeka!

— Nawaliłem przez to randkę!

Inspektor nie mógł odejść. Niebezpiecznie jest doprowadzać tych miłych chłopców do ostateczności, bo gotowi podkopać się dla zdobycia informacji dla redakcji.

— Zatem, dobrze. Zamordowano tu...

— Chwileczka, ołówek mi pękł. Nic mógł wybrać się w innej porze.

— Stasiu, pożycz mi papieru.

— Mareczek zawsze jest korekt. Dawaj, drabie! Masz i tak za dużo.

Podyktował im wreszcie nic nie mówiący komunikat o zabiciu Jerzego Makarskiego przez nieznaną sprawców (umyślnie w liczbie mnogiej). O Erazmie Stokowskim i, broń Boże!, o Ozyrysie nie wspomniał ani słowem. Znał swoich Pappenheimerów.<sup>1</sup>

— Do widzenia!

— Dobranoc!

— Dziękujemy!!!

Szofer z Komendy Głównej czekał już. Nieoceniony Adaś. O niczym nie zapomina.

— Dokąd, panie naczelniku.

— Na razie przed siebie. Gdy oddalimy się nieco, podam kierunek.

— Rozumiem.

Rozkazał zatrzymać wóz przed apteką na Marszałkowskiej i znalazł w książce telefonicznej oba potrzebne adresy. 1) Mecenasa Mariana Drabickiego, radcy Banku

Południowego, z którym według zeznania świętej pamięci Makarskiego Erazm Stokowski odbył dziś rano dwugodzinną konferencję, i 2) Prywatny adres zamordowanego bankiera.

Podziękował miłej kasjerce, mimochodem zauważył, że zegar w aptece wskazywał już pół do jedenastej i podał szoferowi znany adres. Szybki chrysler zatrzymał się przed wejściem do Urzędu Śledczego, gdzie dyżurny przodownik zameldował „pana inspektora Bernarda Żbika” do pana dyżurnego Sędziego Śledczego przy Urzędzie Śledczym. Pełniący tę funkcję młody asesor, miły blondyn, odbył ze sławnym detektywem krótką konferencję, która polegała właściwie na tym, że słuchał i potakiwał. Pan p.o. sędziego śledczy miał twarz niezbyt inteligentną i może nawet nie wszystko rozumiał. Wydał jednak – ależ, proszę bardzo! – inspektorowi żądany blankiet, podpisał go i odprowadził „znakomitego gościa” aż do samych drzwi.

Na parterze, przed wyprężonym jak poważna struna policjantem – inspektor zatelefonował jeszcze do doktora Dalczewskiego, wysłuchał siarczystych wyrzutów rozziwanego eskulapa i dowiedział się, czego chciał. Wsiadł do samochodu i podał szoferowi adres na Boduena.

W samochodzie odetchnął swobodniej. Rozmowa z beztroskimi, lub na takich pozujących, dziennikarzami i następnie z naiwniutkim asesorkiem, oraz sama jazda nocą odświeżyły same przez się umysł detektywa przygnębiony atmosferą zbrodni i sześciogodzinnym pobytem we mgle tajemnicy i zgryzoty w Banku Południowym. Teraz mógł rozważać o wiele swobodniej i postanowił sobie, że na przyszłość, w razie zmęczenia śledztwem będzie stosował takie wypadki bocznotorowe. Inteligentny człowiek uczy się przez całe życie...

Poza tym nie zmarnował czasu. Zarówno wizyta w Urzędzie Śledczym jak i obecnie zamierzone są niezbędne i konieczne dla zamknięcia kręgu niesamowitej teorii o zbrodni w Banku Południowym, jaka zabłysła w mózgu genialnego detektywa. Naprawdę bał się dosłownie swojej własnej tezy i tego, co w jej konsekwencji musiało nastąpić. Wiedział jednak, że nie cofnie się. Nie myślał zresztą o takiej ewentualności w tej chwili.

Wyjął z kieszeni swój safianowy notes i zapisał w nim kilka bardzo ważnych uwag. Pióro „nie chciało” po prostu posuwać się po papierze. Do licha! – taka historia. Prawie niemożliwe – ale właśnie dlatego jedyne wyjście.

Gdy chrysler z zieloną strzałką zatrzymał się przed domem, w którym zamieszkiwał adwokat Marian Drabicki, radca prawny Banku Południowego – zegar na desce rozdzielczej przed szoferem wskazywał punktualnie za kwadrans północ. Nie była to w żadnym wypadku pora odpowiednia dla składania wizyt pracownikom-cywilom – lecz Bernard Żbik nie przejął się oczywiście takim skrupułem i wysiadł sprężystym krokiem, polecając szoferowi zaczekać.

Spojrzał na drobną i estetyczną tabliczkę adwokata obok bramy i bez wahania nacisnął guzik, przywołujący dozorcę.

---

<sup>1</sup> Popularne niemieckie powiedzenie *Ich kenne meine Pappenheimer* znaczące: znam swoich ludzi i ich wartość, wiem, czego się mogę po nich spodziewać.

### XIII

## PROMIEN W MROKU

Nie zważając na zdziwione spojrzenie, rozkazał zaprowadzić się do mieszkania „pana mecenasa”, gdzie otworzyła mu dopiero po dłuższym dzwonku zaspana i pachnąca ciepłem służąca, która potem okazała się panią mecenasową. Usłyszawszy słowa *policja śledcza* struchlała i to był właśnie pierwszy powód, dla którego Bernard Żbik nie pomyślał, że to jest żona adwokata. Dlaczego ten miałby się obawiać policji.

Po blisko dziesięciminutowej rozmowie i konsternacji udało mu się wreszcie jako tako wyjaśnić z czym przychodzi, ale dama nie uwierzyła mu wcale, jak zauważył. Na jego legitymację służbową nie chciała nawet spojrzeć i zostawiwszy go niezbyt grzecznie w przedpokoju, zamknęła dalsze drzwi za sobą i ukazała się już po kilku minutach z całkowicie ubranym panem w średnim wieku o typowym skoncentrowanym spojrzeniu prawnika. Ten spojrzał tylko na inspektora nie bez ludzkiej obawy i skłonił się w milczeniu.

— Jestem inspektor Żbik z Centrali Służby Śledczej. Moja... wizyta, może się wydać nieco dziwną ze względu na porę — zmuszony jednak jestem okolicznościami i przeto...

Wyjaśnił ogólnikowo cel swego przybycia i został już elegancko zaproszony do gustownie i nowoczesnie umeblowanego, czyli prawie bez mebli – gabinetu. Było tu miło i przytulnie. Przy jednej ścianie nieodzowna szafa z kodeksami i komentarzami, małe biurko, lampa, telefon i reprodukcja Rubensa nad lustrem. Niezbyt fortunne miejsce, może po to wybrane, aby usprawiedliwić częste przeglądanie się w zwierciadle kontemplacją nad arcydziełem sztuki. Jeżeli tak – to wcale sprytne.

Adwokat usiadł za biurkiem z urzędową miną i poczęstował Żbika papierosem. Nie przemówił pierwszy i czekał – jakby miał przed sobą zafrasowanego klienta. Oto, co znaczy zawodowa rutyna. Ale i detektyw Żbik nie należał do głupców. Może to był szczegół zupełnie odrębny, ale zastanowiło go zupełne, kompletne ubranie adwokata, podczas gdy żona – jak się ku swemu zdumieniu dowiedział przed chwilą – już spała na dobre, w domu były pogaszone światła...

— Pan mecenas pracował, jak widzę. Przeszkodziłem — zaczął szablonowe, albowiem szablon jest niekiedy sprytniejszy od samego sprytu.

— Nie pracowałem. Gdyby pan przyszedł za pięć minut – już by mnie nie było. Właśnie chciałem wyjechać.

Ciekawe.

— Chciał pan, więc teraz już nie.

— Trudno, na ten pociąg już nie zdążę – pana nie wyrzucę, bo nie wpadł pan chyba na zwykłą pogawędkę – a następny odchodzi dopiero rano. Więc.

— Rozumiem.

Zastanowił się, czyby nie zapytać o związek – jeżeli taki zachodzi – między wyjazdem adwokata a dzisiejszą konferencją w banku. Bądź co bądź wyjazd prawnika i to... Chyba, że z żoną pożegnał się już przedtem i nie chciał jej budzić. To się zdarza. Inspektor musiał pamiętać,

że rozmawia z prawnikiem, z adwokatem, znał drażliwość tych panów na punkcie legalizmu i postanowił wystrzegać się zbyt daleko wkraczających pytań.

— Pan zna Erazma Stokowskiego.

— Jestem jego radcą prawnym.

— Jak już przedtem wspomniałem, przybyłem w związku ze zbrodnią popełnioną w Banku Południowym.

— Kto został zabity?

— Sekretarz Jerzy Makarski.

— Lecz co ja mam z tym wspólnego. Przypuszczam, że tylko ważne okoliczności skłoniły pana do nachodzenia mnie o tak niezwykłej porze.

— Bardzo ważne. Chodzi o ujęcie sprawy mordu. Przebywa on dotychczas w gmachu banku.

— I... — zdziwił się Drabicki. — Nie rozumiem.

— Potrzebne mi są od pana niektóre wskazówki dla jego identyfikacji.

— Jak to? Ujął go pan i ja mam stwierdzić jego tożsamość.

— Niezupełnie. Podejrzewam o współudział w tej zbrodni... dyrektora Stokowskiego.

— Co?!!

— Spokojnie, panie mecenasie. Na tym świecie wszystko jest możliwe.

— Ale...

— Chwila. Niech mi pan pozwoli wyłożyć jasno całość tego, co mogę powiedzieć. Obok ciała zamordowanego znalazłem tę figurkę.

Tu wyjął z kieszeni otrzymany pocztą czarny posążek Ozyrysa i wręczył adwokatowi.

— To jest miniaturka egipskiego bożka Ozyrysa. Czy pan coś o tym wie.

Obserwował uważnie twarz indagowanego i od razu dostrzegł krótkie, błyskawiczne drgnięcie mięśni i fałd koło ust. Nie uległo wątpliwości, że radca banku wiedział coś o Ozyrysie. A o to przecież chodziło i Żbik nie odczuwał naturalnie wyrzutów sumienia z powodu swych kłamstw. Szukał po omacku – musiał przecież.

— Ozyrys — szepnął adwokat. — Nie, to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe?

— Erazm Stokowski nie zabił, ani nie współdziałał w zabójstwie Makarskiego. To Jerzy Makarski chciał obronić swego szefa przed Ozyrysem.

Bernard Żbik znieruchomiał. Teraz nic – tylko cicho i czekać. Zegar tykał spokojnie. Wokoło lampy hasała jakaś mucha, skazana na śmierć. W pokoju panował półmrok, a w kątach czyhały miękkie cienie. Żarówka odbita od reflektora oświetliła twarz cywilisty. Oblicze detektywa pozostało w cieniu. Specjalnie się tak usadowił. Jak tu cicho – ale jakoś inaczej niż przedtem, na pewno. Coś wisi w powietrzu.

— **Kto jest Ozyrysem**, panie mecenasie. Przecież pan wie.

— Nie wolno mi nic mówić bez upoważnienia Stokowskiego. Jestem jego adwokatem, pan rozumie. Tylko niezwykle okoliczności mogą mnie nakłonić i zwolnić od obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej.

Bez nerwów. Jesteśmy na drodze. Już wiemy, że ktoś coś wie. Tego adwokata oczywiście nie można zahukać. To nie jest kobieta ani przeciętny świadek. Najważniejsze, że istnieje możliwość. A to jest pierwsze. Reszta już nie przedstawia takich trudności. Wyłom psychiczny już gotowy – tylko jedno, dwa słowa. Morderca nie ucieknie z Banku Południowego. Pilnują go dobrze Adaś, Stefan, fenomenalny Kobyłański, Wielgus, Więcek i kraty w oknach, i zamknięte drzwi, jedyne...

— Czy śmierć Erazma Stokowskiego byłaby dostatecznym powodem nakazującym panu

powiedzieć mi prawdę?

— Ja nie kłamię nigdy, inspektorze. Stwierdzenie obowiązku zachowania tajemnicy nie jest kłamaniem.

— Może wyraziłem się źle, przepraszam.

Adwokat podniósł głowę. Jego inteligentne czoło i mądre oczy znamionowały charakter. Nie taki sobie advokacina z dyplomem w ramkach i z togą na fotografii. W jego twarzy czaił się rozum i spryt, i najważniejsza cecha dobrego prawnika – szybkość myślenia. Spojrzał przenikliwie prosto w oczy inspektora i starał się wyczytać to, co było dlań najważniejsze.

— Jak pan to rozumie, inspektorze, śmierć Erazma Stokowskiego? Od aresztowania pod zarzutem przestępstwa do wyroku śmierci jest jeszcze daleko. Powtarzam panu, Erazm Stokowski nie zamordował..

Sprytny człowiek — pomyślał inspektor Żbik. — Udaje naiwnego. Nabieramy się nawzajem. Tym lepiej. Z mądrym zawsze dojdę do porozumienia.

Mucha uciekła gdzieś w kąt, przestała brzęczeć. Detektyw odetchnął nieznacznie i wolno zapalił papierosa. Wydmuchnął dym w górę.

— Pan ma rację, mecenasie. Erazm Stokowski nie zamordował.

— Więc co miało oznaczać?..

— Erazm Stokowski został zamordowany. Przez Ozyrysa. I pan wie o Ozyrysie. Czy teraz wciąż będzie pan milczał?

Krótkie spojrzenie podziwu, jakie padło przez okamgnienie na detektywa, nie zdawało się go absorbować.

— Pan jest mądry, inspektorze. Więcej niż mi opowiadano.

— A pan zna tajemnicę, mecenasie. Teraz – słucham.

— Nie wiem dużo. Znam figurkę, którą pan mi pokazał. Należała do Erazma Stokowskiego. Przywiózł ją z Egiptu.

Znów błysk myśli. I od razu mgła zwątpienia. Przecież to niemożliwe, aby Ozyrysem... był sam Erazm Stokowski. A jednak... Więc jakby to wyglądało: Najpierw zamordowanie Makarskiego, zamknięcie drzwi, włożenie klucza do kieszeni sekretarza.. a potem, samobójstwo!!! I przed śmiercią telefon do Downara! Przerazające – ale technicznie... technicznie... we własną pierś od tyłu... Zemsta z za grobu...

Wszystkie te przypuszczenia przebiegły w tempie pośpiesznej błyskawicy przez świadomość detektywa. Znów czuł chaos w mózgu, wir, war myśli. Najpierw hipoteza zamordowania przez ducha, potem przez człowieka, wreszcie – teoria samobójstwa.

— Czy ta figurka na pewno należy do Stokowskiego, czy też widział ją pan tylko raz w jego ręku.

— Erazm Stokowski przywiózł ją sobie z Egiptu. To zeznanie mogę zaprzysiąc, gdyż dyrektor Stokowski wyraźnie mi o tym mówił.

Mecenas Drabicki nie był głupi, Żbik nabrał tego przekonania, obserwując wciąż swego rozmówcę. Adwokat na pewno nie rozumiał – i nie mógł rozumieć – dokładnego celu pytań. Mimo to zachował „dyskrecję”, nie wtrącał się, odpowiadał rzeczowo i spokojnie. Był to człowiek opanowany – śmierć klienta musiała na nim przecież wywrzeć jakieś wrażenie, a on nie dał tego dotychczas poznać po sobie. Ze swej strony obserwował również ostro detektywa, czego dowodem było pytanie:

— Wygląda pan na mocno zmęczonego, inspektorze.

— Nic dziwnego. Od czwartej popołudniu prowadzę to śledztwo, nie znoszę terminu: dochodzenie. Osiem godzin na nogach i w atmosferze...

— Patologii — podsunął prawnik domyślnie. — Może wypije pan kieliszek Martiniego.

Znakomity cywilista sam podszedł do szafki i przyniósł butelkę i dwa kieliszki.

— O ile chodzi o Vermouth i Borsalino, nie uznaję sankcji. Natomiast nienawidzę makaronu — spróbował zażartować.

Wypili. Wino podziałało orzeźwiająco, może choćby dlatego, że było urozmaiceniem, czymś nowym, odrębnym, bodaj na sekundę odciągającym uwagę od permanentnego wysiłku myśli.

— Kim był Erazm Stokowski przed... Egiptem?

Adwokat wcale nie wahał się z odpowiedzią.

— Nikim.

— Jak doszedł do majątku i do stanowiska?

— O tym wiedział tylko on sam. To był tajemniczy człowiek. Wzbogacił się na handlu bronią, który jest kopalnią złota dla ludzi bez skrupułów moralnych. Śliski teren, mętny, mocno nie pachnący. Ale w sam raz dla takiego charakteru jak Erazm Stokowski. Bezwzględny, twardy jak granit, nieustępliwy, konsekwentny aż do przerażenia przeciwników, wiedział, czego chciał i ponadto miał zaletę człowieka, który robi pieniądze na zimno, bez hałasu i puste fanfaronady.

— Uśmiech — domyślił się Żbik.

— Tak. Genialnie zrobiony uśmiech. Falsyfikat ładujący podobny do oryginału.

— Ale falsyfikat.

— Pan go znał? — zdziwił się adwokat.

— Rozmawiałem z nim około pół godziny. To niekiedy wystarcza.

Detektyw spojrzał znacząco na zegarek.

— W banku czekają na mnie. Muszę jeszcze po drodze odwiedzić jedno miejsce i jedną osobę. Co pan wie o Ozyrysie, mecenasie?

— Nic ponad to, że Erazm Stokowski był ostatnio w mocnym strachu z powodów, które starannie ukrywał i określał osobę, której się bał – jako Ozyrysa. Byłem zdziwiony i myślałem, że żartował – ale on mówił poważnie. Jak się okazuje, śmiertelnie poważnie. Pan oczywiście nie wie jeszcze kto go zabił. Inaczej nie przybyłby pan do mnie o takiej godzinie.

Inspektorowi Żbikowi nie pozostało nic innego jak odwdzińczyć się mecenasowi spojrzeniem pełnym uznania. Nie lubił tracić słów.

— Jeszcze jedno. Stokowski ma, raczej miał żonę, Eugenię.

Ujrzał nagle bystre spojrzenie adwokata i dopiero po chwili miał zrozumieć jego znaczenie.

— Zero — stwierdził Marian Drabicki z dziwną intonacją, lecz dobitnie.

— Wiem. Czym można wytłumaczyć, że człowiek nieprzeciętny jak Erazm Stokowski, taki geniusz finansowy pojął za żonę takie nic. Przecież on mógł sobie kupić Gretę Garbo, gdyby się wziął.

Uchwycił znów to przenikliwe spojrzenie prawnika.

— Tego się nie da wytłumaczyć. Inspektorze, jest pan inteligentny i nie trzeba pana uczyć. Dziwi mnie to pytanie. Czy istnieje wytłumaczenie dla małżeństwa w pewnych wypadkach.

Teraz już Bernard Żbik nie wątpił, że adwokat coś ukrywa.

— Owszem, istnieje. Pieniądze, stanowisko, próżna ambicja na błyskawicznie krótką metę, sybarytyzm, wygoda – lecz tu nie widzę żadnej z tych przyczyn. Eugenia Stokowska jest dla mnie równie wielką zagadką jak tajemnica zabójcy jej męża...

Adwokat spojrzał na inspektora najpierw z uwagą, a potem z lekkim, natychmiast stłumionym uśmiechem.

— Pomimo to wymieniał pan przyczynę. Wygodę. Czy widział pan Janinę Stokowską,



córkę Eugenii Stokowskiej, ale nie córkę Erazma Stokowskiego. I czy pan już z nią rozmawiał?

Inspektor zrozumiał. Od razu. Tak, to było brudne, ale jedyne wytłumaczenie. Pojmował już nienawiść pasierbicy do ojczyzna. Nie lubił myśleć źle o umarłych, bo w tym jest zawsze coś odrażającego – lecz tym razem nie widział usprawiedliwienia dla wstrzymania się od potępienia – jeżeli adwokat Drabicki miał rację.

— Pan mecenas przypuszcza...

— Ja wiem na pewno. To powinno wystarczyć. Niech pan pomyśli, że Jerzy Makarski kochał się w pasierbicy swego szefa – że obaj byli w ten sposób konkurentami. Proszę pomyśleć o zadraśniętej ambicji potentata, który jednocześnie wie, że sam postępuje patologicznie – a otrzyma pan tragiczny węzeł, który w życiu **musiał** doprowadzić do zbrodni. Są w życiu sytuacje, gdy zbrodnia jest jedynym wyjściem – to mówię panu ja, szanowany prawnik.

Bernard Żbik przyduśił papierosa.

— Jerzy Makarski również został zamordowany przez... Ozyrysa — oznajmił bez wyjaśnień i widział, że wywarł wrażenie.

Wybitnie opanowany adwokat po raz pierwszy stracił równowagę ducha. Stał również wobec zagadki — on, który dotychczas był przekonany, że zna osobę mordercy, a tu okazuje się, że domniemany zabójca również został zamordowany.

Obserwował uważnie grę twarzy sławnego detektywa. Bernard Żbik nie uważał swej nocnej wizyty za bezcelową, albowiem naprowadziła go ona na nowe tory rozważań, oświetliła teren poszukiwań psychologicznie, ukazując promień, który mógł wyjaśnić przyczynę, motyw zbrodni. Mord dokonany na osobach Erazma Stokowskiego i Jerzego Makarskiego na pewno przecież nie był przypadkowy – został wyliczony z diabelską wprost precyzją, musiał więc mieć przyczynę, motyw. Zdemaskowanie motywu zbrodni jest we współczesnej kryminologii niemal ważniejsze od wykrycia osoby sprawcy, który jest niekiedy tylko narzędziem, desygnowanym do czynu przez tragiczny konflikt potężnych promotorów duchowo-patologicznych, jakie pchają sprawcę do czynu zabójstwa.

Inspektor Żbik, detektyw ze szkoły psychologów, rozumiał to i zdawał sobie sprawę, że póki nie rozwiąże zagadki motywu — sprawca pozostanie nieuchwytny. Dlatego nie żałował czasu straconego na rozmowę z inteligentnym prawnikiem. Nie była to zresztą strata czasu. Przecież tam...

Przecież tam...

Bernard Żbik wstał tak nagle i gwałtownie, że adwokat aż spojrzał nań z przestraszeniem.

— Dziękuję panie mecenasie. Ale nie mam ani chwili czasu więcej do stracenia. Muszę...

— Co się stało?...

— Oby jeszcze nic. Muszę za wszelką cenę nie dopuścić, aby ofiarą mordercy padła trzecia osoba, Janina Stokowska. Przecież tam...

Nie dokończył już, sam skierował się ku drzwiom, odnalazł po omacku palto i kapelusz, otworzył zatrask i zbiegł pędem ze schodów, jakby ścigany przez coś straszliwego i groźnego.

## NA BOCZNICY OTCHŁANI

Wizyta u mądrego adwokata zajęła ponad godzinę czasu. Zegarek na przegubie detektywa wskazywał pięć po pierwszej w nocy, kiedy Żbik wydał zziębniętemu szoferowi Komendy Głównej rozkaz najszybszej jazdy na ulicę Kapucyńską. Był podniecony. Przeczował, że sprawa zbliża się ku niespodziewanemu rozwiązaniu. Jeszcze nie rozumiał wszystkiego – nigdy nie można rozumieć przed efektywnym aresztowaniem sprawcy takiego czynu – ale już zaczynał widzieć to, czego dotychczas nie pojmował – i to wszystko dzięki krótkiej rozmowie z adwokatem.

I dlatego właśnie – że zaczynał rozumieć – Bernard Żbik był słusznie zaniepokojony, ba, był przerażony. Niestety, nie mógł się rozdzielić, nic jeszcze przedsięwziąć przed ostatecznym zamknięciem łańcucha psychologicznego... postanowił za wszelką cenę rozmówić się tej nocy szczerze i otwarcie z Eugenią Stokowską, choćby miał ją odszukać gdziekolwiek. Wiemy dobrze, że inspektor Żbik był człowiekiem nie mniej zawziętym niż tempo jego pracy – błyskawiczne.

Ulice Warszawy były puste. Drobny i dokuczliwy deszcz, mgła i zimno nie zachęcały do spacerów. Z powodu więc panującej pogody zdziwił detektywa niemało fakt, że wspaniały jasno granatowy packard bankierowej, ten sam, którym zachwycał się Adaś – stał przed bramą. Widocznie pani Stokowska mogła sobie pozwolić na marnowanie takiego wozu.

Cały dom był już ciemny, tylko na pierwszym piętrze nad bramą świeciło się jeszcze w trzech oknach. Teraz właśnie zgasło. Powtórzyła się oczywiście scena ze zdziwieniem dozorca na widok obcego człowieka do pani dyrektorowej Stokowskiej. Żbik się wylegitymował, nakazał cerberowi trzymać gębę jak bramę po jedenastej i wszedł po komfortowo urządzonych schodach na pierwsze piętro.

Tu otworzono mu prędeziej niż u adwokata i w drzwiach ukazała się autentyczna pokojówka w białym fartuszk i z koronką nad czołem, ubrana tak jakby to była jedenasta przed południem, a nie kwadrans po pierwszej po północy. Nie okazała zdziwienia. Albo więc była dobrze wytresowana, albo późni goście u pani dyrektorowej nie należeli do rzadkości. W takim razie czemu dozorca zrobił głupią minę – przemknęło przez mózg detektywa gdy pozwolił czarno-białej paniencie zdjąć z siebie płaszcz, wręczył jej kapelusz i bilet wizytowy.

— Proszę doręczyć moją kartę pani dyrektorowej.

— Pani już śpi.

— W takim razie trzeba ją zbudzić.

Dopiero teraz skonsternowana pokojówka zdążyła odczytać nadruk na wizytówce i cofnęła się o krok przestraszona.

— Pani wcale nie śpi, panie inspektorze policji śledczej – wyznała nagle z naiwnością, za którą nie mógł jej zganić, jak nie mógł się śmiać z wyrecytowania przez nią całkowitego tytułu wydrukowanego na bilecie.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Jednocześnie zauważył melonik zawieszony obok swego pałta, męski parasol i angielski płaszcz deszczowy, lekko zmoczony.

— Kto jest u pani?

— Nie wiem — zarumieniła się.

— Ale przecież jakiś pan.

— Panowie bywają często u pani dyrektorowej — ośmieliła się panienka.

— A pan... dyrektor — co na to?

— Nic, proszę pana. Ja nie wiem czy mi wolno. Pan właściwie... z policji... tej... śledczej — ale może... pan... — zacięła się bezapelacyjnie i nie mówiąc już ani słowa, wskazała mu drzwi do salonu, gdzie poprosiła go cichym szeptem, jakby nagle dostała chrypki, aby poczekał. — Zaraz... tego... — i odwróciła się ku wielkim podwójnym drzwiom.

— Dobrze. Proszę jednak nie zamykać tam, i nie gasić światła w przedpokoju. Chcę mieć wejście na oku! — rozkazał stanowczo i zapalił papierosa.

Salon, w którym siedział, urządzony był z niebywałym przepychem. Bogactwo wycierało tu z każdego kąta, kłuło z każdej drobnostki. Popielniczka, o którą oparł papieros była z rżniętego kryształu. Nad kredensem wisiał oryginalny Degas w przepięknej, gustownej ramie, który wprawdzie nie zupełnie dobrze czuł się terytorialnie — tym niemniej był wspaniały.

Minęło może dziesięć minut nim szmer za jego plecami kazał mu skoncentrować uwagę na właściwym celu odwiedzin. Nie odwrócił się jednak — w lustrze zawieszonym naprzeciw widział dokładnie postać wchodzącej. Ubrana była w długą, elegancką suknię wieczorową z jasno niebieskiej tafty bez upięknień i wyglądała tak, jakby granatowy packard na dole nie czekał bezpodstawnie. Ten sam wniosek wynikał ze zdziwionej, acz stłumionej miny pani Stokowskiej. Bernard Żbik uznał, że bez względu na zdanie, jakie wyrobił sobie o charakterze tej kobiety — wypada wstać, i skłonił się w milczeniu. Poznała go natychmiast.

— Pan!

Skłonił się jeszcze raz, właściwie nie wiadomo dlaczego. Podała mu rękę, jak zauważył zupełnie automatycznie, w drugiej trzymała wciąż jego bilet wizytowy. Uśmiechnęła się mdło — pomimo swej inteligencji zdawała sobie niewątpliwie sprawę z faktu, że inspektora policji śledczej tylko ważne przyczyny mogą o tej porze sprowadzić do prywatnego mieszkania. Pomyślał, że na pewno by się nie uśmiechnęła, gdyby domyślała się jakiej treści rozmowa ją czeka. Prawdopodobnie przypuszczała, że chodziło tu o jakieś nagłe informacje w związku ze **zranieniem** jej męża, dziś, w banku.

— Czekam, proszę pani.

— Na co — nie zorientowała się w pułapce.

— Na pytanie pani o zdrowie męża.

— Ach, tak! Miałam od niego telefon z „Omegi”.

— Dlaczego pani kłamie? — spojrzał na nią zimno i z obiektywnym zaciekawieniem. — Pani nie miała żadnego telefonu od Erazma Stokowskiego.

— Nie miałam żadnego telefonu — przyznała jak echo.

Rozejrzała się bezradnie, jakby była w tym pokoju po raz pierwszy w życiu i usiadła na wysokim krześle tak nagle, że omal nie upadła. Już po raz drugi obejrzała się poza siebie, drzwi zza których ukazała były w półuchylone — a Bernard Żbik nie lubił, aby podsłuchiowano jego rozmowy. Wstał i podszedł tak szybko, że właściciel melonika i raglanu nie zdążył już cofnąć się i ledwie nie wpadł w ramiona inspektora.

Obaj mężczyźni wymienili nic nie mówiące spojrzenia i młody elegancik o wywatowanych ramionach pierwszy opuścił powieki. Nie należało do rzeczy łatwych wytrzymać wzrok inspektora Bernarda Żbika.

— Ja już chyba pójdę, Gen...

Bubek zbliżył się do przedpokoju i sięgnął po swe palto i kapelusz.

— Jedna minuta, mój panie.

— Proszę — szepnął skonsternowany i Bogu ducha winny gość.

— Jestem zmuszony prosić pana o dowód osobisty, lub inną legitymację tożsamości.

— Ależ! Ten pan...

Eugenia Stokowska zerwała się z krzesła, ale cofnęła się od razu przed twardym spojrzeniem detektywa. Wróciła zrezygnowana na miejsce.

— Czekam. Sądzę, że nie zależy panu specjalnie na spędzeniu reszty nocy w najbliższym komisariacie policji.

— Dobrze! Ale ja panu...

I on urwał. Poznał, że nie ma do czynienia z byle kim. Bernardowi Żbikowi było przykro występować w takiej roli – lecz musiał, żelazna reguła wszechstronności śledztwa nakazuje zanotować wszystkie nazwiska w czasie, w terenie. Młody fircyk ucałował rękę gospodyni, szepnął jakieś usprawiedliwienie, obietnicę czy groźbę i wyszedł.

— Teraz musimy pomówić poważnie, proszę pani.

Nie znosił łez w oczach kobiety, ale nie miał na nie rady. Spojrzał odruchowo na zegarek i uznał, że nie wolno mu tracić czasu. Wbrew opanowaniu i silnemu postanowieniu nie był w stanie oprzeć się ogarniającemu go znów uczuciu podniecenia. Tam, na Filtrowej... w banku.... A on... tu... Prędszej! Prędszej!

— Jaki był cel kłamstwa o telefonie — przystąpił od razu do rzeczy.

— Sama nie wiem. Co mnie to wszystko obchodzi, jakiś zamach na mego męża. Mój mąż obiecał mi, że ja... nie będę wtrącana w jego sprawy.

Charakterystyczne, ani razu nie użyła imienia, tylko wciąż: mój mąż.

— Jak doszło do pani ślubu z Erazmem Stokowskim.

Widział jak znikają pod gryzącym kwasem łez subtelne wysiłki gabinetu de beaute. Niemal przestraszył się spustoszenia, jakie na twarzy Eugenii Stokowskiej wyrządziło te kilkanaście słonawych kropel. To była stara, zmęczona istota. Co za cuda może zdziałać nowoczesna kosmetyka i złudzenie optyczne.

— Ja nic... nie... nie wiem.

— Proszę nie płakać. Pani musi odpowiedzieć na moje pytania. Erazm Stokowski został zamordowany.

Gdyby jej nie schwycił za przegub – byłaby go może uderzyła lub sobie coś złego uczyniła. W każdym razie wyglądała w tej chwili na osobę gotową do popełnienia czynu nieobliczalnego. Zdawało się, że oczy wyskoczą jej z orbit, a kolana poczęły nagle tak drżeć, że inspektora ogarnęła wprost głupia bezradność. Już wyciągnął rękę do dzwonka nad okrągłym stołem.

— Niech pan zostawi. Nic mi nie jest... — Patrzała zupełnie przytomnie.

A więc symulacja i skoncentrowana gra aktorska. A więc minimum inteligencji Nie, to nie jest gra – raczej podświadoma samoobrona przed wstydem i rezygnacja z dalszych prób oporu. Teraz Eugenia Stokowska powie wszystko. Zatem – nie przegapić momentu.

— Erazm Stokowski już nie żyje, proszę pani.

O ile o tę wiadomość chodzi, widział, że nie zmartwiła ona żony zamordowanego. Dziwna rodzina – matka, córka. Za tym jednak musi się coś kryć. Może podłoże tragicznego węzła – jak nazwał go adwokat Drabicki.

— Czy pani kochała swego męża?

Otarła łzy i niezrozumiały w pierwszej chwili odcień radości rozpozgodził starą, biedną twarz.

— Uwielbiałam go. Było mi z nim dobrze! Byłam inna, normalna, nie miałam tych

pieniędzy, ani tej... męki. Ja nie...

Zamilkła na chwilę i wahała się krótko. Jakże teraz była inna!

— ...Ja się do tego wszystkiego nie nadawałam. Lecz co miałam uczynić? Umierać z głodu, kiedy podsuwano mi do ust nawet gorzki chleb. Przyjęłam propozycję, zgodziłam się i odtąd – już jestem inna niż przedtem. To był cios dla moich nerwów.

Inspektor domyślił się od razu, że zaszło nieporozumienie i był zadowolony.

— W jakich okolicznościach zmarł pani pierwszy mąż — detektyw nie tyle zaryzykował, ile wywnioskował z niektórych słów Stokowskiej.

— Nie wiem dokładnie. Konsulat włoski w Kairze zawiadomił mnie o śmierci męża. Podobno zachorował na jakąś tropikalną infekcję.

Konsulat włoski w **Kairze**. Tu tkwiła na pewno tajemnica **Ozyrysa**. Zbieg nie mógł być przypadkowy.

— Kiedy poznała pani Erazma Stokowskiego?

— Znałam go jeszcze przedtem. On i Marco, to imię mego pierwszego męża, wyruszyli razem do Egiptu w jakichś celach handlowych. Po powrocie Erazm Stokowski oświadczył mi się. Powiedział, że Marco prosił go na łożu śmierci, aby się mną zaopiekował. Zostałam jego żoną, aby dowiedzieć się, że jemu...

Jęk płaczu był dokończeniem. Inspektor milczał i czekał. Na co? Z mgły zagadek zaczynała wylaniać się mgła prawdy. Lecz cóż ona dopomoże do wykrycia techniki tej niesamowitej zbrodni. Może... Musiał postawić pytanie zupełnie otwarcie.

— Jak odnosiła się Janina do umizgów ojczyzna?

— Lekceważyła je.

— A on?

— On był zawsze tajemniczy. Nie rozumiałam go nigdy.

„Nie rozumiałam go nigdy”. W tym zdaniu streszczała się tragedia tej nieszczęśliwej kobiety. Prawdopodobnie nie rozumiała i siebie samej. Skomplikowany, zwyrodniały splot okoliczności. Wybitny adwokat miał rację. Lecz jak...

— Kiedy Stokowski został dyrektorem banku?

— Dwa lata temu.

Czyli po przyjeździe z Egiptu... Egipt, Ozyrys, błyskawiczna kariera, strach, wezwanie policji, nowela zwracająca uwagę na słowo Ozyrys – oto był szyfr, klucz, który rozwiązywał tajemnicę motywu tej niesamowitej zbrodni. Niemniej zawikłana była technika jej wykonania. Zamknięty teren, wyrafinowanie skierowane podejrzenie i...

A tu, w prywatnym mieszkaniu zamordowanego – trzecia zagadka, niemniej może skomplikowana niż tajemnica motywu zbrodni i jej techniki – jest nią ta kobieta o stałym charakterze, brutalnie zmiażdżonym przez bezlitosne życie. Spojrzał na pomarszczoną cierpieniem twarz, na te oczy wyrażające kres świadomości i uznał, że niewiele już konkretnego wydobędzie z niej w tej chwili. O Ozyrysa nie ma co pytać – już raz oświadczyła, że nie wie nic w tej materii i można było jej wierzyć. Musiał jej wierzyć.

Zresztą – wystarczy spojrzeć, aby stwierdzić, że Eugenia Stokowska jest już na wpół przytomna. Zadzwoił i polecił wystraszonej pokojówce czuwać przy swej pani. Zeszedł po ciemnych schodach i w bramie spotkał dozorcę.

— Widzieliście tego pana, który niedawno wyszedł. W meloniku, w płaszczu w kraty i z parasolem?

— Znam go — domyślił się dozorca. — Ostatnio przychodzi codziennie. Nie podoba mi się jego gęba.

— Czy dyrektor Stokowski wiedział o wizytach tego pana.

— Nie mam pojęcia.

— A córkę lub żonę, macie? — uśmiechnął się inspektor.

— Musowo.

— No, to poślijcie jakąś kobietę na górę do Stokowskich. Niech „da baczenie” na panią dyrektorową.

— Co to się takiego stało, panie inspektorze?

— Dyrektor Stokowski został zamordowany. Otwierajcie.

Wsunął zdumionemu i przestraszonemu staruszkowi niklową monetę za otwarcie bramy, czym zdziwił go najbardziej, albowiem rzadko się zdarza, żeby „władza”, przychodząc urzędowo, płaciła stróżowi.

Tymczasem Bernard Żbik kazał się zawieźć do Centrali.

Po kilku zdaniach rozmowy przodownik dyżurny wręczył mu raport doktora Dalczewskiego, z którego wynikało, że w resztkach herbaty ze szklanki na biurku Jerzego Makarskiego stwierdzono silną dawkę kokainy, zaś woda w karafce, którą otrul się młody sekretarz, zawierała specjalnie spreparowany roztwór dynamitu, trucizny, która działa śmiertelnie i szybko.

Detektyw podziękował dyżurnemu podoficerowi, poczęstował go papierosem i już zamierzał podać mu rękę na dowidzenia, gdy krótki dzwonek telefonu zmusił go do chwilowej zwłoki.

— Hallo... Centrala!... Tak...

Przodownik wręczył mikrotelefon inspektorowi.

— To do pana naczelnika. Dzwoni pan aspirant Billewski.

Bernard Żbik omal nie wyrwał mu słuchawki z palców. Usłyszał cichy głos aspiranta.

— To ty? **Przyjedź natychmiast. Więcej nie mogę powiedzieć!...**

— Co się stało!

Zamiast odpowiedzi inspektor usłyszał głuchy jęk i połączenie przerwano!

## DYNAMIT

Pamiętał ową jazdę przez całe życie, jak nie zapomniał żywołowo przerażonej miny przodownika dyżurnego na widok naczelnika Żbika rzucającego słuchawkę na stół i wybiegającego z pokoju niczym w ataku szału. Detektyw przebył schody jak huragan i dopadł samochodu.

— Wracaj do banku! Piorunem! Choćbyś miał rozjechać wóz na krok przed celem.

Przestraszony szofer nie zrozumiał na pewno ani jednego słowa, gdyż te spłynęły z ust detektywa w beładnym chaosie stłumione zdenerwowaniem. Raczej wyczytał z mimiki twarzy treść rozkazu i puścił maszynę w ruch. Jak błyskawica wymięli Nowy świat, lotem strzały przebyli Aleje Ujazdowskie. Bagatela! 6 Sierpnia! Nareszcie! U celu. Tu omal nie przejechali na śmierć Więcka, który stał spokojnie na brzegu trotuaru i nucił pod nosem.

Hałas trzaskającego motoru i gwałtownego zahamowania pędu zwabił Kobylańskiego, który spojrział ze zdumieniem na zdenerwowaną twarz swego szefa. Wtedy Żbik zrozumiał, że oni tu jeszcze o niczym nie wiedzieli.

Nie odpowiedział na pytanie i wbiegł na pierwsze piętro. Szarpnął drzwi gabinetu mordu. Pusto. Gdzie aspirant...

— Stefan!!!

Donośny głos inspektora rozległ się na pustym korytarzu, jak grom – ale Kaszub nadbiegł dopiero po trzech minutach. Minę miał wściekłą i zawstydzoną.

— Gdzie aspirant Billewski.

— Szukam go od piętnastu minut. Zniknął, czy co?

— Jak?

— Nie wiem. W pierwszej chwili widziałem go na końcu korytarza, potem usłyszałem cichy krzyk i gdy dobiegiem, było pusto. Myślałem, że pan aspirant zeszedł na parter, ale gdy znalazłem to... przeszukałem drzwi i pokoje po obu stronach. Nic...

Wręczył detektywowi kremowego koloru rękawiczkę reniferową, którą ten od razu poznał.

Bernard Żbik opanował się wprost nadludzkiem sposobem. Rozumiał dobrze, że nerwy będą teraz tylko przeszkodą. Tu trzeba działać na zimno, spokojnie i celowo. Nie na oślep! – bo będzie tragedia. Najpierw zniknęła Janina Stokowska, potem aspirant. Przepowiednia Żbika sprawdzała się. Morderca zaczynał tracić panowanie nad nerwami. Nie mógł się wymknąć, bo dom był szczelnie obstawiony – ale mógł się mścić, bo jeszcze go nie schwytano. Miał w tym na pewno także cel: **panikę**, która dopomoże mu do ucieczki z zagrożonego terenu, na którym groziło mu już tylko widmo szubienicy.

Lecz do paniki nie wolno dopuścić. Za żadną cenę!

— Teraz może mnie pan inspektor wylać na pysk. Miałem strzec aspiranta...

— Nie twoja wina, Stefan – tylko moja. Chodź spokojnie, pokaż mi to miejsce, gdzie stał aspirant w chwili zniknięcia.

Stefan był zbyt zaabsorbowany swoją historią, aby myśleć o czymś innym. Kobylański jednak pojął od razu, że wielki detektyw uspakaja nie służącego, lecz siebie samego. Albowiem można było naprawdę stracić panowanie nad nerwami. Adaś! Może leży już gdzieś w kącie, martwy, stracony rękami bestii. Na samą myśl o tym Żbik siłą powstrzymywał dosłownie zgrzytanie zębami.

— Tu, panie inspektorze — nachylił się.

Schody w górę, schody w dół, poręcz, poprzeczny korytarz, dywan – lecz żadnych śladów.

— Gdzie znalazłeś rękawiczkę.

— W tym miejscu.

Na schodach w dół. A zatem... Inspektor spojrzał w twarz Kobylańskiego.

— Zrewidować parter. Już!

Sam stanął oparty o poręcz z odwiedzionym rewolwerem w rękę. Chłopcy na dole sprawowali się cicho, jakby w obliczu śmierci. Kto wie – może mieli rację i za chwilę już przybiegnie jeden z nich...

Broń i dłoń Bernarda Żbika uniosły się automatycznie, gdy ucho jego uchwyciło odgłos kroków z góry. Ktoś schodził... Rewolwer opadł. – Inżynier Downar i bez tego był przerażony.

— Pan już jest. Dzięki Bogu. Słyszałem hałasy i zeszedłem. Nie mogę spać.

— Może pan zostać ze mną, inżynierze. Moi ludzie przeszukają parter budynku.

— Jeszcze raz?

— Aspirant Billewski zniknął. Mój służący znalazł jego rękawiczkę. Pan powinien to wiedzieć, inżynierze – czy tu w banku są jakieś ukryte pokoje, wie pan – nie romantyzm ale zwykła ostrożność, powiedzmy gabinety konferencyjne.

— Nie ma na pewno. Same biura. System korytarzowy. Na każdym piętrze trzydzieści trzy pokoje i sala konferencyjna na drugim piętrze.

— Widziałem ją. Tam nikt nie może się ukryć.

— Ukryć?

— Tak, bo gdzie jest Janina Stokowska i aspirant?

Inżynier Downar nie odpowiedział, bo i co miał odpowiedzieć. Pytanie Żbika było raczej odpowiedzią na zdziwione „ukryć” sekretarza. Był przybity zdarzeniami i może nawet nie słuchał. Nie można było mieć doń pretensji za egoizm. Przede wszystkim myślał o sobie – a śmierć jego szefa groziła mu utratą posady w tak ciężkich czasach. Te obawy wynikały z kilku zdań, jakimi podzielił się z detektywem.

Lecz Bernard Żbik nie myślał o posadzie inżyniera Downara. Jego nerwy były gdzie indziej. Uspokoił się tylko na chwilę, gdy zjawił się Kobylański i zaraportował krótko, że rewizja nie dała wyniku.

— Szukaliście wszędzie?

— Opukaliśmy ściany, panie naczelniku. Tam nikt nie mógł się ukryć.

Raport Wielgusa, Rogalskiego, Więcka i Sznajdera, pilnujących gmachu od zewnątrz, stwierdzał kategorycznie, że w czasie nieobecności inspektora nikt nie wyszedł z gmachu, ani nie wszedł doń. Dziennikarzy pilnowaliśmy elegancko i ani jeden... O to nie ma obawy, panie inspektorze.

Nie ma obawy? Pół do trzeciej po północy. Dziesięć i pół godziny minęło od chwili mordu – a tu nic. Wcale się nie zapowiada na to, żeby morderca mógł być ujęty. Przeciwnie! Jeden człowiek, który zabił dwie osoby, uwięziony w zamkniętym, okratowanym domu z „załogą” dwudziestu dwóch ludzi – drwił z Bernarda Żbika, porwał świadka, który znał tajemnicę Ozyrysa, i aspiranta, najpewniej w chwili, gdy ten coś zauważył.



I czeka. Zimno, odważnie, bez nerwów. Za trzy, dwie godziny zacznie świtać, skończy się noc, zgroza zblednie... przecież policja nie może okupować domu w nieskończoność, ani prasa długo być utrzymana w błędzie. Otworzą w końcu, „zet” wyjdzie sobie spokojnie i zniknie.

Nie! Poza tym „zet” porwał dwie osoby. Nie można tak łatwo ukryć, nawet w takim gmachu – dwojga dorosłych ludzi. Chyba że są nieżywi... Mróz dreszczu przeniknął Żbika aż do szpiku kości. Więc znów miał zatrzymać się na martwym punkcie i czekać na nieznane i niewiadome.

Ściągnął brwi i zamyślił się. Inni milczeli. Kobylański patrzył ponuro w ziemię, lecz nic nie przychodziło mu na myśl. Inżynier Downar ponuro zapalał papierosa od niedopałka. Wielgus zagryzł wargi i wystąpił o krok naprzód.

— Panie naczelniku, my nie zostawimy tak naszego aspiranta.

— Co byś radził, Wielgus — zapytał Żbik mimo woli.

Nie otrzymał odpowiedzi. Sam myślał zawzięcie i wprost nie widział wyjścia. Teraz, gdy „zet” miał w ręku zakładnika, trzeba było zaniechać myśli o radykalnych środkach. Wielki detektyw zrozumiał, że natrafił na groźnego przeciwnika. Strategia obrony nie była tu przypadkowa, lecz obmyślona z diabelską precyzją.

— Nie, Wielgus. Odnajdziemy pana aspiranta. Nie bójcie się, chłopcy.

— My wiemy, że pan naczelnik...

Bernard Żbik skinął na inżyniera Downara.

— Czy nie rozporządza pan przypadkiem dobrą liną?

Kobylański i Wielgus zrobili wielkie oczy. Także inżynier był zdumiony i wcale tego nie ukrywał.

— Lina?

— Jest mi potrzebna. Byłbym panu zobowiązany za dostarczenie. Nie znam rozkładu banku.

— Wiem, że w dyżurce Lipińskiego powinien się znajdować długi, mocny sznur.

— Wystarczy. Czy nie byłby pan łaskaw mi go przynieść.

— Chętnie.

Inżynier skierował się ku schodom na parter, potrząsając ze zdumieniem głową. Wrócił po kilku minutach ze zwiniętym kłębem sznura w ręce.

— Zawołaj tu Lipińskiego, Wielgus.

Wywiadowca pobiegł, lecz nie wrócił tak prędko. Okazało się, że woźny wciąż spał obok zaimprovizowanego „bufetu”, jaki urządzili sobie policjanci – i nie można było się go dobudzić.

— Zostawcie, niech leży aż do wytrzeźwienia. Kobylański, każcie przodownikowi Kłowski obejść posterunki wszystkich chłopców na dole i sami chodźcie tu do mnie. Wielgus, możesz zostać, i pan, inżynierze. Chcę wam coś powiedzieć.

Jeden mały wywiadowca, stały współpracownik Żbika od początku jego kariery, nie zdziwił się naglej zagadkowości Żbika. Znał go dobrze i mógł przysiąc, że imponująco skoncentrowany inspektor jeszcze nic nie zrobił bez powodu. Czekał więc z dreszczem napięcia, aż do przybycia Kobylańskiego. Stali, czterech, na końcu korytarza, w tym samym miejscu, gdzie Stefan znalazł rękawiczkę aspiranta Billewskiego.

Bernard Żbik nie lubił tracić czasu.

— Proszę panów — zaczął od razu — zbliżamy się do końca sprawy, przedstawiającej się następująco: W gmachu banku przebywa „zet”, morderca dwóch osób, który ponadto ukrył gdzieś aspiranta Billewskiego i Janinę Stokowską, córkę jednej ze swych ofiar. Tajemnica zagadki obu zbrodni kryje się w słowie *Ozyrys*, którego znaczenia zaczynam się domyślać. Nie będziemy szukać aspiranta i Janiny, **bo ja wiem, gdzie oboje są ukryci**, i tylko dlatego jestem

dotychczas taki spokojny. Inna rzecz czy żyją jeszcze oboje, ale...

Urwał nagle i zbladł. Wielgus nie dostrzegł tego w półmroku panującym na słabo oświetlonym korytarzu pierwszego piętra.

— A morderca, panie naczelniku?

— Z tym będzie nieco trudniej, ale to jest kwestia nieco późniejsza. Przede wszystkim musimy uwolnić pannę Stokowską i aspiranta. I w tym celu...

Cichy trzask dochodzący od strony hallu na parterze przerwał inspektorowi. Ponieważ stał tuż obok poręczy, więc dostrzegł coś na podobieństwo błysku magnezji. Przechylił się i widział wchodzącego po schodach przodownika Kłosa, który trzymał w ręce arkusz papieru złożony we dwoje.

— Melduję panu inspektorowi, że posterunkowy Klimczak znalazł to tuż po usłyszeniu trzasku i błysku. Leżało na podłodze obok tego pudełeczka.

Wręczył swemu zwierzchnikowi na wpół spalone pudełko od zapalek.

— To leżało obok drzwi wejściowych, przy kolumnie, prawda, Kłós?

— Prawda — wyjąkał zdumiony przodownik. — Skąd pan inspektor wie? Przecież stąd nie można było widzieć nic oprócz błysku magnezji.

Detektyw nie wyjaśnił. Otworzył złożony arkusz i przeczytał ołówkowy, niestaranny napis.

*Jeżeli nie opuścicie gmachu w ciągu piętnastu minut, cały bank wyleci w powietrze wraz z Janiną i aspirantem Billewskim – bo za kwadrans ja uruchomię dynamitowy mechanizm wybuchowy.*

#### OZYRYS

W pierwszej chwili Bernard Żbik, poważny kryminolog, miał ochotę roześmiać się beztrąsko z tego istic literackiego wybryku mordercy. Rysy jego twarzy spoważniały jednak natychmiast, gdy przypomniał sobie zdanie z protokołu autopsji. Jerzy Makarski otruty został roztworem dynamitu. A człowiek, który dopuścił się dwu zbrodni w zamkniętym terenie nie miał już nic, ale to absolutnie nic, do stracenia!

Ozyrys! Znów to tajemnicze słowo, pod którym kryje się jednak żywy, realny człowiek z krwi i kości i z patologicznym mózgiem mordercy. Ten, który zabił i boi się, drży straszliwie przed wymiarem sprawiedliwości – jaki go nie minie. Teraz zrezygnował już z maski, ze zwalania winy na swą drugą ofiarę, na Jerzego Makarskiego, jakiego przedtem oplatał piekielnie misternym drutem kolczastym żelaznych poszlak genialnie przygotowanych z twardą premedytacją. Teraz już „zet” wie, że nie uda mu się wyjść drogą normalną, albowiem miał nieszczęście natrafić na detektywa w osobie Bernarda Żbika.

Zet-Ozyrys zdecydował się więc działać. Cóż więc miałyby go powstrzymać od wykonania przerażającej groźby wysadzenia banku w powietrze. Skoro obliczył tak niesamowicie samo zabójstwo Erazma Stokowskiego, mógł też w ten sam diabelny sposób przygotować wybuch bomby dynamitowej... A zatem? – usłuchać go, przestraszyć się groźby i ewakuować teren zbrodni, pozwolić ująć potwornemu mordercy? O tym oczywiście nie ma co myśleć, i zbrodniarz – o, to nie jest przeciętny typ „klienta szubienicy” – na pewno zdaje sobie sprawę z faktu, że inspektor Bernard Żbik nie ulęknie się takiej pogróżki. Więc czemu napisał ten zwariowany list. Otóż to, zwariowany. Dowodzić to mogło jednego, że strach „zeta” już przekroczył granice normalności, Ozyrys jest przygotowany na wszystko i postanowił zagrać va

banque. Albo... albo! W takim razie życie Adama Billewskiego i Janiny Stokowskiej również wisi na włosku.

A jednak – ku przeogromnemu zdumieniu Wielgusa, Downara i Kobyłańskiego – Bernard Żbik odetchnął nagle głęboko, z prawdziwą ulgą. Z listu mordercy wynikało jasno – o ile nie skłamał – że Adam i córka zabitego żyją. Więc nic jeszcze nie jest stracone. I Wielki Psycholog zdecydował się działać bez zwłoki. Więcej nie zamierzał tracić czasu.

W oczach jego zabłysła śmiertelna powaga i stalowa decyzja, gdy metalicznym, owym nieodpornie nakazującym bezwzględny posłuch głosem rozkazał spokojnie Wielgusowi:

— Zejdiesz na dół i sprowadzisz tu Więcka, Sznajdera i Rogalskiego. Razem z nimi przybędziesz na górę, do pokoju mordu. Zaczekacie przed drzwiami.

— Rozkaz, panie naczelniku.

— Odstap! A my — zwrócił się do Kobyłańskiego i Downara — przejdziemy do gabinetu zbrodni. Tam wyjaśnię wam, jak zabito Erazma Stokowskiego i zdemaskuję tajemnicę Ozyrysa. Pan, aspirancie Kobyłański, będzie protokołował w zastępstwie nieobecnego Adama Billewskiego, a pan, inżynierze, podpisze protokół wizji jako świadek.

— A pan aspirant Billewski, ta pani i... ta groźba?

— Gwiżdżę na nią, Kobyłański, możecie mi wierzyć.

Po tym ekscentrycznym oświadczeniu inspektora, Wielgus odszedł podniecony w najwyższym stopniu, zaś Bernard Żbik i pozostali dwaj przeszli wolno w kierunku szerokich drzwi gabinetu świętej pamięci bankiera. Detektyw pchnął ozdobną klamkę jak przed jedenastoma godzinami, wszedł za pozostałymi i usiadł spokojnie na fotelu za biurkiem, w tym samym miejscu, gdzie znaleźli trupa Erazma Stokowskiego.

Inżynier Downar oczywiście sięgnął po papierosa, zapalił go i spojrzał uważnie na skupioną twarz inspektora. Kobyłański wyjął właśnie ołówek i notes policyjny. Pierwszy sekretarz zamordowanego bankiera spokojnie położył zapalną na brzegu popielniczki i rzekł cicho:

— Niech pan nie gwiżdże tak lekkomyślnie na groźbę Ozyrysa. **Nastawiłem mechanizm dynamitowej bomby na kwadrans po trzeciej. Tak że wybuch nastąpi punktualnie za szesnaście minut.**

Mały, oksydowany browning z rurką tłumika w ręku Edwarda Downara nawet nie drgnął przy tych wyraźnych słowach.

## PRZEZNACZENIE

Było coś zdecydowanie groźnego w tych cicho wypowiedzianych słowach. Bernard Żbik zrozumiał, że popełnił błąd psychologiczny: Edward Downar, morderca, okazał się o wiele silniejszym nerwowo niż detektyw-psycholog obliczył i zamiast przeciągać strunę postawił sprawę na ostrzu noża, przestał się ukrywać i... wcale jeszcze nie znajdował się na pograniczu szoku.

— Podnieście ręce do góry! — rozkazał spokojnie i dopiero teraz odwiódł bezpiecznik, który to szczegół dowodził jeszcze raz, że zbrodniarz był najzupełniej przytomny.

Kobyłański spełnił polecenie w ślad za inspektorem, który nie zawahał się ani przez sekundę, albowiem zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że najmniejszy podejrzany ruch grozi w tej samej chwili natychmiastową śmiercią, jaka zionąć może bez pardonu z czarnego otworu małej lufki tłumika. Za szesnaście minut — rozważył jednocześnie — to duży szmat czasu. Może Wielgus domyśli się tam za drzwiami, że coś zaszło i wejdzie, i...

— Jeżeli ktoś zapuka — odpowie pan zwykłym głosem, że nie można wejść. Jeżeli spróbujecie alarmu, zastrzelę was obu. — Downar zdawał się czytać w myśli inspektora. — Nie mam przecież nic do stracenia. Pan, inspektorze, wie o tym równie dobrze jak ja.

Piętnaście i pół minuty. I ten człowiek, pomimo imponującego opanowania nie może być w takiej sytuacji zupełnie normalny. Niepodobna, aby podwójne morderstwo w połączeniu ze stanem psychologicznym, jaki doprowadził do jego wykonania, oraz nadto jedenaście godzin przebywania pod grozą aresztowania i szubienicy – aby to wszystko nie zostawiło wpływu na korze mózgowej człowieka, i do tego osobnika zdegenerowanego w założeniu, bo mordercy.

— I co panu z tego przyjdzie, jeżeli nawet spowodujesz śmierć jeszcze dwojga osób, Edwardzie Downar. Czy sądzi pan, że ujdiesz dłoni sprawiedliwości.

— To nic pana na pewno nie obchodzi. Ważniejsze jest, że jeżeli ja nie zatrzymam na czas mechanizmu bomby – aspirant i Janina zginą.

— Lecz to pana nie uratuje, Downar. Pańska gra jest skończona.

— Zobaczmy. Twierdzę, że mnie nie dostaniecie Proszę nie sądzić, że myślę o samobójstwie. Ja ucieknę.

Co za pewność tonu, granicząca z manią. Inspektor myślał z piorunującą szybkością. Miał przed sobą człowieka niezbitie patologicznego, mordercę, osobę o zdegenerowanym, a więc chorym umyśle. Nie odgrywa tu roli kwestia przyczyny zbrodni i jej techniki, zresztą zupełnie jasnej i wcale nie cudownej, a tylko piekielnie sprytnie pomyślanej.

— Wyjdę teraz — zaczął Downar — a wy nie krzykniecie. Zachowacie się spokojnie, aż ja zamknę za sobą drzwi. Niestety, na późniejsze minuty nie mogę wam nic nakazać.

— Głupstwa pan gada, Downar. Ujdzie pan trzy kroki i padniesz trupem od kul.

Żbik wiedział, że ma przed sobą zbrodniarza logicznego i mądrego, całe przeprowadzenie czynu dowodziło tego niezbitie. Z takim osobnikiem nie należy nigdy uciekać się do powieściowych efektów. Rozumnego człowieka – a i morderca może być taki – można nabrać

tylko rozumnie.

— Ma pan rację, inspektorze — detektyw nie zdziwił się wcale tej odpowiedzi. — Wobec tego wyprowadzicie mnie obaj, ja będę szedł za wami, aby strzelić przez kieszeń w razie potrzeby.

— I mam pana wyprowadzić na ulicę, wsadzić do taksówki i odwieźć z honorami na dworzec główny. Paszport i wizy przygotował pan chyba, Downar.

Inżynier wysunął groźnie rewolwer.

— Bez kpin, inspektorze. Chwila jest po temu najmniej odpowiednia.

— Ależ pan sam kpi, inżynierze.

(Tylko zyskać na czasie. Może zaraz...)

— Ja nie żartuję, gram w otwarte karty. Fair play. To co pan, jako człowiek mądry, powinien najbardziej cenić – czyli życie inspektora Bernarda Żbika w zamian za moją ucieczkę...

— I co jeszcze...

— Nie przerywać! — warknął morderca, a odważny inspektor poznał w tej chwili, co to strach. — Tryumf zdemaskowania niesamowitego inżyniera Downara i tak przypadnie panu w udziale. Zresztą, nie ma pan innego wyjścia...

Inspektor nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Edward Downar rozkoszuje się swą sytuacją, przewagą i z przyjemnością przysłuchuje się własnym słowom.

— Mam wyjście – krzyknął.

— To byłby ostatni dźwięk w pańskim życiu. Strzelam doskonale i możecie mi wierzyć, że zabiję was dwiema kulami, jeżeli nie usłuchacie. To daje mi bądź co bądź jakąś szansę – wykorzystanie zamieszania wynikłego na widok trupa sławnego i kochanego inspektora Bernarda Żbika. Wytrzymam kilkuminutowe oblężenie i potem nastąpi wybuch – nowa szansa ucieczki, podczas gdy dobrowolne poddanie się, które pan mi chce zaproponować, nie przedstawia dla mnie żadnej wartości.

— Podziwiam pańską zimną krew, Downar. Przyznaję, że dotychczas nie spotkałem tej klasy i miary zbrodniarza.

— A ja nie mam najmniejszego zamiaru dać się wziąć na głupie słówka i pseudo-komplementy i tracić bezcenny czas, inspektorze. Nie jestem dzieckiem i nie weźmie mnie pan na tak zwany ambit. Przy obliczeniu planu tej zbrodni, wziąłem nawet pod uwagę obecną sytuację. Daję panu jedną minutę czasu do namysłu, więcej nie mogę.

Inżynier Downar spojrział na zegarek. Rewolwer w jego drugiej dłoni skierowany był wprost w pierś inspektora.

— A jeżeli nie usłucham — zapytał Żbik spokojnie, gdyż mimo wszystko postanowił nie stracić zimnej krwi.

— Po upływie tej minuty — ciągnął Downar, jakby wcale nie słyszał pytania — zastrzele pana i aspiranta Kobyłańskiego. Drzwi są dość szczelne, a ja mam tłumik na lufie.

Potem wyjdę spokojnie i jakoś wywinę się pańskim wywiadowcom, którzy jeszcze o niczym nie wiedzą i widzieli przedtem, jak przez cały czas rozmawiałem z panem spokojnie i po przyjacielsku – jako niepodejrzany.

— I co potem, inżynierze. Drzwi na ulicę są strzeżone przez piętnastu policjantów w hallu.

— Jeszcze czterdzieści dwie sekundy, inspektorze. — Downar uśmiechnął się cynicznie. — Wybuch bomby ma specjalny cel. Otworzy mi wyłom w murze do ogrodu, skąd pan tak wspaniałomyślnie cofnął oba posterunki, wznieci alarm i pożar. A wtedy, już mnie nie schwyacie. Jak pan widzi, przewidziałem wszystko. Tylko mądry inspektor Żbik przeliczył się co do moich nerwów. Jeszcze trzydzieści sekund.

Cofnął się o dwa kroki i stanął oparty plecami o drzwi. Położył lewą dłoń na klamce. Bernard Żbik nie wątpił, że ten morderca spełni swą groźbę i namyślił się błyskawicznie. Ale nie mógł wymyślić w takiej chwili. Popenił rzeczywiście błąd, o jakim wspomniał Downar. Nie docenił siły jego nerwów, potężnych niczym struny stalowe.

— Dobrze. Pójdę przed panem, inżynierze. Ale i tak...

— Dość! — warknął morderca cicho. — Szkoda mego czasu.

Włożył rewolwer do kieszeni marynarki i nie wyjął ręki.

— Idźcie przodem, Kobylański pierwszy, pan drugi, ja na końcu. Jeżeli zauważę najmniejszy podejrzaný ruch, który mi się nie spodoba, będzie to ostatni ruch w pańskim życiu. A pan — zwrócił się do Kobylańskiego — także spokojnie, bo z kochanym inspektorem koniec. Jeżeli mam zginąć w tym domu, będę miał zaszczytne towarzystwo. Marsz! Ręce w dół! Uważać na własne twarze i oczy!

Kobylański wyszedł pierwszy, inspektor za nim, a trzeci, morderca z ręką w kieszeni i z rewolwerem w tej ręce. Bernard Żbik nigdy by nie uwierzył w taką sytuację, gdyby jej sam nie przeżył. Wiedział, że za nim postępuje bezlitosna śmierć szybka jak uderzenie pioruna. I dlatego nie uczynił najmniejszego dwuznacznego ruchu.

Wielgus spojrział na twarz swego szefa, ale nie wyczytał z niej nic. Wobec tego odsunął się w milczeniu wraz z trzema kolegami-wywiadowcami. Na szczęście Żbik przyzwyczaił swoich podkomendnych, aby nigdy nie odzywali się pierwsi.

— Zostaniecie tu — rzekł inspektor spokojnie i ani drgnął, gdy poczuł nacisk lufy na kości krzyżowej.

— Idziemy na trzecie piętro, prawda, panie inspektorze? — zapytał morderca bez wzruszenia w głosie.

Przed drzwiami mieszkania Downara zatrzymali się wszyscy trzej.

— Trzymaj klucz i otwórz! — syknął sekretarz i wręczył wymieniony przedmiot Kobylańskiemu.

Weszli.

Bernard Żbik od razu zauważył leżących na tapczanie skrępowanych: Janinę Stokowską i Adama Billewskiego. Nie zdziwił się. Od chwili, gdy domyślił się, że mordercą może być tylko Edward Downar, wiedział, że jedynie w jego mieszkaniu, w jednych pokojach, których nie rewidowano, mogą być ukryci uwięzieni i nieuchwytny zbrodniarz. A mordercą musiał być tylko inżynier Edward Downar, bo...

— Później będzie pan miał czas na rozmyślenia. Teraz proszę mi wydać swój rewolwer. I pan również — zwrócił się do Kobylańskiego.

Ale tego było już przecież Żbikowi za dużo. Błyskawicznym ruchem podniósł nogę i... syknął z bólu. Uderzenie trzonem sztyletu w jabłko stawu kolanowego pozbawiło go na chwilę zdolności ruchów. Morderca schował zakrzywiony nóż do kieszeni.

— Teraz zaniecha pan oporu, jak sądzę. Nie zraniłem pana, ponieważ nie czuję do was urazy za to, że mnie chcecie schwytać, to wasz obowiązek jako oficerów policji. Erazm Stokowski zginął, bo mu się należało. Jerzy Makarski nie żyje — był głupi. Gdy jednak pański opór, inspektorze, stanie na drodze mojej ucieczce — zabiję pana i to będzie logiczne.

*To będzie logiczne* — co za charakterystyczne słowa. No, tak. Inspektor rozumiał to zupełnie dobrze. Pojmował, że dzięki nabitej broni w palcach zbrodniarz ma nad nim przewagę i musiał milczeć i poddać się tej przewadze.

— Widzi pan, ja zawsze dotrzymuję słowa. Gotowe... — rzekł Downar.

Detektyw widział, jak przekręcił i przeciął drut miedziany, wijący się po podłodze ku oknu w stronę kaloryfera i domyślił się, że to kontakt zapalny wspomnianej bomby. Lecz to było

teraz nieważne! Trzeba zyskać na czasie za wszelką cenę. Przecież oni tam na dole, muszą się w końcu zorientować, że coś jest nie w porządku, może powezmą podejrzenie i przyjdą i...

Uśmiechnął się z doskonale udanym odcieniem ironii w oczach i zapytał.

— Downar, pan nie jest przecież inżynierem geodetą, prawda?

— Bez względu na to, kim jestem, nie uda się panu zbić mnie z tropu, inspektorze. Ja wiem o czym pan myśli. Zyskać na czasie, co?

— Oczywiście — przyznał Żbik, którego ten nie zwykły typ zbrodniarza zaczął interesować jako psychopatology. Downar jest niewątpliwie anormalny, ale gdzie znaleźć jego *locum minoris resistentiae*.

— Dlaczego pan się właściwie przyznał do winy pierwszy.

Zbrodniarz odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

— Po co nam tu wygłupianie się, inspektorze. Pan chce zyskać na czasie z myślą, że jednak ktoś tu w końcu zajrzy i nie zdaje pan sobie sprawy, że to przecież równałoby się pańskiej śmierci. Powinno panu bardziej niż mnie zależeć na utrzymaniu ciszy, gdyż ja ostatecznie niewiele mam do stracenia – bo nie dam wziąć się żywcem.

— Więc po co tyle gadać, Downar. Przecież pan i tak nie ucieknie. Przypuśćmy, że mnie pan zastrzeli – w jakim celu, człowieku, który chcesz zasługiwać na miano logicznego. Na dole czekają moi ludzie, dom jest obstawiony, nikt nie otworzy drzwi bez mojego rozkazu.

— Ale pan wyda ten rozkaz, inspektorze.

— O tym nie ma mowy, Downar. Raczej pozwolę się zabić.

— Słowa, tylko czcze słowa, które nie przystoją nawet mądrym Bernardowi Żbikowi. Pan wie, że spełnię mą groźbę, o ile pan nie zejdzie ze mną i nie wypuści mnie.

— I co dalej. Radiostacja Centrali Służby Śledczej zaalarmuje całą Polskę. Będzie pan gnany jak pies z miejsca na miejsce i w końcu... kaput. Polska policja śledcza to nie przelewki.

— Pan jest mądry, inspektorze.

Teraz dla odmiany pan pochwalny na cześć policji. Wzniosłe i szlachetne, nie ma co.

Głos mordercy stężał naraz, a rysy twarzy spowaźniały.

— Uważać, inspektorze!

Zręcznym ruchem wyciągnął rewolwery z kieszeni Żbika i Kobyłańskiego i rzucił je na szafę. Wskazał lufą swego browninga sąsiednie drzwi i rozkazał krótko:

— Proszę tam wejść, panie Kobyłański. Inspektor zostanie, aby mnie odprowadzić. I bez alarmu, bo w przeciwnym razie unieszkodliwię pańskiego zwierzchnika na zawsze.

Bernard Żbik usłyszał trzask zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Kobyłański był zamknięty. Lecz inspektor zaniepokoił się czymś innym: Zarówno Janina Stokowska jak i Adam Billewski leżący oboje skępowani na tapczanie nie dawali znaku życia. Inżynier Downar, który obserwował każdy ruch detektywa, zauważył jego pytające, niespokojne spojrzenie i wyjaśnił krótko:

— Narkotyk. Nie mogłem ryzykować. A teraz pan mnie wyprowadzi. Tylko bez ekstrawagancji, proszę. To jest dla mnie jedyna szansa, a ja nie zaniedbałem jeszcze żadnej szansy w życiu.

Inspektor spojrział na zegarek na swoim przegubie. Czwarta. Dwanaście godzin minęło od chwili odkrycia zbrodni. Czy, wkraczając tu, mógł się spodziewać, że wyjdzie stąd tak, jak to obliczał Downar? Że wyprowadzi „własnoręcznie” mordercę! A jednak, nie widział nadziei na zmianę sytuacji. Adam uwięziony, jedyny współpracownik, który mógłby podjąć coś z własnej inicjatywy.

Poczuł na sobie przenikliwy, bystry wzrok inżyniera.

— Schowam rewolwer do kieszeni, jak przedtem. Pan pójdzie obok mnie, z prawej

strony. Nie odpowie pan na żadne pytania swoich agentów, będziemy spacerowali wolno, jakby nic nie zaszło. Dojdziemy do drzwi, pan rozkaże je otworzyć, wyjdziemy razem. Co dalej, zobaczymy.

— I pan wierzy w swą ucieczkę, Downar?

— Jestem jej pewny. Początkowo miałem zamiar uciec przez wyłom po wybuchu, wykorzystując zamieszanie, pożar i...

— I swoje alibi — dokończył Żbik.

— Tak. Teraz jednak zmieniłem plan, bo pan zbyt wcześnie odkrył swoje karty.

Przeliczył się pan, inspektorze — powtórzył z wyraźnym odcieniem zadowolenia w głosie.

Bernard Żbik stał nieporuszony. Już przestał rozważać możliwości kontrakcji, gdyż w tej chwili nie widział ani jednej z nich. Mógł liczyć tylko na cud — ale w cudy Wielki Psycholog nie wierzył.

— Co oznacza Ozyrys, inżynierze — zapytał naturalnym głosem, albowiem pogodził się już z sytuacją.

— Powiem panu później, w samochodzie. W tej chwili musimy już iść. Pan jest genialnym detektywem, inspektorze. Nie spodziewałem się tak szybkiego zdemaskowania. I ja się nieco przeliczyłem.

Zapalił nerwowo papierosa.

— Idziemy...

Włożył, jak poprzednio, prawą rękę z rewolwerem do kieszeni marynarki i ujął klamkę. W tej samej chwili rozległo się głośne, stanowcze pukanie do drzwi. Zbrodniarz zbladł, ale nie wyjął ręki z rewolwerem z kieszeni.

— Co to... — szepnął, a wszystka krew uciekła mu z twarzy.

— Nie wiem — stwierdził inspektor zgodnie z prawdą. Zrozumiał, że zbliża się chwila decydująca. Cud? Czy zrządzenie Opatrzności? Dłoń Sprawiedliwości? Bzdury...

Pukanie powtórzyło się i odrzwia uchyliły się wolno. Ukazała się w nich roześmiana, jaśniejąca radością, twarz tego fircyka, podkomisarza Skurskiego. Nie zwrócił uwagi na Downara, na widok inspektora podszedł bliżej i uśmiechnął się ponownie.

— Nie mogłem wytrzymać, panie naczelniku. Musiałem, już, od razu, choćby o czwartej nad ranem — mówił szybko i chaotycznie pod wpływem radości. — W sześć godzin! Czy teraz powie pan jeszcze, że ja wstąpiłem do policji jedynie dla tytułu podkomisarza! Mamy go!

Inspektor widział prawe ramię bladego Downara i nie chciał ryzykować. Nie mógł jednak milczeć, gdyż i to byłoby ryzykowne.

— Kogo macie!

— Tego zaginionego kupca! Wcale nie był zaginiony. Zwykle bankructwo złośliwe i ordynarny kant ubezpieczeniowy. Zrobił strasznie głupią minę, gdy wygłosiłem formułę i nałożyłem mu bransoletki. Z tym może nawet trochę przeholowałem, przyznaję. Ale jak ja go znalazłem — można by to opisać w powieści sensacyjnej! I od razu przybiegłem tu, aby się pochwalić przed panem inspektorem. Bo ja nie wstąpiłem do policji tylko dla tytułu i zabolalo mnie, gdy pan inspektor to powiedział. Ja...

Uspokoił się wreszcie, kochany smarkacz, i umilkł zażenowany. Inspektor uznał, że trzeba coś uczynić. Albo teraz — albo wcale.

— Jak mnie pan znalazł, podkomisarzu. Bo przecież...

W tej chwili huknął cichy wystrzał z dłoni Downara. Inspektor rzucił się w bok, lecz to było zbyt ciche. Podkomisarz Skurski zorientował się nieprawdopodobnie szybko i skoczył. Padł na ziemię z jękiem, trzymając się za trafione ramię, ale inżynier Downar, morderca, tkwił już w tej sekundzie w kleszczach żelaznego chwytu inspektora Żbika.



Podkomisarz Skurski widział całą scenę. Wciąż leżąc na ziemi, uśmiechnął się do kochanego szefa przez skurcz bólu z rany i rzekł przez łyż:

— Bransoletki... w mojej... kieszeni... automatyczne...

I zemdlął, tak że nie usłyszał już donośnego gwizdu Bernarda Żbika, na którego sygnał pierwszy nadbiegł Rogalski, a za nim Stefan i inni. Detektyw wskazał na Downara i rozkazał bez gniewu:

— Oto morderca. Trzymajcie go dobrze, chłopcy.

— Jeszcze jak, panie inspektorze. Samobójstwo policyjnie wzbronione — błysnął oczyma rozradowany Wielgus.

— Trzymaj się wiatru, najdroższy, jako rzekł abisyński kat do swej bogdanki, gdy...

TYLKO LOGIKA

— Dawaj!...

— Osiem bitych stron, aż palce bołą. Dziwny człowiek, pogodził się zupełnie ze swoim losem i wyjaśnił cały przebieg czynu. Spodziewałem się wybuchów, zwykłej, nędznej maskarady skruchy – a ten nic. Prosto, logicznie, szczegółowo i – co najdziwniejsze – bez przeświadczenia winy.

— Nic dziwnego. Inżynier Downar nie jest zwykłym przestępcą. Gdyby się urodził w czasach Borgiów lub Mazariniego, zrobiłby karierę i przeszedłby może do bardziej dokładnie opracowanych monografii historycznych. Przeprowadził całą technikę zbrodni niezwykle logicznie.

— A mnie wciąż jeszcze boli głowa od tego narkotyku.

— Jak cię właściwie schwytał?

— Zauważyłem inżyniera Downara, przebiegającego przez korytarz i chciałem cię zawiadomić. Ścisnął mi po prostu gardło palcami, gdy stałem przy telefonie i potem już nic nie wiem.

— Wysoce nieromantyczne. Ja idę do naczelnika — zmienił Żbik temat. — Ty zaś, razem z bólem głowy, idź do szpitala Świętego Józefa na Hożej i pozdrów ode mnie Skurszczaka. To jest formalny rozkaz.

— Tak jest, panie inspektorze. — roześmiał się Adam i pożegnał się. Bernard Żbik natomiast skierował się ku schodom w korytarzu, do gabinetu nadinspektora Wiśniewskiego, człowieka, w tej chwili przynajmniej, ogromnie ciekawego.

— Nareszcie!

Wstał grzecznie i podał rękę swemu najzdolniejszemu oficerowi. Podsunął papierosy.

— Dziękuję. W tej chwili paliłem. Jak zdrowie pana naczelnika...

— Odczep się pan z szablonem, bom ciekaw – jak nigdy. Przede wszystkim – jak pan się wy dostał spod terroru mordercy.

Inspektor Żbik ocknął się z zamyślenia.

— Właśnie, szukałem określenia, panie naczelniku, i pan mi je podsunął. **Terror.** Inżynier Edward Downar to klasyczny typ terrorysty, człowieka, który logikę własną stawia ponad prawem. Mam tu jego szczegółowe zeznanie.

— Ale w nim nie będzie odpowiedzi na moje pytanie.

— Było zwyczajnie. Tegoż dnia w południe zrugąłem podkomisarza Skurskiego za jakieś drobne przewinienie.

— Skoro pan aż rugał — to przewinienie musiało być poważne.

— Proszę o tym zapomnieć, naczelniku. Chcąc mu więc wynagrodzić burę, zleciłem aspirantowi Billewskiemu przekazać mu sprawę zaginięcia jakiegoś kupca żydowskiego. Chłopak – bo Skurski to jeszcze młodzian – wziął sobie tak do serca moje nagany, że na wściekłego wziął się odnaleźć zaginionego, stwierdzając jednocześnie, że był to złośliwy

bankrut i zameldowanie o zaginięciu było fikcyjne. Ucieszony podkomisarz prosto z aresztu centralnego Przyjechał do mnie, do Banku Południowego, aby pochwalić się tym, że nie jest tylko komisarzem dla tytułu. No i zrehabilitował się zupełnie.

— Mimo woli.

— Nie wchodźmy w niuanse. Faktem jest, że nadejście Skurskiego, który mnie szukał po całym banku, ocaliło mi życie. Kula, która trafiła go, była dla mnie przeznaczona. Proszę...

— Zgoda — przerwał domyślny nadinspektor. A teraz słucham pańskiego raportu.

Bernard Żbik uśmiechnął się i zaczął czytać:

— Nic cudownego, naturalnie. Erazm Stokowski był w Egipcie i tam spotkał i poznał Downara, inżyniera-górnika. Obaj zaangażowali się w jakiś ryzykowny interes...

— No, i...

Detektyw uśmiechnął się poraż drugi i rzucił niedbale :

— Myślałem, że to będzie suchy raport, panie nadinspektorze.

— Ach, jaki wrażliwy. Proszę, niech się pan nie przejmuje moimi przerywaniami. Gdyby pan wiedział, jaki huk prasa zrobiła z tej sprawy.

— Od tego jest prasa, żeby robić huk.

— Zatem...

— Brudna sprawa — ciągnął inspektor. — Stokowski i Downar dopuścili się ordynarnej grabieży w jednym ze staroegipskich grobowców, który Downar odkrył przypadkowo w czasie jednej z wycieczek. Był to grobowiec Ozyrysa. Stokowski, człowiek dążący do pieniędzy wszelkimi drogami, finansował koszty ekspedycji: uzbrojenia, ładunków, wielbłądów i całego ekwipunku. Downar włożył do „przedsięwzięcia” plan grobowca Ozyrysa. Po przybyciu na miejsce ograbili doszczętnie grobowiec, zabierając masę kosztowności, złota, kamieni, mozaiki i tym podobnych.

— A rząd Egiptu, co na to?

— Dobrze się pan domyśla, przypadkowo. Po powrocie do Kairu Stokowski złożył doniesienie karne i Downar został aresztowany w nocy. W jego kieszeni znaleziono miniaturowy posążek Ozyrysa i kilka charakterystycznych kosztowności. Na mocy egipskich ustaw konserwatorskich podjęto żmudne dochodzenie i śledztwo, a tymczasem Erazm Stokowski jakby nigdy nie wyjechał do Warszawy z pieniędzmi. Te pieniądze i własną zawziętość, i talent bogacenia się włożył w operację giełdową – a ponieważ miał węch i szczęście, i nie był stuprocentowo uczciwy – trzy składniki konieczne dla błyskawicznej kariery – doszedł do stanowiska dyrektora Banku Południowego, którego był zaledwie dziesięcioprocentowym udziałowcem. Wtedy to przeprowadził zmianę swego nazwiska na Stokowski, przedtem brzmiało ono trochę inaczej. I wszystko byłoby spokojne, gdyby Edward Downar nie odnalazł przypadkiem swego eks-wspólnika w Polsce.

— Przypadkiem?

— Naturalnie. Inżynier, po „odsiadce” w Kairze wyruszył w świat z załączkiem mordu w sercu i tylko przypadkiem poznał Stokowskiego w Warszawie. Wówczas rozpoczęła się terror...

— Raczej: szantaż.

— Nie, tu nie było szantażu.

— I cóż bankier.

— Postąpił specyficznie uczciwie. Ofiarował Downarowi równą, uczciwą połowę... kapitału, który zagrabili w grobowcu Ozyrysa.

— Sprytne.

— Oczywiście, w stosunku do majątku jakiego Stokowski dorobił się dzięki temu kapitałowi zakładowemu – suma obecna była drobnostką, choć też wyrażała się w pięciu cyfrach.

Ale Downar nie był – powtarzam to – typem szantażysty. Awanturnik, obieżyświat, inżynier Downar – postanowił sterroryzować Stokowskiego bez uciekania się do szantażu. Zagroził mu po prostu zastrzeleniem i zmusił go przede wszystkim do zaangażowania byłego kompana na sekretarza osobistego. Pierwszą moją dziwną myślą był fakt, że Stokowski miał aż dwóch sekretarzy osobistych.

Nadinspektor zaproponował papierosa po raz drugi i detektyw tym razem przyjął.

— Downar zaczął wywierać wpływ na operacje bankowe swego „szefa”, wtrącać się, i sytuacja się zaogniła. Stokowskiemu zaczęło to ciążyć coraz bardziej i wtedy w mózgu bankiera zrodziła się myśl, która przyspieszyła jego własny ponury dramat.

Bernard Żbik umilkł na chwilę i przerzucił kilka stron w swoim notesie. Tylko on, nikt inny, mógł ze swoich na pozór zwariowanych i na oko niezwiązanych logicznie uwag – stworzyć żelazną, logiczną całość. Na przykład takie dwie uwagi: „Dwóch sekretarzy osobistych – dziwne” i „Edward Downar ma śniadą skórę i dziwny akcent – sprawdzić”... Otrząsnął się z zadumy.

— Erazm Stokowski nie był głupi – drań i szuja, ale mądry człowiek. Postanowił zawiadomić mnie o całej sprawie.

— Nie policję – tylko pana? Inspektora Żbika?

— Tak. W tym celu przysłał mi zaproszenie na bal-raut do Resursy Obywatelskiej i podpisał je nieczytelnie. Przybyłem, myślałem, że zaprosiła mnie któraś ze znajomych.

— Powiedzmy: wielbiciel.

— Powiedzmy — zgodził się Żbik obojętnie. — Przybyłem i był oczywiście Stokowski, żywiolowo przerażony. Przyczyną strachu była obecność Downara, który jednak w jakiś sposób dowiedział się o zamiarze szefa (może śledził go stale) i nie odstępował od Stokowskiego ani na krok. Inżynier miał przy sobie stale rewolwer – bardzo charakterystyczne – i bankier po prostu bał się potężnie, znając odwagę i szybkość decyzji przeciwnika. Zauważyłem przypadkiem strach w oczach Stokowskiego i zaczęłem go — lecz on nie powiedział nic, bo za nami stał Edward Downar. Erazm Stokowski najzwyczajniej uciekł z balu przed końcem.

— Przecież Downar nie strzeliłby do niego na balu – to byłoby równoznaczne z samobójstwem. A pański Downar nie był typem samobójcy.

— Dlaczego mój?

— Ponieważ tylko panu zawdzięczamy jego ujęcie. Proszę nie udawać skromnego.

— Rozkaz! Inżynier nie był typem samobójcy, lecz nie o to chodziło. Przede wszystkim wystarczy strach. A poza tym – co mógł uczynić Stokowski. Oskarżyć go? – to równało się uwięzieniu jego samego. Bankierowi nie chodziło też o moją interwencję, lecz o to, żeby Downar wiedział, że taka interwencja jest ewentualna. Częściowe zakomunikowanie mi tajemnicy miało na celu sparaliżowanie terroru. To jest subtelna różnica.

— Rozumiem.

— Nie wątpię, że pan rozumie. Pójdźmy dalej. Downar do...

— Czemu pan jest dziś taki cyniczny, inspektorze.

— Mierzi mnie to wszystko. Brudne, wstrętne i na wskroś patologiczne – ale jakże... normalne. Gdy Downar dowiedział się o zawiadomieniu mnie, zainterpelował o to Stokowskiego wprost. Proszę wziąć pod uwagę, że – akcentuję to – Erazm Stokowski nie był półgłówkiem ani charakterem słabym; tacy nie robią pieniędzy. Postanowił – skoro już się zdecydował – sprawę przeprowadzić konsekwentnie i zaprosił mnie do siebie przez samego Downara. Kiedy przybyłem, opowiedział mi nowelę francuskiego Anglika-literata o Ozyrysie – tylko w tym celu, aby zwrócić moją uwagę na tę nazwę. Więcej nie mógł powiedzieć, bo **Downar siedział przez cały czas za nim z rewolwerem w kieszeni.**

Inspektor uśmiechnął się i spojrzał na jedną z dziwacznych uwag w swoim notesie: „Downar ciągle trzymał rękę w kieszeni – dlaczego, skoro jest taki elegancki poza tym”.

— A figurka Ozyrysa.

— Przysłał mi ją również bankier.

— Cel.

— Jedyńy, o jakim wspomniałem już przedtem: Nie wyjawić tajemnicy, co byłoby równoznaczne z ruiną kariery Stokowskiego i zamortyzować terror Downara przez nasunięcie mu przeświadczenia, że ja wiem wszystko. Wcale mądre. Sprawa kradzieży w grobowcu Ozyrysa była w swoim czasie głośna w kryminalistyce. Na nieszczęście dla Stokowskiego, ja nie interesuję się kradzieżami, lecz tylko kryminologią zabójstw i poproś tu nie słyszałem o grabieży grobowca.

— Jak Downar dokonał zbrodni.

— Bardzo zwyczajnie. O trzeciej wszedł do gabinetu Stokowskiego, zakłął go i włożył słuchawkę telefoniczną do rąk nieboszczyka. Na swój czyn zdecydował się jeszcze poprzedniego dnia, na balu. Nie ustalił jednak dokładnej godziny, więc już rano zaprawił herbatę Jerzego Makarskiego narkotykiem. Na nieszczęście, Jerzy Makarski czuł tego dnia ból gardła, nie chciał wypić gorącej herbaty i potem o niej zapomniał w nawale pracy. Wobec tego Downar przełożył termin mordu na czas po opuszczeniu biura przez Makarskiego czyli po godzinie drugiej. Po dokonaniu czynu Downar zajrzał do gabinetu Makarskiego, aby zabrać stamtąd herbatę z narkotykiem i zauważył śpiącego młodzieńca. Wtedy wpadł mu na myśl iście piekielnie sprytny plan zresztą będący konsekwencją poprzedniego.

— Jak to, konsekwencją?

— Downar dokonał zbrodni przy pomocy sztyletu ze zbioru broni Jerzego Makarskiego.

— Aby zwrócić na niego podejrzenie.

— Przede wszystkim aby odwrócić od siebie podejrzenie. Wiedział – gdy o trzeciej zauważył śpiącego – że Makarski miał zwyczaj częstego picia wody, tym bardziej po zbudzeniu się ze snu narkotycznego, kiedy czujemy wzmożone pragnienie! Wsypał więc proszek trujący do karafki. W ten sposób stwarzał sobie ewentualność zrzucenia winy na człowieka, który nie będzie mógł odpiierać zarzutów, bo nie będzie żył, kiedy napije się wody. Tym bardziej, że...

— Klucz!

— O to chodziło. Włożył klucz do kieszeni Makarskiego, sam zaś wyszedł i zamknął drzwi kluczem, jaki sobie już dawno dorobił jako nieproszony rewident Stokowskiego.

— A odciski palców Makarskiego na narzędziu zbrodni?

— To takie proste. Downar, który hodował plan zbrodni już dawno, skradł kiedyś Makarskiemu jeden z jego sztyletów z bogatego zbioru antyków w mieszkaniu młodzieńca, potem okazał mu ten sztylet jako znaleziony. Makarski, ucieszony, wziął go do ręki i... sztylet znów zginął, ale już z utrwalonymi odciskami palców. Tego kindżału użył Downar jako narzędzia zbrodni. Tak, naczelniku, jeżeli psychologia temu zaprzecza – gotów jestem zawsze zakwestionować nawet dowód z odcisków palców.

Dyplomatyczny nadinspektor Wiśniewski wołał nie podejmować dyskusji w tej sprawie i zvekslował temat na główną magistralę.

— Downar musiał straszliwie nienawidzić Jerzego Makarskiego.

— Z trzech powodów: A) Makarski jako detektyw-amator musiał się zorientować w niewyraźnej roli Downara. B) Każdy inteligentny morderca wie, że najlepszym sposobem zmylenia pogoni jest nadanie fałszywego kierunku śledztwu. I najważniejsze: C) Inżynier Edward Downar kochał się w Janinie Stokowskiej, lub raczej chciał się z nią zenić, aby w ten sposób stać się spadkobiercą człowieka, którego zamierzał w końcu zabić.

— Co na to Janina Stokowska? Musi być piękna.

— Więcej bogata niż sympatyczna. Ona nawet nie wiedziała o tym planie matrymonialnym. Kochała Makarskiego i nienawidziła ojczyma, który ożenił się z jej matką... aby zdobyć miłość własnej pasierbicy. Wstrętne i patologiczne. Na takim podłożu zawsze wyrasta ziarno zbrodni. Adwokat Drabicki miał rację.

— Co to znowu za uczoney?

— Nie wiem czy uczoney, w każdym razie wystarczająco mądry człowiek, który zwrócił uwagę na tę występłą miłość. A więc... chcę już z tym skończyć. Po dokonaniu zabójstwa udał się do swego gabinetu i czekał – na tym polegało jego genialne alibi – centralny trick. Ja przybyłem do banku i zameldowałem się przez woźnego. Wtedy Downar podnosi słuchawkę i w mojej obecności „rozmawia” z człowiekiem, którego przed godziną własnoręcznie zasztyletował. Potem „żegna się” i rozmawia ze mną. Ja zażądałem, aby połączył mnie z bankierem, „który pracuje i nie chce aby mu przeszkadzano”. W tej chwili zadzwonił telefon na biurku. Cyniczny morderca wykorzystał ten nadprogramowy przypadek – dzwonił ktoś z miasta – aby wzmocnić swoje alibi, i oznajmia mi, że słyszał krzyk zamordowanego w telefonie. Zbiegliśmy obaj i... reszta wiadoma. W ten sposób zbrodniarz sfabrykował sobie cudowne alibi – Inspektor Bernard Żbik był z nim w innym miejscu w chwili, gdy mordowano bankiera.

— Piekielne. A gdyby pan nie nadszedł i gdyby potem telefon przypadkiem nie zadzwonił.

— Jeżeli bym ja nie przyszedł, Downar byłby wezwał albo mnie, albo którąkolwiek inną wiarygodną osobę. Gdyby zaś telefon przypadkiem nie zadzwonił to **primo:** wystarczała „rozmowa” ze Stokowskim, który już wtedy nie żył, **secundo:** Downar zadzwoniłby do Stokowskiego, wymienił jednostronnie kilka zdań i potem oznajmiłby o krzyku mordowanego w słuchawce. Poza tym proszę nie zapominać o obciążeniu już nie poszlakami, ale wprost dowodami zbrodni, Jerzego Makarskiego. Nadto różnica w czasie zabójstwa była zbyt mała i dlatego medycznie nieuchwytna. Doktor Dalczewski, który nadszedł po półgodzinie, nie mógł na pewno stwierdzić, że cios zbrodniczy zadano przed półgodziną czy przed dziewięćdziesięcioma minutami.

Naczelnik Wiśniewski w końcu przecież nie wytrzymał.

— Mówi pan o tym tak obojętnie, jakby w całym dochodzeniu nie było ani krzty pańskiej zasługi.

— Bo też nie było. Popeliłem nawet błąd w obliczeniu psychologicznym i omal nie przypłaciłem go życiem nie tylko własnym, ale i aspiranta Kobylańskiego. Downar miał doskonały tłumik i mógł nas sprzątnąć jak nic.

— Więc, kto wykrył mordercę, jeżeli nie pan.

— Tak nie stawiam zagadnienia. Nie tylko mnie, żadnemu policjantowi nie wolno wierzyć w cud. Bankiera zamordowano – to pewnik. Więc musiał też w banku przebywać morderca. Alibi Downara, zresztą genialne, miało jednak wadę na moją korzyść – było nią to przeświadczenie, że zbrodniarz przebywa w gmachu. Kazałem zamknąć i obstawić budynek. Wewnątrz trzy osoby oprócz nieboszczyka: 1) Franciszek Lipiński – woźny, tchórz, którego pierwszą odpowiedzią na moje pytanie były słowa „Ale ...to nie ja... nie ja”. Nadto sam Downar stwierdził jego alibi. 2) Jerzy Makarski – sam został otruty. Wtedy pozostał tylko inżynier Edward Downar. I wtedy zrewidowałem swoje wnioski i spostrzeżenia i stwierdziłem, że ja nie słyszałem jak Stokowski rozmawiał i jak potem wołał o pomoc – tylko że o tym powiedział mi Edward Downar. Wówczas zacząłem rozumieć.

— Do takiego rozumowania potrzebny jest pański mózg, inspektorze. Pan jest za skromny.

— To nie wada... Ale zwrócenie podejrzania na Downara nie równało się możliwości jego aresztowania. Ostatecznie moje przeświadczenie nie jest jeszcze dowodem, a – jak już wspomniałem – autopsja nie mogłaby udowodnić najważniejszego punktu zaczepnego, tego, że mordu dokonano jedną godzinę wcześniej – co jedynie spowodowałoby aresztowanie Downara. Trzeba było doprowadzić mordercę do przyznania się i w konsekwencji do wyjaśnienia tricku – bo cudu nie brałem w ewentualność. Był a) trup, b) zamknięty teren – musiał być c) morderca. Zdecydowałem się na metodę prowokacji.

— Czego?... — nie dosłyszał zamyślony nagle naczelnik.

— Postanowiłem sprowokować przyznanie się do winy ze strony sprawcy. Edward Downar to typ terrorysty działającego przy pomocy strachu. Zna pan zasadę homeopatów, naczelniku: Similia similibus. Wybrałem strach jako broń w kontrataku.

— Jak?

— Przed wszystkim zarzuciłem haczyk i posłałem Downara po zupełnie mi niepotrzebną linę, aby umożliwić mu podrzucenie ostrzeżenia o bombie, podpisanego OZYRYS. To był niejako dowód dla mego wewnętrznego przekonania. Rybka połknęła przynętę i podrzuciła kapsułkę magnezji z listem zawierającym groźbę o bombie. Jeden z policjantów nadepnął na kapsułkę i znalazł ostrzeżenie Ozyrysa. Wtedy, już świadomie, dałem poznać Downarowi, że **wiem** i zaprowadziłem go i Kobyłańskiego do gabinetu zbrodni. Resztę zna pan z raportu Kobyłańskiego.

— Teraz rozumiem już wszystko.

— Jeszcze nie, panie naczelniku. Przeciwno Edwardowi Downarowi pozostał jasny, niedwuznaczny bodaj, dowód – jest nim list szyfrowy, napisany przez Erazma Stokowskiego, który przeczuwał swą śmierć – do Jerzego Makarskiego, który zaczynał się domyślać. W tym liście wskazana jest wyraźnie osoba mordercy.

— List szyfrowy! — zdziwił się naczelnik szczerze. — Nic o tym nie słyszałem, a przeglądałem przecież akta dokładnie.

— Oto on.

Wręczył nadinspektorowi arkusik papieru, który ten odczytał na głos:

*Warunki: Handel hurtowy, parytet Londyn, ładunki wagonowe, dostawa bieżąca za 100 skrzyń brutto. Notowanie z dnia 22 listopada 1936: Ewentualność doświadczeń waloryzacyjnych albo rozliczeń dekadowych daje okazję wglądu na aktualny rozwój. Monitować ostatnie rozrachunki dotyczące eksportu rynsztunku contra Abisynia.*

Po drugiej stronie widniał znany nam również napis ołówkowy: *Doręczyć Jerzemu Makarskiemu — w sprawie „Ozyrysa”.*

— Nic nie rozumiem. Gdzie tu szyfr, inspektorze!?

— Erazm Stokowski przeczuwał zbrodnię i wiedział, że amator-detektyw Jerzy Makarski domyśla się, że z osobą Downara nie wszystko jest korekt. Ponieważ jednak bał się wyraźnie zdradzić tajemnicę na wypadek gdyby przecucia jego okazały się płonne, sporządził ten sprytny szyfr, który bez faktu mordu byłby zwykłą notatką bankową, a po fakcie zbrodni zamienił się w akt oskarżenia, jaki zaprowadzi sprawcę zabójstwa na szubienicę.

— Przecież tu nic nie ma!

— Jest. — Bernard Żbik wziął leżący na biurku ołówek i nakreślił na świstku papieru:

*Ewentualność*

*doświadczeń*

*waloryzacyjnych*

*albo*

*rozliczeń*

*dekadowych*

*daje*

*okazję*

*wglądu*

*na*

*aktualny*

*rozwój.*

*Monitować*

*ostatnie*

*rozliczenia*

*dotyczące*

*eksportu*

*rynsztunku*

*contra*

*Abisynia.*

— No, a teraz, panie naczelniku?

Twarz nadinspektora była wciąż zdumiona. Znał dobrze Bernarda Żbika i wiedział, że tu musi „coś” być. Złościło go nieco, że nie domyślał się, co wynikało z napisanych słów.

— Napisał pan to samo, tylko w innym porządku. Psuje mi pan czas i papier.

Detektyw zaśmiał się z tego dowcipu.

— Proszę odczytać tylko pierwsze litery słów, które w tym celu wypisałem jedno pod drugim. I co?

Naczelnik Wiśniewski przetarł oczy zupełnie, lecz musiał przyznać rację detektywowi.



Wskazane przez Żbika litery tworzyły słowa:

*Edward downar Morderca*

Wzrok nadinspektora wyrażał szczery podziw.

— Co za spryt!

— Mówiłem przedtem, że Erazm Stokowski był mądrym człowiekiem.

— Ależ, człowieku. Dlaczego pan udaje naiwnego. Ja miałem na myśli pański spryt, inspektorze.

— Wolne żarty, naczelniku. Każde dziecko napisze taki szyfr.

— Paradne! — roześmiał się zwierzchnik wielkiego detektywa — Daj mi pan pułk takich dzieci, a zawojuję z nimi świat. To było trudne do napisania, jeszcze trudniejsze do odszyfrowania i najtrudniejsze do wyjaśnienia owego dualizmu.

Inspektor nie odpowiedział. Zawsze czuł się nieco zażenowany, gdy go chwalono w żywe oczy. Obserwował swego zwierzchnika i zapytał nagle swoim zwyczajem.

— Pan chce mi zadać jeszcze jedno pytanie, naczelniku.

— Tak, moje **dziecko**. Rozumiem stronę techniczną, ale nie ogarnąłem jeszcze strony psychologicznej, kochany Psychologu. Dlaczego Edward Downar zabił. Po co mu to było potrzebne? Przecież mądry człowiek nie zabija bez powodu.

— Mądry człowiek w ogóle nie zabija. Każdy zabójca jest chory i umysłowo zdegenerowany. Zresztą, możemy zapytać samego Downara. Jest jeszcze u nas, w pokoju aresztantów.

Naczelnik Centrali Służby Śledczej nacisnął taster dzwonka i wydał krótki rozkaz wyprężonemu starszemu posterunkowemu. Ten wrócił już po kilku minutach w towarzystwie kolegi z opuszczoną podpinką prowadzącego zakutego w kajdanki mordercę.

— Jeszcze mało! Powiedziałem już przecież wszystko.

— Dlaczego pan zabił? — zapytał wręcz nadinspektor.

Edward Downar wykrzywił pogardliwie wargi.

— Zabiłem Erazma Stokowskiego, bo mu się należało. Był nikczemny, oszukał mnie. Ja powiedziałem mu o grobowcu Ozyrysa – a on mnie zadenuncjował. Nie mogłem zwrócić się po sprawiedliwość do sądów – sam ją sobie wymierzyłem.

— I pan mówi o uczciwości i sprawiedliwości!

— Czy mi nie wolno. Gdybyście wy wiedzieli jakim szują był Erazm Stokowski, nie dziwilibyście się mojej zbrodni. Ba... zbrodni. To był wymiar sprawiedliwości.

Bernard Żbik dał znak naczelnikowi Wiśniewskiemu i sam podszedł tuż do zbrodniarza.

— **To była zazdrość**, Downar — stwierdził zimno i z przekonaniem. — Nie pomogą piękne słówka i wzniosłe frazesy: nikczemny, sprawiedliwość. Zwykła, ordynarna, zwyrodniała zazdrość – że inny drań ma, a pan, również drań – nie ma. Czy pan był uczciwy wobec Stokowskiego. Gdyby on ciebie nie nabrał – ty byś jego ocyganił. A że on był mądrzejszy od ciebie – załała cię wściekłość i zabiłeś. Po co te wykręty...

Morderca nie odpowiedział. Na dany znak, wyprowadzono go.

— Teraz zna pan też motyw psychologiczny, naczelniku. Zarówno przestępca jak i ofiara nie należeli do kategorii ludzi uczciwych – lecz Stokowski dźwignął się i chciał rozpocząć nowe życie – tego były kompan nie mógł mu darować.

Nadinspektor westchnął i wstał. Odprowadził Żbika do samych drzwi — gdzie zadał mu jeszcze pytanie natury odrębnej:

— Jakie pan miał uczucie, gdy morderca dwóch ludzi stał przed panem z ręką na cynglu.

— Niewesołe, naczelniku, proszę mi wierzyć, życie jest głupie, jak tego dowodzi taka sprawa, i co do tego nie ma dyskusji – ale nawet nasza szumnie nazwana wegetacja ma swoje powaby, wartości.

— Szczególnie życie takiego człowieka jak pan.

— Słowo daję, jeżeli wszyscy będziecie mnie tak wychwalać, uwierzę w końcu, że naprawdę jestem taki mądry jak przypuszczam.

Jeszcze raz skinął głową naczelnikowi i wyszedł, uśmiechając się z własnego paradoksu.

KONIEC

